ANDRZEJ KORECKI

TEJ SAMEJ AUTORKI:

BOLSZEWICY W POLSKIM DWORZE.

I wydanie wyczerpane
II wydanie wyczerpane

W przygotowaniu:

PANI BARSKA
powieść współczesna

308.

IZABELLA LUTOSŁAWSKA

ANDRZEJ KORECKI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Drogiemu Czechowi,
Któremu nie dano mi
w losach przeżyć życie
— z powodu tej słomia
ale Ktoś, dedykuję, w mój
w sercu, Tobie
Beka

12.3.32.

WARSZAWA — 1932
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

MUZEUM PRZYRODY-DWÓR LUTOSŁAWSKICH
w Drozdowie
18-421 PIĄTNICA
Drozdowo, ul. Główna 38
tel./fax 86 219 20 81
REGON 450110668, NIP 718-10-38-776

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15

ROZDZIAŁ I

Bywają dni rzadkie, ale cenne, kiedy człowiek po dłuższym śnie budzi się z poczuciem szczęścia. Jeśli jest przy nim kochana kobieta, zdaje mu się, że to jej zawdzięcza, ale się łudzi. W inne dni, daremnie miłujące oczy starają się w niego wpoić radość poranka — nie potrafią.

Muszą tkwić we śnie jakieś źródła zaświatowego obcowania, skoro może dokonać to, czego nie zdoła miłość najlepsza.

Andrzej po dłuższym śnie obudził się rzeźki, w tem szczególnem usposobieniu, w którem trudy dnia wydają się rozrywką, a nerwy i mięśnie rozkoszują się własną sprawnością.

— Aaa! — przeciągnął się.

Pokój był kawalerski, wygodny, trochę oschły w ogólnych konturach. Wyciągnąwszy niedbale rękę, zadzwonił. Dzwonił tak w tem samem mieszkaniu rankami, od ośmiu lat na służącego, ale dziś ten krótki ruch, zapewniający wzorową obsługę, wydał mu się wielką przyjemnością.

Służący wszedł cicho, rozsunął zasłony i przeszedł do przyległej łazienki.

— Pogoda? — rzekł pytająco Andrzej.

— Ładnie. Listów niema. Czy śniadanie podać zaraz?

— Jak się ubiorę — odpowiedział z pozornem

lenistwem i leżał jeszcze chwilę, uśmiechając się lekko, w słońcu, zalewającem pokój i jego jasną głowę.

Andrzej Korecki był w pięknym wieku męskim. Miał lat czterdzieści kilka, wiek, w którym już życie nie chowa nam prawie niespodzianek, ale w którym się dużo chce osiągnąć wzmożonemi siłami dojrzałości.

Siwiejące na skroniach włosy są jeszcze tylko ozdobą — jest to jakby druga, nasycona już zdobyczami realnemi i poczuciem odpowiedzialności, silna młodość męska.

W tym wieku potrafi się patrzeć na kobiety, jak patrzy na nie młodzieniec. I najsilniejsza miłość powstaje czasem w tym wieku.

Ale Andrzej nie myślał o miłości, choć myślał często o kobietach. Małżeństwa, jako przerażającego „chaosu", jak mawiał, bał się, ale uśmiechał się młodemi ustami do każdej ładnej kobiety.

W tej chwili, ubierając się w pokoju, pachnącym wyborowem mydłem, przy plusku wody, dochodzącym z łazienki — robił plan dnia i przypomniał sobie wczorajsze zaproszenie.

Spojrzał w okno, potem je otworzył. Przed sobą miał duży, pusty plac i drzewa. Rudawa jesień z lekką mgiełką pachniała otwartą ziemią. Jeszcze trwały liście na drzewach, ale trzymały się niepewnie i nie na nich spoczywało oko. Wzrok nęciły konary drzew, jakby nabrzmiałe wilgocią, poczerniałe tak, jak czernieje człowiek od pracy, a drzewo od wydanego owocu. Andrzej wetchnął pełną piersią owocową słodycz jesieni, jej wilgoć, pachnącą winem i brzoskwinią, oraz jej niewzruszony spokój.

Miał zaproszenie na wieś od przyjaciela, i postanowił jechać.

Lubił wieś, ale jako człowiek czynu, nie miał do niej romantycznego stosunku. Zżymał się na szarość sfer ziemiańskich, i lubił się szczycić swem

miejskiem pochodzeniem. Wśród ziemian bywało mu nudno, i nie miał przyjaciół między nimi. Ale Ludwik Załęski był mu bliskim człowiekiem. Łączył ich jeden z najsilniejszych węzłów: wspólna ciężka młodość w niewoli. Tylko, że Andrzej, obdarzony zmysłem realnym, odszedł od przyjaciela, życie czynne nie pozwalało mu karmić się wyłącznie minionym wysiłkiem, podjętym dla ideału, — natomiast Ludwik, człowiek słabszy, wracał myślą do dawnych czasów, jako do kulminacyjnego punktu swego istnienia.

Sprzeczali się o pogląd na to, nawet kłócili, bo Korecki miał wstręt do marazmu, tkwiącego w przeżywaniu wspomnień, i chciał widzieć nowe życie, wyzwolone od ciężaru cnót i grzechów niewoli, ale rzewność tych wspomnień zastępowała wszelkie argumenty, i niepogodzeni, czuli się jednak z tego samego bractwa, coraz rzadszego w odrodzonym kraju.

— Pojadę — powiedział sobie, i znów ta decyzja wydała mu się powabną nowiną. Ale gdy wchodził do stołowego pokoju, wpadła mu w oczy data dnia, widniejąca na kalendarzu, stojącym na niskiej półce z książkami — i lekko zmarszczył brwi.

— 11 października — muszę pojechać na cmentarz. I zagłębił się w czytanie gazet.

O dwunastej w południe stał na Krakowskiem Przedmieściu i, przymrużywszy szafirowe oczy, odruchowo, spojrzeniem, jakby do tego obowiązanem, fachowego znawcy, obrzucał mijające postacie kobiece. Był wymagający i wybredny. Ale esteta nie tracił nadziei, i badał w dalszym ciągu... Studjom tym oddawał się od lat przeszło dwudziestu, i nie lekceważył zdobytego doświadczenia, bawił się niem i umilało mu ono życie.

— Psst! — zawołał, widząc samochód marki ulubionej. Wstąpił do kwiaciarni, wybrał białe róże i żałował, że nie ma ich więcej. Potem jadąc,

rozważał pracę ubiegłego tygodnia, oraz swoje zadania najbliższe, i zaczął myśleć o domu, do którego miał jechać i o jego dziwnych losach. Przed oczami stanęła mu żona Załęskiego, prześliczna blondynka, po której, choć nie umarła, zostały w wiejskiem gnieździe przyjaciela jakby tylko woń jej i cień — coś przejmującego, ale nie dającego się pochwycić, i bardzo smutnego.

— Córka nie dorównywa jej w urodzie — pomyślał z odcieniem niechęci do podlotka, który, mając tak piękny wzór kobiecości blisko, nie umiał się na nim wzorować.

A syn! — skończony dziwoląg.

Wzruszył ramionami, zdziwiony nieudolnością ludzi, mieszkających w rajskiem otoczeniu. Wspomniał rezydencję Załęskiego z uczuciem narodowej chełpliwości. „Umieli żyć nasi przodkowie", lubił powtarzać — „była wysoka kultura". Na gospodarskie utyskiwania Ludwika patrzył z lekceważeniem i pobłażliwym uśmiechem, bo uważał, że tylko niedołęga może nie wykorzystać podobnych warunków. On sam był dzieckiem pracy, wszystko sobie zawdzięczał i choć nie zamieniłby swego warszawskiego życia i swego stanowiska na dom Teretczański, jednak nawet w planie realnym wiedział, jakie są jego przywileje i oceniał je. Nie tęsknił za gniazdem dla siebie i nie zazdrościł dworom ich uroku, ale zmysł jego estetyczny radował się za każdem zetknięciem ze starym polskim domem.

Gdy dojeżdżał do Powązek, zachmurzyło się, i w gęstszej, niż ranna, mgle szedł alejami cmentarza w kierunku swoich grobów.

Otoczyła go natychmiast atmosfera oderwania od świata, zarówno w symbolu krzyża, jak i w strasznej rzeczywistości trumny.

Kończąc jakiś bieg myśli konkretnej, szepnął:

— Tyniecki nie miał racji, akcje trzeba sprzedać, a dom zachować. Jutro zatelegrafuję.

Poczem równie bezwiednie zapadł w zadumę.

Był człowiekiem o tyle wierzącym, że na cmentarzu obcował nie tylko z tajemnicą, ale i z Bogiem, a właściwie obcował przedewszystkiem ze zmarłymi rodzicami, których kochał i których wspomnienie otaczał jedynym w sobie, porywem romantycznym. Matka była surowa i twarda, ale jej rzadki uśmiech był rzetelną prawdą, i ona jedna nauczyła go prawdy. Tak mu się przynajmniej zdawało, tak chciał wierzyć, szukając w sobie źródeł wpływu rodzicielskiego. A ojciec pracował ciężko, ale pogodnie — i temu synowi, urodzonemu w szarem środowisku, przekazał trwały kult pracy. Myśląc o wpływie ojca, przypisywał mu wszystkie nadspodziewane powodzenia, swoją równowagę wewnętrzną oraz pogodę, i unosił się stale, odkąd stracił ojca, nad duchową po nim spuścizną. Dziś była rocznica ślubu jego rodziców, zawsze w tym dniu bywał na ich grobie.

Nie myślał prawie nigdy o życiu pozagrobowem. Ale z niejasnego chaosu możliwości, nużących umysł, nieokreślonych, pozostawał dla niego jeden tylko pewnik: tu leżą jego zmarli rodzice: czcił ich za życia, przychodzi do nich i teraz, tu ich szukając na widomem miejscu, choć wie, że odeszli daleko. A im dalej ich czuł, tem więcej i tem żywiej on, człowiek trzeźwy, do nich przemawiał.

Odpowiadali mu wymownie, minionemi słowami, i ogarniała go zawsze na ich grobie wdzięczność za ten zasób dany i jakieś odmłodnienie, związane z tą wdzięcznością! Czuł, że ma nad sobą coś w rodzaju zwierzchnictwa. W takiej chwili myślał czasem, że jeśli nie żałuje, że nie ma żony, to odczuwa brak dziecka. I z uśmiechem pytał rodziców zmarłych, czy jest na to rada... Ale surowa twarz matki, oraz krzyż, który trzymał ojciec w ręku, gdy umierał, były symbolem katolickiego małżeństwa. Czasem więc wynosił stąd postanowienie szukania żony, i nawet za to, choć to się sprzeciwiało jego usposobieniu, czuł tkliwość dla rodziców.

Andrzej przyklął na grobie na jedno kolano i tak trwał przez czas dłuższy pochylony, ale nagle silniejszy podmuch wiatru rzucił mu w twarz garść zeschłych liści, więc ocknął się i wstał. Poczem, objąwszy wzrokiem kwiaty na mogile, odrzucił swą twardą ręką kilka zwiędłych gałązek, nałożył rękawiczki i krokiem sprężystym odszedł.

Wróciwszy do domu, wydał krótkie rozporządzenia, dotyczące podróży. Zjadł drugie śniadanie wciąż w radosnem usposobieniu fizycznem i przebrawszy się, wybierał właśnie powieść na drogę, gdy oznajmiono mu, że jakaś pani pragnie koniecznie się z nim widzieć.

— Wiesz, że wyjeżdżam, — powiedział surowo do służącego — nie przyjmuję.

— Proszę pana, ta pani nalegała... Widać, że jej bardzo zależy...

— Znasz ją?

— Nie była dotąd u pana prezesa. Jest młoda.

— Poproś do gabinetu — mruknął, skrzywiwszy się Andrzej, i spokojnie kończył wybieranie powieści na drogę.

Wszedł do gabinetu zły i nagle uśmiechnął się z kurtuazją. Twarzą zwróconą do drzwi, z uśmiechem, za którym krył się niepokój, stała przed nim wątła kobieta. Nie rozróżnił żadnego zapachu perfum, ale zaraz poczuł, że w pokoju jest wonna atmosfera.

Nieznajoma, ujrzawszy go, wyciągnęła do niego rękę bezbronną w ruchu, bardzo białą, a zrobiwszy krok ku niemu, odezwała się cicho:

— Panie Andrzeju...

Głos był niepospolity. Słowa padły w przestrzeń, napełniając ją na długo osobliwą treścią. Głos obiegł ściany, przyczaił się do mebli, coś poruszył, coś popieścił, i trwał w pokoju, choć pokój zaległa cisza.

Korecki zdziwiony podniósł oczy, napotkał wzrok płochliwy, nawpół przykryty rzęsą, nawskroś kobiecy, i poznał przybyłą.

— Pani! — zawołał, pochylając się w ukłonie, chcąc ukryć zmieszanie.

Jej twarz gładką, pokrył rumieniec. Był to krwawy rumieniec, z którym, widać było, jak daremnie walczy, mrugając oczyma, odchylając nieco w tył głowę, dla ochłodzenia się — ale ciemna smuga krwi płonęła na twarzy aż po skronie.

— Witam panią — powiedział serdeczniejszym głosem, niż pragnął, poznając w niej Ludwikową Załęską.

— Pan wybaczy — mówiła szybko — wiem, że pan jest przyjacielem — mego męża, może nie powinnam do pana właśnie... ale zawsze pamiętałam pana, miał pan w sobie coś... jakieś odczucie życia... nieraz, w straszne dni, gdy biłam się z myślami, stawał mi pan przed oczyma... może pan... — zacisnęła ręce, zamilkła i zawisła oczyma na jego wzroku.

— „Jak ona przedziwnie młodo wygląda“ — „i ten głos nie kłamie, cierpi“ — pomyślał Andrzej i zrozumiał, co się w niej dzieje.

— Pani chodzi o pannę Krystynę? prawda? — zapytał miękko.

Odetchnęła z ulgą.

— O Krystynę i o Ludwika, syna mego. Ja... odeszłam, wiem, co to znaczy i co musiałam znieść. Ale dzieci!. Nie widzieć nigdy swoich dzieci — wie pan, to jest nieludzkie, czy Ludwik tego nie rozumie? Przecież on miał serce...

— Widzi pani, rzecz jest ogromnie trudna, — powiedział z powagą, już swobodnie — widzieć panią, to jest — zaciął się — zetknąć się z jej nowem życiem, a do tego, rozumie pani, Ludwik ma prawo nie dopuścić.

Załopotała rękoma, broniąc się rozpaczliwie.

— Nie, wcale nie. Widzieć mnie, to znaczy zobaczyć matkę i nic więcej. Sypiać w nocy nie mo-

gę. Pożera mnie tęsknota... dziewięć lat... panie Andrzeju, oh... I jestem chora... kto wie...

Znów ten głos szczególny, od którego coś się dzieje w atmosferze.

— Chcę pani dopomóc — powiedział z przejęciem — pomówię z Ludwikiem. A pani adres? Pani mieszka tutaj?

Znów rumieniec, ale słaby, bo siły ją opuszczały, zaróżowił twarz pani Załęskiej.

Potrząsnęła głową.

— Tutaj. Ale wolałabym zajść do pana, dowiedzieć... się.

— Kiedy ja wyjeżdżam.

— Na długo? — zapytała cichutko.

— Nie wiem — spojrzał na zegarek i lekko zmarszczył brwi — wyjeżdżam zaraz.

— Ja wychodzę, ale — pozwoli pan, — dowiem się tu za tydzień. Pan napisze do Ludwika?

Miała bolesne zmęczenie w głosie, ale Korecki już się spieszył.

— Właśnie tam jadę.

— Pan tam jedzie! — zawołała, jakby widząc przed sobą coś niezwykłego. — Pan tam jedzie! O Boże!

Na krótką chwilę przymknęła oczy i wydała mu się śliczną. Potem przesunęła ręką po twarzy i potrząsnęła kilkakrotnie głową, sobie samej przecząc.

Wyciągnęła do niego rękę, gorącą, małą, i zostawiając ją w jego dłoni, patrząc na niego z bliska, starała się coś mówić. Zrozumiał, zobaczył zmarszczki wokół oczu, i nie wydały mu się znamieniem wieku, tylko wymową cierpienia.

— Dziękuję panu, — tak ufam... Teretczany... Pan tam będzie... Krysi... niech pan powie... że... och, a Ludwisia, niech pan...

Potrząsnęła znów przecząco głową, popatrzyła rozszerzonemi oczyma prosto w twarz Andrzeja

i wyszła cicho, bez słowa, ale Korecki doznał wrażenia, że jakaś wrzawa rozlega się wokoło.

Po jej wyjściu zbliżył się do okna, i, spojrzawszy na ulicę, gdzie panował spokój, — oraz na przechodniów, sam zdziwił się sobie.

— Niepotrzebniem jej obiecał — Ludwik się nie zgodzi. Co to jednak za okrucieństwo, tak skazać kobietę... — Ale jaka też ona jeszcze młoda!

ROZDZIAŁ II

Korecki siedział wygodnie w wagonie i patrzał przez okno na zachód słońca.

Do przedziału weszli nowi pasażerowie. Korecki, który już wkrótce miał wysiadać, witał ich obojętnie.

Małżeństwo z dwojgiem dzieci i niańką, wniosło nieład i nieznośną poufałość do dobrego przedziału. Skąd para ta mogła mieć bilet pierwszej kl. jest to jedna z niezbadanych tajemnic biurokratycznych. Mężczyzna młody, tęgi, wydawał żonie dyspozycje głosem nabrzmiałym nienawiścią. Nie patrzył jej wcale w oczy. Mówił w przestrzeń, jak człowiek ślepy z gniewu lub udręki. Ona blada, młoda, wycieńczona, odpowiadała apatycznie, ale w oczach jej czaił się niepokój i chęć dogodzenia mu, zresztą beznadziejna. Poprawiała opadające włosy, ciążyło jej ubranie, ręce nabrzmiały od trzymania dziecka.

Mąż głosem cichym powtarzał swe wyrzuty, mieli niepowodzenia w drodze, którym ona była winna. Prosta twarz kobiety jaśniała pewną finezją, gdy, nie broniąc się, z maleńkim nawet uśmiechem, słuchała, śmiertelnie znużona. Cała jej postać wyrażała dyskretnie, że on zupełnie niema słuszności. Niańka patrzyła na pana z opryskliwą odrazą. Na jej ręku był tęgi chłopczyk, do którego zwracał się ojciec i w przerwach między potokiem

słów głaskał go po głowie. Dziewczynkę, trzymaną przez matkę, zupełnie ignorował. Andrzej mimowoli przeniósł wzrok na dzieci, szukając dla oczu rozrywki, i uśmiechnął się. To była dopiero ilustracja smętnego związku — ta reprodukcja. Chłopiec w czerwonem ubranku był tak podobny do ojca ze swą tępą twarzą i ryżawą cerą, że nawet nie zdziwił Koreckiego zmieniony, tkliwy głos mężczyzny, który zabrzmiał:

— Co, synku?...

A dziewczynka bierna i blada jak matka, nawet podobnie do niej zmęczona, miała te same nieregularne, ale cienkie rysy i już tę samą główkę wątłej, śniadej kobiety.

Andrzej uważnie patrzał na dzieci, i nigdy go do takiego stopnia nie uderzyła wielka tajemnica dziedziczności, jak w tej rodzinie! Oto była para, — oto były jej dzieci. Na czole jak ciężką bruzdę, miało to potomstwo znamię niezaprzeczone pochodzenia, przyroda zrobiła swoje, odtworzyła dokładnie czoła, oczy, policzki, oraz koloryt rodzicielski, i rozmieściła je nawet, nie pomieszawszy gatunków, działając na chłodno i bez umiesienia: z ojca na syna, z matki na płeć żeńską.

— Co, synku?...

Zabrzmiał znów głos mężczyzny. Andrzej ocknął się z zadumy. Tak, syn! — żonie nie patrzy w oczy, ale wobec syna taje ze szczęścia. Może dumniejszy jeszcze z tej wiernej podobizny i głębiej z tego szczęśliwy, niż gdyby jakaś niepojęta walka elementów poryła mu twarz własnego dziecka cechami obcej kobiety — matki!

Spojrzał jeszcze na tę matkę, na bledziutką dziewczynkę, drzemiącą w jej ramionach, i właśnie musiał wysiadać.

Mała stacja prowincjonalna, po której chodziły leniwe psy i ospali tragarze, już świeciła z oddali, niby ozdobą, powozikiem, zaprzężonym w parę pysznych szpaków.

Wysiadając na tle butwiejącego budynku, ujrzał konie, i uderzył go kontrast między tą strojną uprzężą, lśniącemi końmi i ekwipażem, a nędznem środowiskiem stacji, będącej jednak siłą rzeczy, ośrodkiem cywilizacyjnym.

— Ustalony kontrast nędzy i zbytku — pomyślał, ostro mrużąc oczy i siadając do powozu, którego woźnica kłaniał mu się nisko.

Konie ruszyły wyciągniętym kłusem a Koreckiego, siedzącego wygodnie, po otuleniu nóg miękkim pledem, który mu przypominał Toretczany, uderzyła przykra myśl o misji, jaką mu powierzyła pani Załęska i uczuł coś w rodzaju niepokoju. Unikał zawsze pośrednictwa w sprawach podobnych i pierwszy raz był w nie zamieszany. Nawet z pewnym gniewem pomyślał o Ludwiku, zapominając, że był on raczej ofiarą, niż przyczyną ciężkiego zatargu.

Dzieci! zawsze to samo. Najsilniejszy instynkt na ziemi. Ten grubas w wagonie nieomal lży żonę przy ludziach, a twarz mu się zmienia, gdy mówi „synku". Ta biedna pani Załęska, piękna, kochana przez wybitnego człowieka — umiera z tęsknoty, gaśnie, za tą parą dzieci, mających stokroć więcej z ojca, niż z niej, dzieci przypominających cały splot tragicznego niedopasowania!...

Andrzej Korecki na myśl o dzieciach, uczuwał coś, co jakby chmurą pokrywało jego zazwyczaj pogodną twarz. Tak, to była jedyna jego klęska: 40 rok życia minął, on nie zna rozkoszy ojcostwa. A może i niema tej rozkoszy? Ale głębszy nurt krwi, utajony, mówił mu, że jest. Czując to, przechodził myślą szybko i spokojnie na inny temat, tylko twarz czas dłuższy zachowywała pewne cienie, wywołane przez niedostrzegalne pochylenie się całej głowy. Był wtedy tak dziwny i tak piękny w wyrazie, jakim go nie widywała nigdy żadna kobieta, a mogłaby pokochać bez granic ten niedocieczony blask wejrzenia.

Miła jest jazda gorącemi końmi po polskiej drodze, wygodnym powozem, gdy droga jest dobra, i gdy się jedzie samemu.

Andrzeja ogarniał senny a przenikliwy urok przyrody wśród pól. Patrzył długo. Nie był to wzrok żarliwy, nieraz chytry, eksploatatora zawodowego tych rozległych przestrzeni — był to wzrok polskiego, w ciszy, miłośnika.

Błękitne oczy Koreckiego trzeźwe, często chłodne i niezmiernie przenikliwe przesiąkały mgiełką i rosą z pól, łąk a nawet z trzęsawiska. Szafir ich stawał się głębszy i świecił jak straż czujna, świadoma, potężna, — pośród tych rozsianych dookoła łask. — Gdy mijał zadrzewione przestrzenie dworów, gniazda materjalnego dobrobytu, wzrok jego stawał się baczny i wszechobejmujący: przenikał gąszcze, spokojnie mijał śpichrze, i ciepłem ziejące obory i szedł w głąb, w samo wnętrze domu, do sprężyn działania, do źródeł zła, czy miłości.

Wiedział, że trafia, wiedział, że patrzy jasno i widzi. Snuły mu się myśli ciężkie i płodne, jak oglądane w przejeździe sterty: męskie poczucie odpowiedzialności, żar szerokiego działania i zupełne zapomnienie o sobie.

Kilkanaście kilometrów minęło mu, jak chwila. Poruszył się na siedzeniu, gdy zobaczył zdaleka dwór Teretczański. Otaczały go śpiące grabowe szpalery, o listkach wypracowanych a wykwintnych. Lubił te strzyżone graby, i nigdzie nie widywał piękniejszych.

Konie stanęły przed gankiem, buchające parą, szlachetne w linji. — Wśród kolumn, otoczonych winem krwawego koloru, zobaczył szczupłą, siwą głowę gospodarza, i rozradował się bardziej, niż myślał — nawet uczuł pewne niewytłumaczone wzruszenie! Przypisał je wyłącznie wizycie ślicznej pani Załęskiej, oraz swemu posłannictwu.

ROZDZIAŁ III.

Panna Krystyna Załęska kończyła lat dziewiętnaście i dopiero w ostatnich miesiącach jej uroda kwitnąć zaczęła wyraźnie. Gdy była dzieckiem, ubolewano, że niema w niej śladów podobieństwa do matki, potem w okresie opuszczania przez panią Załęską domu męża, mówiło się tylko.. „biedna Krysia“ i nikt nie zastanawiał się nawet nad wyglądem szczupłego skrzata, który chodził stale z zapuchniętemi oczyma i twarzą chmurną. Potem dorastała panienka na pensji, a przyjeżdżając na lato do ojca, biegała po pustym domu, udając niezgrabnie gospodynię i nie okazując żadnych wyraźnych upodobań, aż dopiero niedawno, w zimie, przyjechał pan Michał Kobierski, młody sąsiad Teretczan i powiedział nagle do pana Załęskiego:

— Ależ z tej Krysi będzie niedługo śliczna panna!

Ojciec kiwnął parę razy głową, jakgdyby mu się coś smutnego przypomniało, a pani Zawara, nauczycielka i opiekunka od lat dziesięciu, choć nigdy dotąd tego nie zauważyła, odpowiedziała odrazu:

— O, tak, śliczna!

I zaraz ustaliło się w całym domu przekonanie pana Michała. Widać zeszła już chmura z tych oczu wypłakanych w dzieciństwie, bo choć nie miały one blasku, ale uderzały spokojną rozwagą w spojrzeniu, tajonem za prześliczną rzęsą. Usta były dość duże, kształtne, z górną wargą podniesioną, a zaciśnięte w kącikach — takie miawają ludzie z charakterem. Największą jej ozdobą były włosy i koloryt cery, złotawy, czyniący z niej rzadką, ponętną mieszaninę kobiety jasnowłosej z szatynką o chłodnem wejrzeniu. Gdy się odezwała niskim głosem, łatwo było pomyśleć błogo:

„Taki głos może mieć tylko blondynka“, ale gdy

spojrzała prosto, oczyma szaremi, których głąb jest zawsze tajemnicą — to się czuło w niej szatynkę i wogóle dwie osoby naraz. Pierwszy odkrył to pan Michał i dlatego wiedział, że będzie śliczna.

Andrzej, wszedłszy do niskiego, letniego salonu, za którym ciągnął się szereg innych otwartych pokojów, zobaczył znane meble stare, wygodne, dwa lustra w owalnej, złotej ramie na ścianach, wszystko pachnące kwiatami, oraz tchnące chłodem... zobaczył też zaraz smukłą panienkę.

Załęski ujął go pod ramię, i, podchodząc do córki, mówił:

— Andrzeju, to moja Krysia, pamiętasz ją, wyrosła, prawda?

Korecki nie wiedział, czy wyrosła, ale dojrzał ją całą i ocenił...

— Bardzo wyrosła, bardzo — rzekł, trzymając jej ciepłą rękę w swojej, i porównując w myśli urodę matki z córką.

Kiedy przeszli do jadalnego pokoju i zasiedli do stołu, patrzał na nią od czasu do czasu, i spotykał wzrok jasny o wyrazie, którego jawność kryła rzęsa i uparta wola.

Załęski pytał Andrzeja o wiadomości publiczne. Zdawna przywykł traktować przyjaciela, jako źródło natchnień politycznych.

— Powiedz, jest co nowego w Warszawie?

— Jest — odpowiedział.

— No, co tam?

— Polska jest, mój panie.

— Ty zawsze w dobrym humorze.

— Wcale nie, tylko dziwi mnie nieraz, jakeśmy się prędko oswoili z tą nowością.

— Cóż chcesz, kilka lat to kawał czasu.

— I ty to mówisz, Ludwiku, ty, który potrafiłeś na nią czekać lat trzydzieści? Przypomnij sobie.

W głosie Koreckiego, pełnym pogody, umiarkowanym, musiały tkwić pewne echa romantyczne z młodości, bo Ludwik i domownicy spojrzeli na

niego uważniej. A on zwrócił się do Krystyny, widząc, że przygląda mu się z ciekawością:

— Czy mi pani po obiedzie pokaże gospodarstwo? Przyjechałem tylko na trzy dni. Odpocznę, oglądając wasze bogactwa.

— Bogactwa? — powiedział Załęski — nie wierz w to. Ledwo dyszymy, rok był nieszczególny i wogóle kryzys jest ciężki.

— Jak ja lubię te wasze utyskiwania! Jesteście jak prawdziwi utracjusze, co bankrutują od urodzenia, ale nigdy z kretesem.

— Pańskie ostatki — wtrąciła z godnością pani Zawara, niewiadomo czyją biorąc stronę.

— Dlaczego pan mówi „wy“? — zapytała uprzejmie Krystyna — i co to ma oznaczać? Proszę powiedzieć.

Zaczerwieniła się przy tem rumieńcem jaskrawym, a oczy pozostały zimne.

— Wy — odrzekł swobodnie Andrzej — to znaczy, ziemiaństwo, a ja jestem mieszczuch, proszę pani.

— A ojciec pana?

— Proszę sobie wyobrazić, że też był mieszczaninem.

— To pan musi kupić majątek — powiedziała Krystyna takim tonem, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Właśnie w tym celu przyjechałem, poradzić się starego przyjaciela — odrzekł.

— Co ty mówisz, a to mi nowina!... — ożywił się Załęski — mówże, pomogę, pojeździmy trochę, a dla ciebie musi się znaleźć w sąsiedztwie kawał ziemi z ładnym domem.

Korecki z uśmiechem kiwał głową i spojrzał po obecnych. Prąd ukryty wzmożonego szacunku dla posiadacza obiegł stół wokoło...

— Przeszłego roku tatuś chciał sprzedać Teretczany — zaczęła Krystyna z uśmiechem — możeby pan...

— O Teretczanach nie mogę marzyć — odpowiedział z kokieterją, patrząc prosto w oczy Krystyny.

Mały Ludwik mruknął — „pewnie“... i, dostrzegłszy piorunujące spojrzenie nauczycielki, chrząknął znacząco, co miało oznaczać skruchę.

Gdy wstano od stołu i wszyscy, lekko ociężali po świątecznym dla gościa obiedzie, rozeszli się — Andrzej na chwilę został sam w salonie i, zobaczywszy pustą ramę złoconą, na jednej ze ścian, gdzie dawniej był portret, pierwszy raz pomyślał o pani Załęskiej, i westchnął lekko, poczem zaraz wzrok zwrócił ku światłu.

Przez trzy okna niskie, otwarte, widział ogród, jak przedłużenie domostwa, ciągnący się wokoło, staranny i przyjacielski, niezawodzące piękno dla samotnika.

Wetchnął pełną piersią rzeźkiem powietrzem, idącem z łąk, i po swojemu przymrużył oczy. Patrzał długo. Tu chodziła po tych ścieżkach przez tyle lat ta dziwna kobieta, o której Załęski powiedział kiedyś z rozpaczą, że była zimna do szpiku kości i że przy niej zlodowaciał. On widział ją świeżo drgającą bólem i tęsknotą niekłamaną. Zadumał się. Myślał o tem, co też zdoła powiedzieć Ludwikowi, czy sumiennie spełni obietnicę daną drżącej matce, i zarazem czuł głuchy gniew i nudę całej tej plątaniny uczuciowej, obcej mu i wymagającej wysiłku.

Właśnie Załęski wchodził do pokoju i Korecki spojrzał na niego uważnie.

Wzrok jego spoczął na głowie przyjaciela.

Delikatne, aż wątłe czoło, skronie siwiejące i wydatne rysy, przy oczach szarych, lekko zamglonych.

— Ta mgiełka — pomyślał żartobliwie Andrzej — ta jedna mgiełka w oczach może być przyczyną całego dramatu rodzinnego. Kto go tam wie, co siedzi za tą mgiełką. Ja sam nie wiem; a znam go lat prawie trzydzieści. W nim

jest coś umkliwego, coś nie do zbadania. W tej małej jest też tajemnica, ale u kobiety to ma wdzięk, a u mężczyzny może tylko niepokoić. Jakiś brak czai się za tą mgiełką, albo neurastenja...

Załęski uśmiechnął się lekko i rzekł:

— O mnie myślisz, co?

Zaskoczony odrzekł:

— Tak, to jest nie... o tobie, i...

— O tem powiesz mi później — powiedział z powagą Załęski i, wziąwszy gościa pod rękę, a puściwszy Krystynę przed sobą, prowadził go.

Przez drzwi niskie wyszli do ogrodu, którego plan pierwszy był naiwnym rysunkiem ścieżek gracowanych i wypukłych klombików. Niby to było wszystko symetryczne, a właściwie dowolne, tylko precyzyjnie utrzymane. Ścieżki się wiły, posypane żwirem, strojny bukszpan chronił ich brzegów, wskazywał niejako drogę, a klomby miały kwiaty żółte, fioletowe i różane. Dalej był park, schodzący tarasami ku rzece.

— Werweny pachną — rzekł mimowoli Andrzej, czując wyborny zapach.

— Tak, to Krysia lubi te klomby. Ładnie tu, prawda?

— Ładnie, ładnie i wy jesteście mili — mówił wesoło, chłonąc pomieszane wonie i rozglądając się na obie strony — co wy tam wiecie o prawdziwych kłopotach świata... Oj, Ludwiku! Pamiętasz, jak ci mówiłem ze dwadzieścia lat temu, że jeśli ciebie męczą nasze ciężkie sprawy, to tylko na wsi zaznasz spokoju.

W głosie jego brzmiała dobrotliwa ironji, którą nieurażony przyjaciel, odparł wolno, jakby sam do siebie:

— A nie zaznałem...

— To pan kolegował z tatusiem? — zapytała Krystyna.

— Przez pięć lat, proszę pani, na uniwersytecie, jestem starym, mógłbym być pani ojcem.

Mówił to chełpliwym tonem, bo wyglądał młodo i wiedział o tem. Głowa jasna, bez jednego siwego włosa, oczy szafirowe, wielkie, młode, oraz sprawne ruchy człowieka zdrowego. Krystyna przebiegła spokojnie wzrokiem z twarzy ojca na gościa; potem znów na ojca, i twarz jej spoważniała.

— A widzi pan, nie takie spokojne życie na wsi, jeżeli tatuś posiwiał.

Andrzejowi przyszła zaraz na myśl żartobliwa odpowiedź:

— To nie wieś, proszę pani, to żona winna! — ale uznawszy ten temat za drażliwy, odparł wymijająco:

— Mnie konserwuje miłość. Kocham się w najszczęśliwszej z kobiet.

Ludwik z upodobaniem patrzał na dobrze usposobionego przyjaciela.

— Ty się kochasz? Powiedzże nam w kim?

— Kocham się od urodzenia w tej, której niema, w mojej żonie.

— A wiesz? — śmiejąc się odparł Ludwik — wiesz, że wbrew opinji ustalonej, ja zawsze myślę, że ty byłbyś bardzo dobrym mężem.

— Wiernym — chrząknął filuternie Korecki.

— Uczciwym — odrzekł Ludwik — mówię ci, żeń się.

— Właśnie też o tem myślę. O tem i o majątku.

Załęski szybko począł układać plany. Wielkiego majątku kupować mu nie radzi, czasy są zbyt trudne. Andrzej sam się nie zna, więc byłby oddany na pastwę administracji. Ale jakie 15 — 20 włók ornej ziemi, z gospodarstwem mlecznem, naprzykład, jak obok, u Michała Kobierskiego, bo to jest najprostsza rzecz, nieryzykowna, szczególnie w tych stronach, z których stale masło idzie do Warszawy. I ładny dwór z ogrodem.

— Koniecznie gospodarstwo mleczne, koniecznie — wyrzekł podniośle Korecki.

Ludwik spojrzał na niego, i, widząc śmiejące się oczy w twarzy poważnej, znanej mu tak dobrze, powiedział ze szczerym zawodem:

— To ty nie myślisz kupować majątku? Żartujesz sobie...

— Ależ myślę, myślę. Ja wogóle stale myślę, bo to jest moja ulubiona rozrywka. Powiedz mi, czy znasz coś milszego? Bo ja nie.

— Ech, daj mi spokój. Ucieszyłem się, że będziesz tu z nami w okolicy, a ty sobie kpisz.

— Panno Krystyno, chciałbym przedewszystkiem zwiedzić stajnię, czy można?

Krystyna skinęła głową, idąc przed nim i zobaczył w profilu węzeł rudawych włosów i czarne rzęsy. Patrzył dłuższą chwilę.

Stajnia była wielka i widocznie darzona względami. Dwie klacze siwe, pierwsze z brzegu, prychały ochoczo, a jakiś głos przyjacielski odpowiadał z głębi:

— Zdrów, zdrów, siwe.

Krystyna podeszła do szczupłej, wytrenowanej angielki i położyła rękę na łbie kształtnym. Klacz poznała ją i nagle sprężystą postawą okazała gotowość do usług dla swojej pani. Jednocześnie zwróciła na ślicznej szyi głowę trochę w bok i okiem błysnęła nasłuchując, czyli to wzywana jest dla rozrywki, czy też grozi z zewnątrz niebezpieczeństwo i ma bronić.

Wszystko to trwało mgnienie, ale było tak wymowne, że Korecki powiedział szczerze:

— Śliczna klacz i panią lubi. Dobry sługa.

Ja nie wiem, czy sługa, ja się nią zachwycam — odpowiedziała miękko panna Załęska, klepiąc klacz po szyi.

— Ba! — żartował Andrzej, — to jest rycerski stosunek do szlachetnego zwierzęcia i tak być powinno. Sprowadzono tu do tej ciasnoty, na służbę pani, doskonałe stworzenie, z instynktu krwi wolne, i pani je uciemięża za całą nagrodę kładąc rękę na jego szyi. To jest dobra nagroda,

ja to uznaję, a co ważniejsze, że koń się nią w zupełności zadawalnia...

Przeszli dalej, koni było kilkanaście, wszystkie wypoczęte, połyskliwe, o imionach własnych, i cennym rodowodzie, wypisanym nad żłobem w tabliczkach, którym się oczyma mądremi przyglądały przez długie lata. To był ich grób i zarazem ich kolebka.

Korecki nie odróżniał cech poszczególnych, oraz zaszczytów rasowych, które Załęski, Krystyna a nawet Ludwiś, starali mu się naprzemian wyłożyć. Nie podniecało go pochodzenie znakomite, ani cena wysoka, często legendarna, wymieniana jako racja najwyższa pięknego okazu— lecz odczuł wykwint i dobór tej zbytkownej hodowli.

— Ale to ty masz doskonałą stajnię! — zwrócił się do Załęskiego.

— Lubimy konie, i moje dzieci, i ja, to główna nasza rozrywka; dziś to już nie kosztuje, ogiery mam na miejscu, nawet się opłacają, ale włożyłem sporo pieniędzy w tę stajnię przed laty.

Andrzej wspomniał, jak, przyjechawszy w kilka miesięcy po ślubie Załęskiego na parę dni do nich, był w tej stajni, w której stało kilka opasłych koni cugowych i, jak pani Załęska w białej sukience złożyła ręce, mówiąc do Ludwika:

— Ludwiku! Mieć konie rasowe i jeździć konno. Mój Ludwiku!

— Dobrze, — odpowiedział nabrzmiałym tkliwością głosem Ludwik, z wyrazem, który Andrzej do dziś dnia pamiętał — będziesz miała dobre konie.

— A teraz do obory i do młyna — przerwała jego rozmyślania miłym głosem Krystyna — mamy osiemdziesiąt krów i śliczne cielęta.

— Gospodarstwo mleczne — powtórzył z namaszczeniem Andrzej i wszyscy się roześmieli.

Obora, to jest w przyrodzie największy sym-

bol męczeńskiego macierzyństwa. Krowy rodzą, cielaki idą w świat, na rzeź lub na służbę, zbolałe wymiona dają ciągle dla ludzi obcych mleko. W oczach krów jest śmiertelny smutek tej ofiary, a w szerokich krzyżach gotowość niesienia znów ciężaru.

— Ten rudy cielak ma stanowczo zdrożne skłonności — mówił z powagą Korecki, na widok śmiesznego cielaka, który niby szedł naprzód, a fikał nogami ciągle w bok.

— A żebyś wiedział, że to ulubieniec Krysi.

— Aa! to mi wszystko tłumaczy! W pani też jest coś... niby w tę stronę, a jednak w tamtą.

— Jakto? — pytała zaciekawiona panna, — ale w którą? W którą?

— No, panno Krystyno, — zaczął Andrzej — żart nastronę ale niech nam pani tu powie szczerze, czego by też pani tak nadewszystko w życiu chciała?

Twarz dziewczyny spoważniała, uderzona tą poufałością. Potem, na mgnienie oka, widać myśl uciekła w głąb, spochmurniała, ale zaraz przebiegło po niej światło, figlarne, kobiece, i powiedziała wolno:

— To pan... już chce wiedzieć? — i nic więcej.

Andrzej strzepnął rękami swobodnie i, podszedłszy do niej, ucałował obie ręce, śmiejąc się, a Ludwik kiwał głową także ubawiony kokieterją córki.

ROZDZIAŁ IV

Andrzej Korecki siedział w Teretczanach pięć dni, i nie zdobył się na obiecaną pani Załęskiej rozmowę.

To było w jego naturze, ta ucieczka przed duchową niewygodą — i to było w atmosferze godzin płynących dla gościa lekko, potocznie. Późna była jesień ale dni wypadły słoneczne, i w ich

ostrej jasności prostowały się myśli a pęczniały jak dojrzałe owoce, wszelkie nadzieje...

„Ostatecznie sama sobie winna! — myślał Korecki. — Odeszła stąd. Dla kochanka porzuciła tych dwoje dzieci. Cóż z tego, że cierpi? Zasłużyła na to, zresztą niema ratunku, choćby się i Załęski zgodził, by dzieci widywały matkę, on pierwszy, jako przyjaciel, mu odradzi. Dzieci już przebolały, stwarzać im teraz nową rozterkę — to absurd. Załęska ma życie za sobą, o dzieciach, nie zaś o niej należy myśleć! Krystyna, widać, że ma naturę wrażliwą, cóż się z nią stanie, gdy będzie musiała lawirować między stęskniona matką, a ojcem, czującym swą krzywdę?“

Tak myślał, gdy pewnego wieczoru zaszedł do niego Ludwik i wyciągnął na spacer.

— Ale nie do ogrodu, chodźmy w pole — powiedział z hamowaną nerwowością. Andrzej wiedział już o co chodzi.

— Chodźmy, gdzie chcesz — odpowiedział.

Właśnie zachodziło słońce i niezmierna cisza panowała w polu. Po gorącym dniu ziemia dyszała ciepłemi wyziewami, jak namacalną rozkoszą. Miała do syta — była nawet senna i znużona.

Słońce też bladło w oczach i słaniało się za złotawe obłoczki nad czarną rzeką. Prosto z dworu skręcili w górę, na pola. Z drogi polnej, wysoko położonej, roztaczał się widok bogaty, dla wszelkiej duszy miły.

Trzeźwy człowiek może się radować ziemią tłustą, rdzawą, na której już soczyście wschodzi ruń pełna obietnic: marzyciel zatonie wzrokiem w lesie szafirowym, jak morze i równie jak ono upragnionym, widniejącym za doliną w oddali niby przepiękne, niespodziewane zjawisko; a kobieta odwróci się i z dreszczem spojrzy na tę czarniawą wodę, płynącą wolno nurtem czystym pośród łąk za ogrodem.

Ale przy zachodzącem słońcu te pola faliste, rzeka, dęby z boku na polanie świecącej wilgocią, szeroka dolina, u której stóp stało całe gospodarstwo i dwór Teretczański — wszystko, co było odmienne jakością i rozmiarem, celem swym i wyglądem, zaczynało żyć utajoną wieczorową wspólnością, cieniami i światłem, które sunęły z dolin ku wzgórzom, jednały pole z trzęsawiskiem, dąb z krzakiem głogu na wyżynie i nawet całą powagę lasu, najwyższą doskonałym szafirem, rzucały w objęcia siwych polnych dróg, pokornych ugorów i karłowatej sośniny.

Nie było już odmiennych zjawisk: zapanowała w przestworzach równość, pospólna szczęśliwość zorzy konającej cicho na ziemi, w lesie i na rzece. Wszechobejmująca szczęśliwość, mądra, niby rzecz duchowa, a wszystka płynąca z blasków słońca, które, odchodząc, równo kocha. I to jest czar wieczorowej pory.

Andrzej nie był marzycielem. Chciał jaknajprędzej mieć poza sobą przykrą rozmowę o Załęskiej. Wiedział już, że jej nie uniknie — Ludwik zaczął pierwszy, obejrzawszy się uprzednio, by sprawdzić, że są wśród szerokich pól zupełnie sami.

— Wiesz, że odkąd ciebie zobaczyłem, wiem napewno, żeś się widział z Marją. Czy to ona była u ciebie?

Nie bez zdziwienia odpowiedział.

— Ona, ja bym jej przecież nie szukał.

Nastąpiło dłuższe milczenie, poczem Korecki zaczął mówić nagle, zupełnie wbrew temu, co zamierzał.

— Słuchaj, bracie. Powiem ci, że mnie nawet wzruszyła. Nie potrzebuję ci opowiadać, co myślę o całej sprawie, zresztą — dawne dzieje.

Ludwik syknął z cicha, a Andrzej ciągnął spokojnie:

— Wybacz, że mówię. Ale obiecałem kobiecie. Ona prosi, błaga, by mogła zobaczyć dzieci, tę-

skni. Mówię ci, że choć jej nigdy nie daruję tego, co zrobiła, rozpacz jej uczyniła na mnie wrażenie. Powiedz, czy byś tego nie uznał za możliwe?

— Nigdy — odrzekł Załęski z twarzą poszarzałą.

— Dlaczego? — Nie zapominaj, że to matka, mój Ludwiku.

Sam się zdziwił, skąd broni tej kobiety i temu, że zaczyna go ta obrona obchodzić.

— Ona nie ma żadnych praw do tych dzieci, rozumiesz, żadnych, rzekł Ludwik porywczo — ale nie o to chodzi — Chodzi mi o szczęście dzieci. Nie pozwolę ich zatruwać na nowo, i tak każde z nich, choć się z tem przedemną kryje, wiem, że ma i dźwiga samotnie swe półsieroctwo i nawet zgrozę tego, co się stało! Ale to już trudno. Staram się im ułatwić życie, obcuję z niemi, by zagoić to, co jeszcze boli. Ale odnowić to wszystko — to by było szaleństwem. One nie tęsknią do matki.

— O, tego nie mów Ludwiku, bo tego ty nie wiesz.

Załęski spojrzał na przyjaciela szybko, potem patrzał uparcie w las ciemniejący na horyzoncie, i rzekł z wahaniem:

— Wiem, nie wspominają. Niczego im nie brak.

— Tęsknota za matką bywa odczuwana żywiołowo, nagle, w jakimś momencie, niekoniecznie ma się uwydatniać przez smutne usposobienie, bywa ukryta, ale złamać ją, nagiąć, może być rzeczą niebezpieczną.

Mówił tonem rozumnym i przekonywującym. Sam nie wiedział, dlaczego tak mówi.

Ludwik jakby go nie słuchał, bo zapatrzony w przestrzeń, potrącał laską kamyczki na drodze i znów milczał. Wreszcie ocknął się, i kończąc bieg myśli, wyrzekł głośno:

— Nie mogą za nią tęsknić. Ona nic im nie dała... nawet swego uroku... — dodał ciszej ze smutkiem.

— Eh, bo ty zawsze jesteś poeta! Dała im swoją

krew i ta niewiadomo nigdy, jaką miłością wybuchnie nagle, i kiedy, bo jest wspólna. Cóż ty poważnie myślisz, że one mogą nic nie mieć z matki, nie czuć, że jej niema, nie pragnąć jej zobaczyć? Przecież nie była zła dla nich?

— Bawiła się z niemi długo, czasem całemi godzinami — mówił Ludwik do siebie — śmiała się głośno tylko z niemi, ze mną nigdy; a potem je porzuciła — Ludwiś miał pięć lat.

Wzdrygnął się, i chciał gwałtownie zmienić przedmiot rozmowy, czując, że już nie może. Nie mógł nigdy spokojnie myśleć o niej. Nie dlatego, że odeszła, ale że się śmiertelnie przez nią na sobie zawiódł! Po jej odejściu cierpiał i wił się z boleści nad utratą upragnionej, jedynej w życiu miłości. Ale przedtem, te miesiące ostatnie wspólnego życia, to było coś gorszego, niż cała rozpacz, która przyszła potem... Wówczas, przy niej, gniew wybuchał jak rana ropna, jątrząca i wstrętna. Czarna męka niesprawiedliwości, zarzutów wzajemnych, rzucała w oczy niby żwir miałki — irytację napastliwą, pieniącą się. Był delikatny, a stał się gburem, miał naturę miękką, a uderzał ją każdem słowem ostro, nemiłosiernie, cały rok ostatni, gdy była przy nim! Dziś dygotał, zęby mu szczękały jak w febrze na samą myśl, po dziesięciu latach, że była przy nim i że ją dręczył.

Ale bo mu odeszła — odchodziła całą duszą wolno, zimno, znacznie wcześniej, nim padła w objęcia kochanka. Nigdy jej nie czuł oddanej sobie w pełni, zawsze błądziła gdzieś oczami daleko, a ręce, które przesuwała po jego wyciągniętych ramionach, nie zaciskały się nigdy na jego szyi. Co to było? Dlaczego odeszła? Kochał ją— dziś jeszcze ją kocha, jak straceniec, choć przeklina.

— Marja — zaczął wreszcie ochrypłym głosem — przywykła wymagać, sama nic nie dając. Powiedz, po dziewięciu latach wszczynać tę kwestję... czy to... czy to wolno sobie na to pozwolić?

— Może ją zawiodło nowe życie i wraca do tego jednego, co zostało jej? Że jest matką...

— A dajże mi pokój, daj mi pokój — i ja mam tym przemianom asystować? Dostosowywać się do nich? Ja, albo moje dzieci? A, daj mi spokój, bo nie mogę, nie mogę...

Andrzeja zdziwił głos zmieniony, idący z głębi. Wydawało mu się, że po upływie 9 lat można o wszystkiem rozmawiać spokojnie. Mylił się. Ludwik byłby może przebolał utratę Marji, jej odejście nawet, bo był to w gruncie rzeczy słaby człowiek, ale nie mógł przeboleć tego spodlenia dobrej swej natury w nieszczęściu.

— Jakże? — mówił sobie w bezsenne noce. — Prawdaż to? Dręczyłem ją tu, w moim domu, przybyłą dla mnie, z mojej woli?

Pamiętał, że gdy podejrzenia jego padły na człowieka, z którym miała później połączyć swe losy, stał się dla niej okrutny. Rok cały, gdy ona widocznie walczyła z sobą, zmagała się — on dziko, nie wiadomo już o co, z nią walczył! Jak jej musiało być źle i rozpaczliwie, widząc w nim wroga nagle przy domowem ognisku, razem założonem, przy dzieciach wspólnych, które kolejno tuliły do nich głowy? Czemu jej nie powiedział, żeby odeszła? Czemu ten rok zwłoki, najcięższy w życiu? Przecież już się nie łudził, dawno wiedział, że jej duszy niema w Teretczanach, a pragnął ponad wszystko widzieć ją przy sobie, bladą, z oczyma zestraszonemi, drżącą, roztargnioną boleśnie.

Czekał, czy wyzna, czy błagać będzie o przebaczenie, czy zdobędzie się na uczciwe słowo. I doczekał się tylko swego upadku. O, zgrozo, o męko niezagojona!

Marja trwała w milczeniu, nigdy nie odpowiadała uniesieniem na sceny nagłe i na ubliżające słowa. A wymagał zwykłego trybu życia w domu, którego posady trzeszczały. Dawniej pobłażliwy — teraz był tyranem. Robił wyrzuty o służbę, o niezgrabność lokaja, o wychowanie dzieci,

wszystkiemu była winna ona, bo on był nieszczęśliwy. Widywał jej oczy opuchnięte i ręce białe, słabe, jak drżały lekko. Raz w piekielnej zawziętości powiedział jej, że rozumie, dlaczego jej ojciec opuścił matkę — chociaż znał matkę Maji i szanował jej starość.

Wówczas, po raz pierwszy, zobaczył ją płaczącą. Odeszła, jak zwykle, bez słowa, ale po paru godzinach zastał ją w ogrodzie, trzymała na kolanach Ludwisia, ukryła głowę w jego malutkich ramionach, i szeptała z twarzą zalaną łzami:

— Ludwisiu, Ludwisiu, Ludwisiu!

Na ten widok przeszedł go dreszcz i zbliżył się do niej. Chciał mówić. O, gdyby mu powiedziała jedno słowo!... Ale ona spojrzała ze strachem na niego, wzięła dziecko na rękę i szczuplutka, drobna, odeszła z nim wolno. A on został i tępo kiwał głową.

Korecki zrozumiał, że wspomnienia przeszkadzają Ludwikowi mówić i, że mu jest ciężko, ale nie mógł nie skończyć rozmowy.

— Bo, widzisz, — zaczął na nowo — ona ma u mnie być niedługo, chcę wiedzieć.

— Ma być u ciebie niedługo! — powtórzył Ludwik, Andrzeja zaś uderzyło podobieństwo do słów pani Załęskiej, na wiadomość, że Korecki jedzie do Teretczan. — Aa...

— Tak, więc chcę wiedzieć, co ja jej właściwie mam powiedzieć, jak się ta rzecz, choćby prawnie, przedstawia?

— Powiedz jej, że ja nie życzę sobie, by kiedykolwiek widywała dzieci. I nic więcej.

— Okrutne.

— Tak, okrutne.

— A jeśli ona będzie się potajemnie o to starała? Zrobiła na mnie wrażenie półprzytomnej, gotowej na wszystko.

— To ja przeszkodzę, — rzekł Załęski i na chwilę mgiełka zeszła z oczu szarych, które błysnęły zimno.

— Cóż, — odpowiedział oschle Korecki, nie myśląc już o przyjacielu — możemy tak sobie ustalać rzeczy, jak chcemy, a właściwie dzieci same zdecydują.

— To kiedyś...

— Nie, nie kiedyś, a zawsze. Bo przecież, gdyby które z nich ci oświadczyło chęć zobaczenia matki, to — to byś się zgodził.

Ludwikowi widać ta myśl nigdy nie przychodziła do głowy, bo stanął. Dochodzili już do lasu i owiało ich nagrzane powietrze sosnowe.

— Oni? — chęć zobaczenia matki? Krystyna... Kto wie? Ludwiś napewno nie zechce — mówił z trudem.

Tu przemknęła mu wizja pięcioletniego Ludwisia, na którego małej piersi tuliła zdradziecka matka swą głowę, i zacisnął zęby, bo czuł, że zaczynają dygotać.

— Więc dobrze, — powiem jej, powtórzę co mówisz — rzekł Andrzej, nieco zły na to, co go czeka, — ale ty pomyśl jeszcze nad tem spokojnie, żeby ci czasem życie figla nie wypłatało.

Ludwik ujął go pod rękę miękkim, przyjacielskim ruchem, który był mu właściwy, chciał przeprosić za całe pośrednictwo.

— Wybacz, już po raz ostatni jesteś na to narażony, napewno po raz ostatni.

— Ciężka będzie rozmowa — wyznał rozbrojony Korecki.

Ludwik odgarnął siwiejące, bujne włosy z czoła i powiedział:

— Wracajmy.

Było już ciemno, gdy wchodzili do dworu, gdzie panował gwar.

— Goście — powiedział niechętnie Korecki.

— Łanieccy — mruknął Ludwik, widząc przez oświetlone okna na środku salonu świetną postać i głowę, jakby wykutą z kamienia, pana Łanieckiego.

— To dziwne, że oni przyjechali razem — ob-

jaśnił — on ma teraz w okolicy przyjaciółkę i, jak zawsze w tych okresach, nienawidzi żony, a to jest przemiła kobieta i bardzo nieszczęśliwa.

W salonie zastali ożywioną Krystynę, rozmawiającą z panią Łaniecką, młodziutką osobą, o dziecinnej twarzy. Pan Łaniecki przyglądał się pannie domu z jawnem upodobaniem. Pani Zawara umiejętnem złożeniem rąk na przodzie figury wyrażała, w zastępstwie pana domu, uczucia gościnne. W salonie był ktoś jeszcze barczysty, starszy pan, starannie i elegancko ubrany Był to pan Ostoja przyjaciel domu.

Na widok jego Ludwik ucieszył się. Ale podszedł przedewszystkiem do pani Łanieckiej, która wyciągnęła do niego ciemną rączkę i uśmiechnęła się z dobrocią.

— Witam, cóż za mili goście i co za niespodzianka. Jakże się pani miewa, lepiej?

— Dobrze, zupełnie dobrze — odpowiedziała, rzuciwszy niespokojne spojrzenie na męża. Mieliśmy Teretczany po drodze do Warszawy, jedziemy samochodem i wstąpiliśmy na parę godzin.

— Jestem uszczęśliwiony — mówił Załęski, patrząc z przyjaźnią na śliczną kobietę, potem przedstawił Koreckiego.

Nazwisko Andrzeja nie było tu obce i witano go z widoczną atencją. A on lubił, nawet w zapadłym, wiejskim dworze, poczuć się pierwszym i uprzywilejowanym, toteż, jedynie gdy całował śniadą rękę pani Łanieckiej, doznał zawodu; ta młoda i powabna osoba posiadała cnotę kobiecą; kochała się w swoim mężu i powitała Andrzeja uprzejmie, ale obojętnie.

Krystyna natomiast wodziła za nim oczyma i patrzała jak stary, siwy pan Ostoja ukłonił mu się głęboko. Korecki, który był impulsywny, poczuł odrazu do niego sympatję i rozmawiał z nim dłuższą chwilę.

— My, tu na prowincji — mówił Ostoja z młodym uśmiechem, patrząc prosto w oczy Andrzeja

— czekamy dawno i z upragnieniem, kiedy szanowny pan weźmie się do polityki... Tak mało wybitnych ludzi... nie można tak marnować talentu.

Andrzej odpowiedział wesoło:

— Jeszcze mi życie miłe! Panie, polityka, to jest mus obcowania z najgłupszymi ludźmi na świecie i nie wiadomo, na co dobry polityk więcej sił zużywa, czy na zwalczanie głupoty, czy na kierowanie nawą państwową. Ja tam wolę na tysiąc osłów napadać piórem, niż jednego choćby przekonywać osobiście.

— Ależ pan jest doskonałym mówcą! Ostatnie przemówienie w Lublinie obiegło cały kraj.

— To już zasługa piwnic ziemiańskich, lepszych, niestety, od ziemiańskiej polityki. Tak mnie gościli, takie pyszne wina wydobyto, tak mnie starano się przekonać, że wreszcie musiałem przemówić, no i, okazałem się niewdzięcznym gościem.

Ostoja kiwał głową z uśmiechem, pełnym zrozumienia i szczególnie wdzięcznym, a Korecki, widocznie chcąc uniknąć poważniejszej dyskusji, i widząc, jak Łaniecki ciągle zabawia Krystynę, zapytał głośno:

— Panno Krystyno, czy pani jest za reformą rolną?

Krystyna, pomimo żartobliwego tonu, zaczerwieniła się, spoważniała i po chwili milczenia powiedziała:

— Jestem.

— O, zgrozo — zawołał Ludwik. — Stary przyjaciel na złą drogę sprowadza mi córkę!

— Brawo, panno Krystyno, jesteśmy w ścisłym sojuszu — odrzekł Andrzej.

— Bardzo mi to pochlebia — odpowiedziała, spoglądając na niego zalotnie panna Załęska i powoli odeszła od Łanieckiego, zbliżając się do Ostoji i Koreckiego.

Stary człowiek patrzył na nią rozjaśnionym wzrokiem, i Andrzeja uderzyło, że był to wzrok pełen miłości, nie wiedział, czy ojcowskiej, ale

w każdym razie takiej, która przykuwa uwagę i budzi, nawet w przechodniu, nagłe wzruszenie.

Ludwik kiwał palcem ku Koreckiemu i, znając go, wiedział, że gdy jest usposobiony żartobliwie, to go żadna siła nie skieruje do poważnej rozmowy, a, że przy obecnym doborze towarzystwa uważał ją za daremną, więc, rozejrzawszy się parę razy po przyległej jadalni i, widząc panią Zawarę, funkcjonującą sprawnie i uroczyście przy zastawionym stole, zwrócił się do Krystyny:

— Ty, buntownico, lepiej proś na kolację, a nie szukaj sojuszu z Andrzejem, bo mówię ci, że najgorzej na tem wyjdziesz sama!

Krystyna potrząsnęła złocistą główką, jakby ze smutkiem przyznając ojcu słuszność, a jednocześnie wielkie oczy przezrocze a niezbadane zwróciła na Koreckiego i patrzyła na niego dłuższą chwilę.

Rozmowa potoczyła się jeszcze czas jakiś lekka, ogólna, łagodnie podniecana brzękiem srebra i kryształu ze stołowego pokoju.

Gdy służący oznajmił, że kolacja podana, wszyscy odczuli zgodnie i to się odczuwa jeszcze tylko czasami w polskim dworze, który ginie, że bywają chwile łaskawe, gdy nawet reforma rolna nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi ludzi zgromadzonych pod dachem miłego człowieka, któremu nic, prócz Walki, w życiu nie jest obce...

ROZDZIAŁ V

Nazajutrz przy rannem śniadaniu omawiano małżeństwo Łanieckich.

— Jaka cicha i ładna osoba — rzekł Andrzej do Ludwika.

— Bardzo nieszczęśliwa. On jest skończony neurastenik, ciągle się w kimś kocha i ona musi słuchać jego zwierzeń i pocieszać go. Potrafi też

robić jej niemożliwe sceny choć tak wytwornie wygląda — mówił Ludwik.

— Rzeczywiście, jest piękny, ma głowę jakby wykutą z kamienia, ale czemu ona go nie porzuci, jeśli on ją źle traktuje? — zapytał lekkim głosem Korecki.

— Są kobiety, które nie potrafią opuścić męża i nie pojmują poprostu, jak taką rzecz można zrobić — powiedziała Krystyna z powagą.

— Czy napewno są takie? — Andrzej uśmiechnął się do niej.

— O, są, i Marylka do nich należy... Pan mówi, że ona jest cicha, tak, jakby nic więcej o niej nie było do powiedzenia. Ona jest intelgentna, wykształcona i bardzo miła w pożyciu codziennem, łagodna i łatwa, ja ją lubię najbardziej ze wszystkich pań w okolicy, ale pan Łaniecki czasem ją wielbi, a częściej wygląda tak, jakby ją nienawidził.

— Pewnie, jeśli ona mu zagradza drogę, a on kocha inną?

— Ale ona jest jego żoną.

— Czyli jego nieszczęściem.

— Pan zawsze żartuje — powiedziała Krystyna, szybko spojrzawszy na niego.

— Nietyle żartuję, ile z humorem wyznaję prawdę.

— Więc, zdaniem pana, ona powinna się z nim rozejść?

— Mają dzieci?

— Było jedno, ale umarło.

— No, to stanowczo powinna go opuścić, dać mu wolność. Pani nie wie, i nie zrozumie nigdy, do jakiego stopnia mści się mężczyzna i nienawidzi za narzuconą niewolę.

Rzucił wzrokiem przelotnie na Ludwika, pomyślawszy, że może go temat drażnić, ale, widząc, jak słucha z zaciekawieniem, ciągnął swobodnie, od czasu do czasu spoglądając na utkwio-

ne w siebie, tające wszelkie uczucia w głębi, oczy Krystyny:

— Widzi pani, jest tak: Małżeństwo jest zawsze niewolą i zawsze ofiarą dla mężczyzny — tylko przy miłości czasem się opłaca, a bez miłości zawsze się mści. Jakie oparcie moralne, jaki bodziec może mieć taka pani do zostania przy mężu i w imię czego zostaje, jeśli ona jest nieszczęśliwa z nim, a on jej nie znosi? Taki dom, taka para ludzi — to jest gorsząca groteska, obrzydliwość.

— Nie zgadzam się z panem — powiedziała Krystyna, której nawał uczuć nie pozwalał powiedzieć więcej, i spochmurniała.

— Ba! Bo to nie jest reforma rolna, to jest sprawa stokroć gorsza, sam to przyznaję — przekornie odrzekł Andrzej.

Krystyna i Ludwik nie mogli powstrzymać uśmiechu, ale Załęski wtrącił:

— Nie upraszczaj zbytnio rzeczy, są jeszcze obowiązki, jest przysięga złożona.

— Przysięga — rzekła z ożywieniem Krystyna i nie spuszczała oczu z Koreckiego.

— Droga pani, cesarzowi austrjackiemu też musieliśmy przysięgać, i Kościół łatwo nas z tego zwalniał.

— Ależ przysięga się Bogu! — rzekła ze zgorszeniem.

— Nie, przysięga się w gruncie rzeczy sobie, że się wytrwa w ofierze, i kobiecie, że się jej nie opuści. Boga się tylko bierze na świadka. Ale jeśli się nie wytrwało, to już przysięga jest złamana, już jest fikcją, około której nie można budować życia. Kobiety lubią żyć fikcjami, dlatego hodują niezmordowanie choćby cień przysięgi, jej pozór, — a my żyjemy rzeczywistością, dlatego nie pojmujemy, co może nas więzić, gdy jesteśmy wewnętrznie wolni.

— Jak to dobrze, że pan się nie żeni — po-

wiedziała z westchnieniem Krystyna, przytłoczona zamętem pojęć, które jej Andrzej narzucał.

Spojrzał na nią z upodobaniem. Dziecinne jeszcze czoło przecinała teraz zmarszczka wzruszeń młodzieńczych i gwałtownych w tym wieku. Rozumne oczy patrzały z lękiem, czy pytaniem, usta żałośnie zacisnął zawód... przeżywała tę rozmowę, jak zdarzenie własne, i pierś jej podnosił szybko bunt, gniew i śmiałość, piękna, bo nie naruszona ciosami walki...

— Śliczne dziecko — pomyślał Andrzej. — A ja jestem skończony łajdak! A zarazem zapytał:

— Dlaczego?

— Bo żona pana byłaby bardzo nieszczęśliwa.

— Nie wiem, nie wiem — odpowiedział głosem tak ciepłym, że Krystyna zaczerwieniła się i parę razy mrugnęła oczami.

Zarazem straciła odwagę do dalszej rozmowy, czując niepokój. Wstała szybko i, zwracając się do ojca, powiedziała:

— Jabym, tatusiu, proponowała spacer do Miławy. Las jest w południe prześliczny. Zawiozę panów dobremi końmi. To już ostatnie ciepłe dni!

I wyszła z pokoju.

Ludwik z uśmiechem spojrzał na przyjaciela.

— Ty zupełnie dziewczynie przewracasz w głowie! Bój się Boga.

— Jest rozumna i ma swoje zdanie, bądź o nią spokojny. Bardzo mi się podoba twoja córka.

Ludwik przesunął ręką po czole.

— Żebyś ty wiedział, ile trudu, ile miłości, ile bólu swego włożyłem w to dziecko! Bez matki... Przerażała mnie myśl, jak wychować córkę. Syn, to co innego, Ludwisia zawsze czułem przy sercu. Małe to było. Ale mężczyzna, nie miałem niepokoju. A Krystyna była skryta, te wielkie oczy szare, które się wpatrywały we mnie z czemś niewymówionem, może z wyrzutem, mo-

że z żalem. Nigdyśmy o matce jej nie mówili, ale...

— Ma śliczne oczy, — przerwał Andrzej.

— Tak, — z roztargnieniem rzekł Ludwik. — Ale czasem w jakimś ruchu, głównie w uśmiechu, była podobna do matki, i wtedy czułem ją nagle odległą, obcą. Myślałem ze zgrozą, że pewnie mnie skrzywdzi, jak tamta... nie czułem prawie, że jest mojem dzieckiem. Ona znów, wrażliwa, zamykała się w sobie, chmurna, na długo. I takeśmy się borykali z sobą, aż nadspodziewanie wyrosła na dobre i oddane dziecko. Uspokoiła się i jest pogodna. To pociecha mego domu. Boję się, że gdy pokocha, to odejdzie i stracę ją.

— A pokocha prędko — mruknął Korecki, jakby do siebie. — To napewno.

— Co?... Czy ja wiem... Ona jest bardzo wybredna, młodzież okoliczna już się stara o jej względy. Michał Kobierski kocha się w niej, ale ja nie chcę słyszeć o niczem i ona, zdaje się, również.

— Hm, — chrząknął Andrzej, i spojrzał w okno, przez które dojrzał profil Krystyny, zajeżdżającej przed ganek.

— To pojedziemy? — zapytał Ludwik, zbudzony z zadumy.

— Bardzo chętnie.

Krystyna, wskazawszy panom miejsce w bryczce, sama powoziła. Andrzej miał przed sobą jej niezwykłe włosy, lśniące miedzią i najczystszem złotem, i patrzał na nie często, a potem wzrok przenosił w pole.

Minąwszy Teretczany, wjechali w płaskie okolice. Krystyna zwracała się niekiedy do gościa, pokazując z oddali dwory i wymieniając osiedla. Najbliżej Michał Kobierski, o 3 kilometry. Jechali stępa, bo wokoło ciągnęły się mokradła i droga się wiła zabłąkana. Wśród łąk stały jeziorka, tak blade, jak zmęczone oczy, nagie, bez

rzęsy — sitowia i zmarszczoną falą, chmurnem czołem, witały jesienne obłoki.

— To niewesoła okolica i zupełnie inna, niż Teretczany.

— Zaraz pan zobaczy — uśmiechnęła się Krystyna i zacięła konie.

Za dużym ugorem, po którym się wałęsały owce i leniwe pastuszki, zobaczył Korecki niespodziewanie wielki las sosnowy — prawdziwą świątynię wśród pokornych pól. Wjechali wolno w szeroką leśną drogę.

Skąd się zwiął, skąd wyrósł w tej słabej glebie potężny, z piersią złotą i różaną i żałobnym szumem na szczytach — ten władczy las?

Sosna jest niepospolitem, jest królewskiem drzewem. Sosna jest przy wichurze nawskroś tragiczna, a w dnie pogodne pełna ukojenia i cicha. W krajach południowych bywa rzeźbiona jak cenny kamień i sroga, wyniosła — u nas jest pieśnią i wonią, jest urną najprzedniejszej mirry... Do przydrożnej sosny można się przytulić, jak do krzyża, kora jej, podobna pianom wzburzonego oceanu oraz piaskom pustyni, kapie złotem bez przerwy, jak ołtarz, jak zjawienie, jak łaska niebiańska.

Las sosnowy stale płonie. Dlatego w zimie ciepło bije od niego, jak od ogniska. Płonie ogniem wieczystym, jednakowo trawiącym głębię konarów, jak i łono samej ziemi. Każdy ten ogień dojrzy, kto mija w śnieżną zimę polski sosnowy las, świecący blaskiem wielkich pni, kto weźmie w rękę zeschłą gałąź sosny z igliwiem rdzawem, przeżartem od płomienia, kto znajdzie rydza, miłośnika sosny, który pachnie dymem, a cały jest koloru pożogi.

W lecie chłodzi i rzeźwi powiew koron ciemnych, ciężkich, woniejących biblijnem kadzidłem. Z igieł sosnowych, napozór ostrych, można usłać miękkie i czarowne łoże. Pod sosną

strzelistą szumnie się marzy, a w cieniu przysadzistej śpisz, jak dziecko, długo i spokojnie.

Sosnowy las jest przedwieczną świątynią. W nej znacznie wcześniej od królów - magów złożyła sosna Bogu i szarej ziemi dar mirry, kadzidła i złota.

ROZDZIAŁ VI

Towarzystwo „Motor“, które od kilku lat rozwijało się świetnie i którego Korecki był twórcą i prezesem, było napozór przedsiębiorstwem czysto handlowem. Rzucił on myśl wśród wybitnych przemysłowców i ludzi zamożnych a bezczynnych w Warszawie, by zrzeszyć się z zamiarem wzmożenia eksportu i ułatwienia ziemianom importu rzeczy niezbędnych, po najniższych cenach. Korecki chciał, trzymając rękę na wytwórczości krajowej, wpływać na rząd, normować jego zarządzenia i starać się prowadzić jakąś stałą, celową politykę gospodarczą.

Jako autor kilku dzieł, które zwróciły uwagę zagranicy, o ekonomji politycznej i finansach odrodzonego kraju, jako publicysta, nietylko znany, ale ulubiony oddawna wśród szerokiej publiczności — miał łatwość propagowania swych pomysłów, miał w tem szczęśliwszą rękę, i tak, w krótkim czasie, po kilkunastu posiedzeniach z wpływowymi ludźmi powstało, ze znacznym kapitałem zakładowym, towarzystwo „Motor“. Nazwa jego, nic nie mówiąca, kryła dla wtajemniczonych urok niezwyciężony wśród ludzi powojennych, mianowicie stały dopływ waluty zagranicznej przy eksporcie.

Nic tak łatwo nie zrzesza dziś ludzi, tak ich nie skupia serdecznie i szybko, jak plan jakichś zakupów, oraz nadzieja finansowego działania i zysku.

Korecki, nie gardząc zarobkiem, miał w gruncie rzeczy cel inny, obchodzący go blisko. Chciał poznać, zbadać i zanalizować wytwórcze możli-

wości kraju, uświadomić sobie doniosłe zmiany ustroju gospodarczego i psychiki ludzkiej po wojnie, chwycić na gorąco przekrój zazębionych interesów klasowych, ich przypuszczalny rozwój, wyłowić, co się da, talentów organizacyjnych z prowincji i ożywić niemi rutynę biurokratyczną ministerstw — i wreszcie wysnuć program gospodarczy, a mając go, przeprowadzić u steru. Interesy szły dobrze, zrobiono kilka wyjątkowo korzystnych tranzakcji zagranicą i na ich tle mógł Korecki łatwiej wewnątrz towarzystwa naginać ludzi do swoich poglądów i do swego celu.

Andrzej, zaraz po powrocie z Teretczan miał myśl zajętą biurem. Zazwyczaj spędzał tam parę godzin dziennie, na intensywnej pracy. Zadanie jego leżało raczej poza lokalem, natłoczonym interesantami, na mieście i u siebie, gdzie konferował z ludźmi, badał ich intencje, oceniał udział i znaczenie w podjętej wspólnie pracy. Kierował ich wysiłkami, lub przynajmniej starał się kierować tak, jak uważał za potrzebne i skuteczne. Naogół nie miał trudności z ludźmi; szczery, jowialny, giętki, gotów zawsze ustąpić czyjejś próżności w rzeczy drobnej, by potem ją wykorzystać w rzeczy ważnej, miał uznanie i autorytet. większy znacznie od tego, jaki wystarczał do intratnego kierowania „Motorem".

Zarazem miał tę satysfakcję, że w „Motorze" pierwszy raz w życiu skupił przy sobie i przy pewnym sztandarze, kilku ludzi, znanych mu oddawna i bliskich. Oni byli ukrytą siłą w nieujawnionej walce, prowadzonej oględnie, z zastępami nowych ludzi. Jednym z nich był Załęski. Na nim robił niejako Korecki próby doświadczalne nad dzisiejszym typem ziemianina i, wiedząc, że próby te wypadają ujemnie, mówił sobie z uśmiechem niewesołym, że przecie to jest jeszcze najbardziej dodatni typ, jaki spotkać można wśród tych sfer. Ale, o ile na tle wsi i warsztatu rolnego Załęski raził go i drażnił nie-

raz swą niezdecydowaną i słabą postawą, o tyle w „Motorze“ był dla niego nabytkiem cennym. Andrzej, przy całej swej samodzielnej naturze, miał pewną słabość uczuciową do świty, do orszaku, chociażby moralnego tylko, ale stanowiącego aureolę, w której człowiek działa, milszą i bardziej podniecającą od blasku urzędowego, jaki otacza ludzi władzy.

Tą świtą, tym orszakiem, a właściwie mówiąc, tym sztabem żołnierskim, była garść przyjaciół, ludzi znanych od młodości, odmiennych dziś i życiowo rozproszonych, ale których związała ze sobą wspólność wysiłku narodowego.

Wola Koreckiego budziła w tych ludziach nietylko uznanie, ale zachwyt. Czasem, gdy przemawiał na posiedzeniu w sali, gdzie lśniały wytworne głowy ludzi z najlepszego towarzystwa i widział oczy rybie, kamienne, wodniste, mętne, przekrwawione, chciwe, bezmyślne, albo wzrok zimny, stalowy, spokojny lub zaczepny, gotowy do walki — to szukał wciąż przemawiając swobodnie, postaci szarych, ginących w tem wyborowem gronie, Załęskiego, Loca, Orwida, Zamienieckiego, doktora Konrada i śledził — to postać zaniedbaną jednego, to bruzdy na czole drugiego, to jakieś oczy wpatrzone w niego, zawsze gotowe przyjąć rozkaz.

Andrzej szedł wolno w rozpiętem palcie, w słoneczny poranek jesienny, do biura, wspominając kilka zaległości i robiąc plany. Jednocześnie wypoczęte nerwy przesiąkały po raz wtóry radością wsi, łaskawą pogodą i czemś w rodzaju tkliwości na wspomnienie imienia Krystyny.

— Co będzie z tym biednym Ludwikiem, jak to urocze dziecko wyfrunie mu z gniazda? — pomyślał. — I do kogo wyfrunie?

Obojętne pytanie nabierało wdzięku, gdy, zastanowiwszy się, dochodził do przekonania, że dla niego, gdyby zechciał, opuściłaby może Teretczany. Jak ona się zaczerwieniła, gdy powiedział,

że chyba nie byłby złym mężem. A powiedział tak naumyślnie, widząc, że jej się podoba.

Ba, ależ to jest dziecko! Andrzej roił spokojnie — żona... tak, to jest napewno materjał na żonę, świeża i poważna — z taką możnaby wytrwać. Ale co ja bym jej z siebie dał? — wyznał szczerze w duchu. Czemby to się przy mnie żywiło, to trzepoczące się, pełne wzruszeń serce — przy mnie, człowieku spokojnym? Mowy niema o zadowoleniu obopólnem przy tej różnicy wieku i typu.

— Niechże mnie Bóg broni — zakończył Korecki swe rozmyślania, wchodząc do biura, gdzie panował wielki ruch. Był piątek, dzień, w którym raportowano przybycie towarów i mnóstwo ludzi ubogo ubranych, zziajanych, cisnęło się z papierami w ręku do kantoru.

Minął szybko, sprężystym krokiem salę dolną i poszedł do swego gabinetu na piętrze. W pokoju było słońce, więc przedewszystkiem otworzył okno i, wetchnąwszy pełną piersią powietrzem, nie czystem, ale wonnem jeszcze jesiennem bogactwem wszelkiego plonu, zasiadł przy biurku. Po chwili z ołówkiem w ręku, kreślił cyfry.

— To źle — mruknął — to im się nie udało. Strata.

Zadzwonił. Wszedł woźny.

— Czeka tam kto?

— O pana prezesa pyta się od dwóch dni pewien pan. Mówi, że w bardzo pilnej sprawie.

— Jak przyjdzie, niech poczeka, podacie mi jego kartę.

Pół godziny pracował w ciszy, notując uwagi, które mu się przytem nasuwały, zaglądając do ksiąg, sprawdzając rachunki. Tę pracę przerwał mu woźny, podając bilet księcia Skarb - Skarbedzkiego.

— To ten pan — rzekł.

— Prosić.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna, fizycznie uprawniony do patrzenia z góry, a duchowo czu-

jący do tego powołanie. Miał szerokie ramiona, nos patrycjusza, prosty z cienkiemi nozdrzami, i oczy niewielkie, bez wymowy.

Andrzej wstał i z prostotą wyciągnął do gościa rękę.

— Skarb - Skarbedzki — rzekł miłym głosem przybyły — nie miałem dotąd sposobności poznać pana prezesa, ale ze słyszenia — i skłonił się lekko.

— Proszę. Bardzo mi miło. Czem mogę służyć księciu?

— O, prezes „Motoru“ słynie ze zwięzłego prowadzenia interesów — zaśmiał się książę swobodnie. — Czy muszę zaraz wyłożyć moją sprawę? Chciałbym trochę porozmawiać z panem.

Tu spojrzał na leżący na biurku swój bilet wizytowy, jakby zaznaczając, że nie potrzebuje chyba nic dodawać do swego nazwiska. Korecki znał go ze słyszenia, jako bogatego człowieka, ale nic więcej o nim nie wiedział. Skłonił się jednak uprzejmie i mówił:

— Ależ proszę, nie śpieszę nigdzie. Oto zaległa robota mniej więcej załatwiona — możemy porozmawiać.

Książę spoważniał.

— Bo, proszę pana, ja śledzę waszą działalność, i nazbierało mi się trochę uwag, które, jak myślę, możeby miały pewne znaczenie dla pana.

— A, naturalnie, z ciekawością słucham.

— Otóż, najpierw system agentów na prowincji nie jest właściwy.

— Tak pan uważa?

— Oczywiście, zupełnie niewłaściwy. Przyjeżdża taki pan, zupełnie nie znający miejscowych stosunków, i kontraktuje zboże czy towar, nie licząc się wcale z miejscową opinją.

— Miejscową opinją? — powtórzył z uprzejmym uśmiechem Korecki — nie rozumiem...

— Zaraz panie, zaraz pan zrozumie. Każda okolica ma swoje właściwości, ludzi, których należy popierać i takich, którzy na to nie zasługują.

— Ale przyzna książę, że dobre zboże i na dobrych warunkach, zawsze należy kupić?

— Właśnie, że nie. Otóż tu wchodzi w grę miejscowa opinja. Jeśli są na miejscu organizacje ziemiańskie, to przecie naturalną jest rzeczą, że przez nie powinniście działać.

— Pewno. Ale naszą zasadą jest dotrzeć do producenta; zrzeszenia, niestety, przynajmniej jak dotąd, są rodzajem pośrednika, i to nieraz drogiego. Przytem mieliśmy kilka zatargów, bardzo niesmacznych, na tle rachunków, z oddziałem — jeśli się nie mylę, — Andrzej zmarszczył brwi — z oddziałem w stronach księcia — Jemiołowice, Zagrzeda, Liny, to księcia majątki prawda?

— Tak, — odparł z pewnem uznaniem w głosie książę. — Pamięta pan dobrze.

— Mam niezłą pamięć. Otóż dlatego, jak powiadam, żadne zrzeszenie oficjalnie nas nie reprezentuje, tylko nasi agenci. Tak robią zagranicą, i z powodzeniem, tego rodzaju firmy, jak nasza. I w ten sposób machina jest lżejsza, sprawniejsza. Zresztą, — dodał z uśmiechem — byliśmy trochę przez wieś zwalczani na początku naszej działalności, zanim znaczne zarobki tych ziemian, co poszli z nami, nie przekonały szerszej opinji, że „Motor“, to jest poważne przedsiębiorstwo. Jakże mogliśmy mieć nadzieję na kooperację panów?

— Hm, w każdym razie uważam za swój obowiązek ostrzec pana prezesa, że zaczyna się wytwarzać duże niezadowolenie i ferment w naszych kołach przeciw „Motorowi“. To chyba nie jest pożądane.

— A, bardzo niepożądane. Poproszę księcia, by zechciał w charakterze gościa przybyć kiedyś na nasze posiedzenie i wyłuszczyć nam swój pogląd, to byłby początek jakiegoś porozumienia — dodał tonem schlebiającym.

— Przybyć mogę i wyłuszczyć mogę, ale po-

rozumienie się osiąga jedynie przez wspólność interesów.

— Słusznie, zgadzam się z księciem. A wspólność interesów jak osiągnąć?

Tu pierwszy raz spojrzał bacznie na gościa.

— Jedynie przez wspólność zysków, — wyrzekł szybko książę i patrzył tryumfująco na Koreckiego, zdając sobie sprawę, że wygłasza nieprzeciętną prawdę.

Andrzej mrugnął parę razy oczami.

— No, tak, zapewne, — rzekł z wesołym uśmiechem, — ale myśmy w ten interes włożyli kapitał, a panowie włożyli krytykę; do zrównania nas potrzeba przynajmniej trochę czasu, zgodzi się książę?

Książe spojrzał niepewnie na prezesa „Motoru". jakby pierwszy raz, nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi poważnie. Ale spotkał się ze wzrokiem jasnym, nic nie mówiącym, uprzejmym. Uspokojony, ciągnął z powagą dalej:

— Krytyka ma też swoje znaczenie, duże znaczenie i, przytem, przyzna pan prezes, że poza krytyką — wydął lekko usta — my coś z sobą wnosimy, gdziekolwiek jesteśmy... co? — zaśmiał się lekko. — Zresztą, ja tylko ostrzegam i rzucam myśl dla dobra ogółu. Sam jestem przeciążony obowiązkami społecznemi i niczem więcej, jak radą, nie mogę służyć, nie mogę...

— Będziemy liczyli na księcia pod każdym względem, a teraz radbym wiedzieć, czem mogę służyć księciu osobiście, bo, zdaje się, jeszcze jakaś sprawa sprowadza go do nas?

— A, tak, przy okazji chciałem coś załatwić istotnie.

— Słucham.

— Chodzi o zaliczkę większą dla jednego z producentów.

— W zasadzie dajemy, choć z musu coraz mniejsze..

— No tak, ale widzi pan, — tu znów książę

wydął usta, — należy się kierować względami ogólnemi, nie można zasklepiać się w ciasnym interesie materjalnym, to jest właśnie rzecz zasadnicza, z tego samego rodzaju, co wogóle zarzuty, jakie stawiam „Motorowi“.

Andrzej spojrzał przelotnie na księcia i z ust jego nie schodził miły uśmiech.

— Słucham, — powtórzył w nadziei, że książę wyrazi się konkretniej.

Tymczasem wpływowy ziemianin, dotąd zupełnie spokojny, zapalił się własnemi słowami.

— Tak, proszę pana, chodzi przecież nietylko o to, by mieć pieniądze, ale by wiedzieć, komu pomóc, kiedy, dlaczego, znać ludzi, ich wpływy, liczyć się z nimi, bo to, panie, więcej znaczy, niż sam pieniądz. Popierać swoich ludzi, na wysokim poziomie stojących, a nie dać się zepchnąć i zalać przez jakieś żądze gawiedzi. Ba! to jest cała wielka polityka. Czyż pan prezes nie zgadza się ze mną? Czy „Motor“ nie jest obowiązany służyć wyższej sprawie?

Andrzej mrugnął, jakby wracając do rzeczywistości.

— Zapewne, zapewne...

— Bo, proszę pana, naprzykład ta historja mego sąsiada, to najlepszy przykład, do czego może doprowadzić anarchja w opinji i wogóle brak porozumienia wśród ludzi o wyższej kulturze.

— Chodzi o tego plantatora?

— Tak, to jest niezupełnie plantatora, ale w każdym razie... Sam prezes zobaczy. Hrabia Ostałło jest dalekim moim kuzynem, ale to nie gra żadnej roli, wogóle jest człowiekiem z najlepszego towarzystwa i bardzo zdolnym. W naszych stronach mieszka od niedawna, bo jakieś niesnaski rodzinne wyrzuciły go z gniazda, w Kaliskiem. Zjechał do nas pełen zapału i zaczął pracować.

— Na roli?

— A, naturalnie. Wyborny znawca i zapalony rolnik. Ja mu służyłem radą i zaznajamiałem ze stosunkami w okolicy. Dziś istnieje mnóstwo spraw delikatnych i drażliwych, trzeba uważać. Jedną tylko rzecz zrobił, którą mu odradzałem, to wdał się w jakiś interes z jednym z dyrektorów fabryk okolicznych. Tamten miał gotówkę, a nie chciał przepłacać zboża i dał kuzynowi ziarno na siew, parę wagonów, z tem zastrzeżeniem, że zbiór będzie jego. Naturalnie, to jest głupstwo, bo na mojej ziemi jaki tam może być cudzy plon? Żeby się nie wiem jak umówić, to w gruncie rzeczy, co u mnie rośnie, to jest moje, co? Przytem kryzys niesłychany chyba zwalnia wszystkich... Co?

— Prawie wszystkich — mruknął Andrzej. — Ziemian w każdym razie, zauważyłem, że zwalnia prawie zawsze.

— No, właśnie, — odparł książę, ledwo słysząc, co Korecki mówi — i tak być musi. Nie napróżno stoimy na straży tego, co w narodzie jest najświętsze: ziemi. Krótko mówiąc, kryzys, trudności, podatki, kuzyn naturalnie nie mógł oddać plonu ani nawet ziarna, bo musiał sprzedać i to ze znaczną stratą, na pniu jeszcze, komu innemu.

— Aha, a tamten miał pretensję? Wynikły spory?

— Jakby prezes zgadł. Co to spory, prawie skandal w okolicy. Ten dyrektor, jak warjat, wpadł do niego, najpierw nagadał ordynarności, jak to potrafią ludzie, mający do czynienia z robotnikami, potem żądał, by kuzyn mu żyrował weksle, niby za ten zawód, więc Ostałło mu słusznie powiedział, że to jest już poprostu bolszewizm. Tamten krzyczał: „Pan sprzedał moje ziarno!“, a Ostałło ze śmiechem: „A pan siał na cudzej ziemi“. Dobrze mu powiedział, co? No, awantura żadnych przykrych konsekwencyj dla kuzyna nie pociągnęła, bo dyrektor sam zmiarkował, że jak wszystko trzeszczy, to są ważniejsze

rzeczy do roboty, niż rzucać się z ekstrawaganckiemi pretensjami na sąsiadów. Ale jednak krzywda stąd wynikła. Ostałło zniechęcił się do pracy. To mnie martwi. Był pełen energji, a teraz boczy się na wszystko. A że pomimo chwilowych opałów, jest to bogaty człowiek i ogromnie zdolny, więc mi zależy na tem, żeby go wciągnąć znowu w jakąś szerszą akcję. Dlatego przyszło mi na myśl, żeby prezes dla dobra sprawy go zachęcił. Związać go jakoś z „Motorem", dać większą zaliczkę, słowem rozruszać, bo to jest dla społeczeństwa strata, kiedy taki człowiek wycofuje się z szerszej areny.

Korecki otworzył szeroko oczy.

— Zaliczkę? Na co mu dać zaliczkę, proszę księcia?

— Na pszenicę, naprzykład, której obsiewa rocznie 500 mórg. I to 1-a klasa. Nikt w okolicy nie ma takiej.

— Na pszenicę, którą sprzeda znów na pniu, jak go potrzeba przyciśnie? A nam powie, żeśmy zbolszewiczeli, bo żądamy tego, cośmy sobie w kontrakcie zastrzegli?

— Pan prezes żartuje, — rzekł z urazą książę. — Hrabia Ostałło jest moim kuzynem i jego osoba nie nadaje się do takich żartów. Ja za niego odpowiadam. — Tu wyprostował swą wyniosłą postać, i spojrzał na Andrzeja.

— Nie znam hrabiego Ostałłę, widzę tylko, że cieszy się poparciem księcia. Ale przyznam się, że ten fakt, który książę przytacza, nie zaleca go na plantatora „Motoru".

— Dlaczego, jeśli wolno zapytać?—rzekł, opanowując swe wzburzenie książę.

— Bardzo proste. Nie dotrzymał słowa. Sprzedał cudzą własność.

— Jeśli o to chodzi, to każdy bankrut, realizując swe resztki, sprzedaje cudzą własność, a nikt do niego o to pretensji nie ma. Ale w tym wypadku hrabia Ostałło był tylko w chwilowych trudno-

ściach, i zupełnie od rozrachunku się nie wypraszał. Proponował go nawet, tylko tamten ordynarnie nie dopuszczał do rzeczowej rozmowy.

— Ostałło chciał płacić dyrektorowi za otrzymane ziarno?

— Pewnie, nie odrazu, bo przecie dziś nikt naraz nie płaci, ale zawsze rozliczyć się uczciwie i spłacać powoli.

— A tamtemu należało się zboże, nie gotówka— na tem polegał interes.

— Ba! Co się dziś komu należy, panie prezesie! Mnie się od jednej kuzynki należy prawie pół miljona złotych, to jest już suma, i wiem, że muszę czekać, aż umrze, i ze spadkobiercami się układać, bo żadna siła ludzka nie wydrze od niej tych pieniędzy.

— Książe uśmiechnął się z humorem, — A „Motor“ nie ma u ludzi, przy dzisiejszym kryzysie, żadnych zaległości? Nikt nie zawiódł was, nie ponieśliście strat?

— Owszem, ludzie zawodzą ciągle, i to jest fraszka, chodzi tylko o to, by tym, którzy przyczyniają nam strat, nie dać okazji do ich powtarzania!

— Zatem skazać ich na zagładę, opuścić? — rzekł z pewną boleścią w głosie książę.

Andrzej roześmiał się szczerze.

— Ha, my nie jesteśmy instytucją filantropijną, co do tego nie łudziliśmy nikogo.

— Ale nawet handlowe przedsiębiorstwo w Polsce musi, jeśli chce cieszyć się szacunkiem, liczyć się ze względami społecznemi i patrjotycznemi.

— Przez dawanie zaliczek, mości książę?

— Po raz drugi w tej rozmowie nie rozumiemy się, panie prezesie, — powiedział z godnością książę. — Nie chodzi o zaliczki, ani o hr. Ostałłę, który da sobie bez „Motoru“ radę, i ruina mu nie grozi. Chodzi o zasadę, o ideę. Trzeba popierać ludzi, z którymi nas coś wiąże, żeby ich nie poparli ci, których zwalczamy.

Ostatnie słowa wymówione były z naciskiem.

— Książę ma na myśli kierunek radykalny?

— Mam na uwadze radykałów i wogóle ludzi obrotnych, — rzekł książę, nie bez porywczości.— Ostatecznie, u nas każdemu się powodzi, kto nie ma skrupułów, a jak kto myśli partjotycznie i chce skupić ludzi pod innemi hasłami, to go spotyka takie przyjęcie, jakie ja mam u prezesa. To się wkońcu znudzi. Gdzieindziej przyjmą człowieka z otwartemi rękami. Ba, ułatwią wszystko.

Andrzej przesunął ręką wolno po swem pięknem, wysoko sklepionem czole.

— Każdy powinien iść tam, gdzie go przyjmą z otwartemi rękami, i niczem się nie krępować. Musi być dobór naturalny — mówił, patrząc w okno, i mając ochotę spojrzeć na zegarek.

Książę wstał.

Gospodarz z rozjaśnioną twarzą zapytał:

— Książę długo zabawi w Warszawie?

— Jutro wyjeżdżam. Czeka mnie wiele spraw.

— A, jaka szkoda, nasz zarząd dopiero w piątek się zbiera. Proszę księcia koniecznie za następną bytnością uprzedzić mnie, to zwołam specjalne posiedzenie, żeby książę był łaskaw wyłuszczyć nam swe poglądy w sprawie zasadniczego porozumienia. Proszę wierzyć, że bardzo mi na tem zależy. Wiele spraw się wyjaśni, wiele utrze, niejedno wspólnie załatwi.

Skarb - Skarbedzki z niedowierzaniem spojrzał na niego.

— Widzę uprzedzenie i tendencje ironiczne u pana prezesa. Wychodzę niebardzo zachęcony.

— Proszę tak nie mówić — zawołał w postawie pełnej kurtuazji Andrzej — byłoby mi niesłychanie przykro. Jeszcze z tego Ostałły zrobimy głównego producenta na całe Kieleckie. Tylko musimy się trochę zorjentować we wzajemnych naszych potrzebach, poznać; książę mnie zaskoczył, proszę darować.

— Chyba, chyba, że prezes zmodyfikuje swe poglądy czy uprzedzenia.

— Życie je ciągle modyfikuje, jakże nie ma ich taki skromny człowiek, jak ja, dostosowywać do okoliczności? Proszę liczyć na mnie.

— Do zobaczenia, — odrzekł książę. — Dam znać o następnym mym przyjeździe.

— Bardzo będę wdzięczny, moje uszanowanie księciu! — odprowadził go do drzwi, i stał w nich chwilę, póki wysoka postać nie znikła mu z oczu.

Książę na ulicy rozejrzał się, jakby zdezorjentowany, poczem mruknął:

— A to osioł! — I zatrzymawszy przejeżdżający samochód, rzucił się na siedzenie wygodnie i ociężale, jak człowiek, który dokonał czegoś, ale się znużył.

Andrzej dłuższą chwilę bębnił palcami po stole, nim się zabrał z powrotem do pracy.

ROZDZIAŁ VII

Do gabinetu, przyćmionego kotarami z brokatu, wszedł niemłody człowiek, dysząc ciężko. Oznajmił się służącemu i czekał stojąc.

Hrabia Tyniecki przyjmował w tej porze interesantów. — Właśnie wszedł ogromnej tuszy, duży, z nerwowym tikiem w oku. Administrator ukłonił się, hrabia zaczął mówić szybko, siadając do biurka.

— Dzień dobry. Tak jak zawsze proszę, ani słowa zbytecznego. Ile?

— Tym razem, panie hrabio, muszę dać wyjaśnienie...

— Ani słowa. Żadnych wyjaśnień, panie Maniecki, ja żądam jedynie cyfr, uczę pana tego już dość dawno.

— Z jutrzejszym dniem, jęczmień i rachunki montera 1700 złotych.

— Ho, ho, dostanie pan połowę... Korzyce?
— 2500 złotych.
— Romany?
— Bilans nie gotowy.
— Młyn?
— Idzie.
— Lejba przychodził?
— Na ceny się godzi, da gotówkę jutro. Pozatem chciałem prosić...
— Ja próśb nie uznaję i dlatego lubię żydów, ze oni o nic nie proszą.
— Choroba... — zaczął Maniecki.
— A żydzi nie chorują — rzekł z triumfem w głosie pan Tyniecki — nie mają na to czasu, przynajmniej faktorzy. Tam, gdzie jest interes, nie może być choroby... Rozumie pan?
Administrator spojrzał w przestrzeń z nieokreślonym wyrazem.
— Muszę wyjechać na dwa dni — rzekł cicrym głosem.
— Nie wyjedzie pan! Rachunek Sawickich?
— Dwie raty zapłacone, trzecia za miesiąc. Weksle zdyskontowane.
— Termin?
— 20 kwietnia.
— Może pan odejść.
Podał mu rękę, i Maniecki wyszedł, a na schodach przetarł sobie oczy ręką.
Hrabia też przetarł czoło, ale jakby po ciężkiej pracy.
— Trudności z ludźmi, nieopisane trudności... - - mruczał przyjemnie.
Przeglądał papiery, ale wzrok jego biegł co chwila w stronę Illustracji francuskiej: była tam duża, fotografja tej dziwnej kobiety, która opuściła warszawskie towarzystwo, będąc jego ulubienicą, i w Paryżu poślubiła włoskiego arystokratę, kulawego, o słynnej wprost brzydocie. Pan Tyniecki interesował się panią Zawierską, był to nawet sielankowy poryw jego natury,

jedyny może w życiu. Dziś patrzał w twarz zuchwałą, o rysach mocnych i ustach pieszczotliwych i jeszcze czuł ciepło i wibrację krwi na ten widok.

Lekkie pukanie do drzwi odwróciło jego uwagę od gorzkawych wspomnień.

— Można wejść — rzekł głosem, który wyrażał nadmiar przeciążającej pracy.

— Witam cię, moja droga — powiedział na widok cicho wchodzącej żony.

Pani Tyniecka o bladej twarzy, zachowującej wątłe cienie młodości, miała duże, kasztanowate włosy, z jednem tylko białem pasmem na czole. Głowa, obciążona grubym splotem warkocza, zachowała w wyrazie coś dziewczęcego. Oczy zaś były martwe i bez żadnych świateł. Mówiła cicho, głosem obojętnym i bardzo wyraźnie.

— Henryku, chciałabym się z tobą rozmówić. Może masz chwilę?

— Jestem wyjątkowo zajęty, wyjątkowo, ale służę ci.

— Nie — powiedziała. — Naprawdę już trzeba coś zdecydować, a ja niebardzo umiem.

— Chodzi ci o Niunię? — marszcząc brwi, zapytał hrabia.

— O n ą i o pana Koreckiego, chciałabym się poradzić. Ty wiesz, Niunia ma taki żywy temperament i jest trochę samowolna. Wszystko razem jest niepokojące, może ty co poradzisz.

— Pan Korecki podoba się Niuni? — zapytał z lekką ironją w głosie.

— Ona jest poprostu w nim zakochana.

— O, zaraz zakochana, jak wy lubicie, nawet takie spokojne kobiety, jak ty, przesadzać i dramatyzować. Ho, ho, ho!

Pani Tyniecka uśmiechnęła się.

— Nie wiem, ty masz zawsze rację, ale niema chyba mowy, byśmy pozwolili. Więc trzeba te stosunki zerwać. A znowu zamknąć dom temu panu... Sama nie wiem, on jest bardzo dobrze...

— Wybitny człowiek i gładki — chrząknął pan Tyniecki. Nie bój się, ja się z nim rozmówię. Widuję go prawie codzień, razem stoimy na czele „Motoru".

— A, to doskonale. Bardzo ci będę wdzięczna, może ty znajdziesz jakiś sposób.

— Znajdę, ale pomów z Niunią i uprzedź.

— Zrobię, co tylko będzie można, ale ty wiesz, na nią nikt nie ma wpływu — mówiąc to, wstała i odeszła wolno ze spokojem i obojętnością zupełną.

— Nie jest żoną, niebardzo jest matką. Czemże ona jest właściwie? — pomyślał odruchowo pan Tyniecki, patrząc na młodą, ciężką od włosów głowę odchodzącej.

Ale myśl ta była przelotna, nie była też wcale przykra.

Pani Marja Tyniecka, wyszedłszy z gabinetu męża, obeszła cały dom. Wydawała rozporządzenia służbie powolnym i równym głosem. Trzy salony na pierwszem piętrze, Ludwik XVI, biały i złocony, były pogodne, za niemi jej buduar z ciemnego mahoniu, posępny, lubiła go jednak, bo dużem oknem wychodził na zimowy ogród. Dalej pokój córki i sypialnia pani. Tu widać było bujną zieloność zimowego ogrodu, który przylegał szklaną ścianą do buduaru i do sypialni i był przez samą panią domu pielęgnowany z miłością. Teraz, mijając go w poszukiwaniu Niuni, obróciła jednak głowę ku kwiatom i na ustach jej pokazał się uśmiech dziecinny, wyczekujący; jakieś potajemne z czemś wymarzonem przymierze...

Stanęła nawet na chwilę, i w umyśle, lekko ospałym od rana, zakotłowało od rozkosznych wrażeń.

— Pięć róż kwitnie, trzynaście pąków razem... cynerarje odżyły — kencji trzeba liść uciąć — usechł — ale nie teraz, dopiero jak słońce będzie na kwietniku. Oh, ile roboty... — przeszło jej błyskawicznie przez myśl z lubością.

W tej chwili otoczyły ją czyjeś ramiona

i pani Tyniecka, zaskoczona i zażenowana, spoważniała zaraz.

— Moje dziecko, właśnie ciebie szukam. Chodź tu na kwietnik, porozmawiamy.

Panna Marysia była prawdziwem zjawiskiem. Pani Marja, patrząc na przepyszne, szafirowe oczy, o gorących, koloru słońca promieniach, któremi patrzała w świat, jak w pokonaną zdobycz — daremnie mówiła sobie, że to jest jej córka. Nie czuła nic wspólnego między tą świetną, wielką panną o postawie urodziwej i ruchach pełnych swobody — a swoją, cichą i spokojną postacią. Podobała jej się córka, ale nawet nie mogła się nią cieszyć, jak cieszy matkę dziecko, w którem drzemie nieokreślone, a przejmujące podobieństwo.

Ta upragniona córka przyszła na świat, i potem zajęła miejsce w domu państwa Tynieckich, jako coś niezależnego; nie wniosła najtkliwszego z darów: wzruszania sobą całego otoczenia...

Była zdrowa od dzieciństwa i coraz piękniejsza — nie związały się z nią żadne troski. Nic się nie stało od dwudziestu lat, od dnia jej urodzin, coby nagłym porywem złączyło te trzy osobne egzystencje. Z dnia na dzień snuło się życie, i nikt się nie przyczynił do żadnego związku między niemi. Nie było dysharmonji, nie cierpiano. Tylko czasem nie rozumieli wszyscy troje, co znaczą ich postacie obok siebie — i co to za przypadek właśnie ich umieścił razem pod jednym dachem!

— Moja Marysiu, — ty się trochę durzysz w panu Koreckim, i z papą mówiliśmy, że trzeba ci powiedzieć... — zaczęła bez żadnej intonacji pani Marja.

Pogodna twarz dziewczyny zmieniła się momentalnie.

— Moja mamo — zawołała — dajcie mi spokój!

Pani Marja mówiła z lekkim uśmiechem i dobrocią.

— Nie trzeba robić nadziei miłemu człowiekowi, za którego nigdy nie wyjdziesz zamąż.

— Tak, nie wiem, czy mnie zechce, — z ciemnym rumieńcem rzekła szorstko.

— Co też ty mówisz? Onby ciebie nie chciał?— matka obrzuciła postać panny wzrokiem pełnym uznania, a widząc jej twarz rozgorzałą, w jednej chwili dodała:

— Tylko papa i ja nigdybyśmy się na niego nie zgodzili, niema o czem mówić. Ja nawet nie wiem, czy to jest szlachcic. Moja Niuniu, poco się denerwować takiemi myślami — wybij to sobie z głowy, jesteś rozsądne dziecko.

Dziecku zadrżały nozdrza.

— Moja mamo, moja kochana mamo! — rzekła z pobłażliwością w głosie. — Co wy macie przeciwko panu Koreckiemu?

Pani Marja mrugnęła parę razy i spojrzała bacznie na krzak ponsowej róży, jakby w nim szukając natchnienia.

— W naszej sferze—rzekła po chwili—słusznie powiedział kiedyś papa, że się nie za tego wychodzi zamąż, przeciw któremu się nic niema, ale za tego, za którym coś przemawia. Ale nie o to chodzi, pan Korecki nie jest możliwym kandydatem do twojej ręki, przedewszystkiem jesteś bardzo młoda... Wogóle... niema o czem mówić...

Pani Tyniecka nie miała zdolności argumentowania, córka widocznie wiedziała o tem.

Siedziały obie w ostrem świetle zimowem, a wokoło pachniały bzy i róże ponsowe, białe i różowe. Marysia przymknęła na chwilę oczy, chłonąc powietrze i blaski, jak jeden z tych pąków wokoło. Matka patrzała na doniczki kwiatowe, myśląc z roztargnieniem o ich potrzebach.

Panna Tyniecka ocknęła się i, zwróciwszy na matkę swe oczy przepyszne, ocienione czarną rzęsą, a patrzące roztopionem złotem i szafirem, oczy, bohaterskie w wyrazie, rzekła bez żadnego wysiłku:

— Moja mamo, ja kocham pana Koreckiego, i tylko za niego wyjdę zamąż.

Matka nie okazała zbytniego zdziwienia, westchnęła lekko i powiedziała:

— To się rozmówisz z papą, bo — chciała dodać: bo ja nic nie wiem, — ale powstrzymała się.

— Bo nie rozumiem, jak możesz dire de telles bêtises, przyznawać się do uczucia dla człowieka nieodpowiedniego. Wstydź się, Niuniu — robisz mi wielką przykrość.

Twarz jej wyrażała przymus i zmęczenie.

— Mamo! — zawołała Marysia lekko ochrypłym głosem. — Czy to jest wszystko, co masz do powiedzenia córce, która ci mówi, że kocha?

W jej głosie nie było nic, prócz zdziwienia, ale pani Marja zaróżowiła się nieco.

— Miałabym wiele do powiedzenia, — rzekła chłodno — ale nie chcę ci robić przykrości. Egzaltujesz się, i w takiej chwili trudno z tobą rozmawiać rozsądnie.

— Nie mamy poco rozmawiać, mamo, i tak się nie zrozumiemy.

Pierwszy raz ściany tego spokojnego domu usłyszały słowa rozdźwięku. Pani Tyniecka nie przywykła do nich, ale pojęła ich szkodliwość.

„Takie słowa mogą mi zepsuć córkę“, — przemknęło jej przez myśl, ale nie widziała ratunku. Przecież pozwolić jej wyjść za pana Koreckiego nie można w żadnym razie.

— Pierwszy raz, moja Marysiu, tak się wyrażasz. Nie chodzi o to, żebyśmy cię zrozumieli, bo takiej niedorzeczności my pojąć nie możemy, tylko żebyś wiedziała, jak się dostosować do woli rodziców.

To mówiąc, wstała; szczupłą ręką, na której połyskiwały, jakby z pokorą, dwie wielkie perły, dotknęła gałązki bzu, macając kształt i odczuwając przez ten kontakt fizyczne tęsknoty kwitnącego krzaku.

„Wody", pomyślała, i chciała iść, ale spojrzała na córkę.

Ta miała oczy przymknięte i jakąś chmurę na twarzy o wydatnych rysach, pełnych charakteru. Pani Tyniecka pożałowała córki, ale słów nie mogła znaleźć. Bała się trudności, związanych z panem Koreckim i miała o nie pretensję nieokreśloną do dziecka.

— Jest jedenasta, — rzekła łagodnie, tonem obojętnym, — pojedź konno; dziś śniadanie o pół do pierwszej. Będzie pani Margoli z synem.

I wyszła.

Panna Marysia siedziała na niskim foteliku jeszcze długo, z oczyma przymkniętemi i głową przechyloną, opartą o skrzynkę z prymulkami. Włosy lekkie, kasztanowate, jak u matki, ale wątłe, miały w słońcu miedziany połysk. Ręce szorstkie, duże i jeszcze niezbyt kształtne, chroniły tę przechyloną głowę od słońca, czy też podpierały w ciężkiej zadumie.

Kocha go. Teraz wie, co jest życie. Życie — to on i ten płomień w sercu. Drży na jego imię. Dwadzieścia lat nic nie wiedziała, co się dzieje i poco żyje. Dziś wie, że żyje, bo go kocha.

Wstała sprężyście, przeciągnęła swą postać mocną a szczupłą.

Biedna matka, biedny ojciec, biedna ciotka Natalja i dom rodzinny — jakie to wszystko musi być nieszczęśliwe, a ona jaka jest mądra na tym świecie. Kocha. Jakie wszystko jest proste i jakie zrozumiałe, kiedy się kocha. Inne panny kochają się melancholijnie — ona tego nie rozumie. „Biedny ojciec i matka, oni też rozumieją miłość melancholijnie" — uśmiechnęła się figlarnie.

— No, mamie się dziwić nie można — mruknęła, — w papie się kochać trudno, ale papa... Tak, ja sama z nim chętnie pomówię.

Wyszła, nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia na kwiaty wokoło, przedtem już zgniotła swą

kształtną głową, gdy się oparła o skrzynkę, cały jeden krzaczek liljowych prymulek, które zwieszały się teraz ze zmiażdżonych łodyg i piły chciwie główkami więdnącemi i otwartą raną słoneczne ciepło południa.

Pani Tyniecka wróciła na kwietnik. Ubrana w błękitny fartuch, zakrywający całą postać, wyglądała daleko młodziej. Miała uśmiech na twarzy, jakąś ulgę w ruchach, swobodę od rana nieznaną.

Obchodziła skrzynki i doniczki. Stanęła dłużej przed wielkim krzakiem róży i przymrużyła oczy: pięć pąków prężyło się ku słońcu, pęczniejąc prawie w oczach. Dwie róże rozwinięte, omdlałe w rozkoszy południa, miały mocno różany kolor i seledynowy odcień w strzelistym ośrodku. To były najpiękniejsze róże na kwietniku.

— Cudowne, — szepnęła porozumiewawczo.— Jeszcze takich nie miałam.

Oba kwiaty, duże, wysmukłe, podobne do siebie wdzięczyły się do niej, kołysząc lekko na rdzawej łodydze, i miały kształt lotny, coś z małego ptaka w swej postaci. Obok był krzak róży białej, ciężkiej, jak nenufary.

— Moje biedactwo, — uśmiechnęła się pani Marja. — Ale stoi od dziesięciu dni!

Trzy pąki równej wysokości, na sztywnej łodydze, były bardzo silne. Rozwinięty kwiat tylko jeden świecił białością matową, niepokojącą, nawpół martwą. Nie pachniał wcale.

— Dekoracyjne, bardzo dekoracyjne. Jutro razem z pąkami zetnę.

Obchodziła dalej. Jedna czerwona róża, niska, pachniała przejmującą słodyczą — tak pachną tylko pospolite róże. Pani Tyniecka długo wdychała woń jej z rzewnym uśmiechem na ustach. Pochyliła się, oparła małą rękę o brzeg doniczki i płatki aksamitne przesunęła sobie kilkakrotnie po czole.

— Moje, moje najmilsze. Cóż to za śliczna róża!

A róża była pękata, gęsta w płatkach, jak mała kapusta, i siedziała krzepko wśród liści, niby cicha domownica. Ale posiadała tę czerwień niezrównaną, zmieszaną z fjoletu i rubinu. Zimny amarant, podobny jedynie do świeżej krwi. Niema też w przyrodzie bogatszej barwy. Ma ją jeden gatunek pospolitych róż czerwonych i ma tę świeżość odwieczną człowiek we krwi.

Pani Marja nie zastanawiała się nad tem, ale jakiś nieokreślony kult więził ją dłużej przy krzaku.

Obok stały cynerarje długim rzędem szafirowym.

Objęła je spojrzeniem bacznem, ale surowem. Zeszłego roku miały mszyce. Jeszcze im to pamiętała.

— Bardzo dobrze, — zwinnemi palcami przebrała suche liście, i szła dalej.

W końcu kwietnika, przylegającym do sypialni, stały palmy i dwie sztywne, gardzące naszym klimatem, kamelje. Palmy wielkiemi liśćmi rzucały cień na samotną sypialnię i zielonawe smugi po meblach i ścianach. Chrystus rzeźbiony z kości słoniowej lśnił żółto nad łóżkiem.

Tu pierwszy raz pani Tyniecka wetchnęła.

— Rozsadzają donice — dawno powinny być przesadzone... Sama nie wiem, co zrobić.

Patrzała z dumą i zatroskaniem na wspaniałe okazy.

Tymczasem przez okno, wychodzące na pokój córki, zobaczyła ją w obcisłej amazonce. Wracała ze spaceru i przed lustrem przeglądała się w słońcu, z upodobaniem.

Zrzuciła czapeczkę zwinnym ruchem, potrząsnęła głową, rozrzucając włosy, ujęte w mały węzeł wstążką czarną, i zaczęła się rozbierać.

Pani Tyniecka szybko i cicho wyszła z kwietnika — niepostrzeżona.

ROZDZIAŁ VIII

Aleksander Maniecki całe życie był rządcą po majątkach i pomimo to czuł się zawsze na cudzej ziemi jak wielki pan.

Ostre pługi, doglądane przez niego, orały ziemię w myśl jego postanowień, a wichry złobiły czoło starego wielbiciela roli w myśl wyższych przeznaczeń.

Miał lat pięćdziesiąt, ale twarz pokrywały gęste bruzdy, choć oczy były młode.

Dopiero niedawno, przejęty troską o naukę synów, których miał trzech, porzucił pracę na wsi i za protekcją Kobierskiego, u którego pięć lat gospodarował, został jednym z administratorów Tynieckiego i musiał mieszkać w Warszawie.

Odtąd zaczęło się nieszczęście. Mieszkania nie miał, rodzinę zostawić musiał na wsi, był bezradny wobec ciągłych, nieznanych mu wydatków miejskich i widział, jak życie zaczyna się rwać, a on nie potrafi związać go nanowo.

Po otrzymaniu depeszy z domu, że ukochana, jedyna córeczka jest chora, że ma przyjeżdżać natychmiast, wiedział już, że czeka go jakaś klęska.

Nie mógł sobie wyobrazić, by dotyczyło to ślicznego dziecka, które dla Manieckiego i dobrej jego żony było ostatnią, najdroższą radością.

— Ona wyżyje, — szepnął ciężko, wychodząc od Tynieckiego, — ale ze mną jest źle, ja im nie pociągnę długo, a wtedy co ta moja Michasia z tą gromadką zrobi?

— Jezus Marja!

Nie miał grosza zapasu i nigdy się o to nie troszczył na wsi. Ale w mieście, dziś dopiero, na stare lata, zrozumiał, że jest nędzarzem.

— Pojadę, choćbym miał stracić posadę, pojadę. Michasia nie wzywa daremnie.

Gdy przyjechał do wilgotnego dworku, gdzie

dzięki dobroci Kobierskiego mieszkała jego rodzina, zastał małą dziewczynkę już martwą. W przedpokoju, zrzuciwszy wyszarzałe futro, zobaczył drzwi szeroko otwarte, jak na uroczystość. Wyszła naprzeciw niego żona blada, i poprowadziła bez słów do łóżeczka, gdzie leżało dziecko nieżywe. Maniecki padł na kolana, i, zmarznięty po bezsennej nocy, wziął w swe zimne ręce lodowatą dziecinną rączynę. Wówczas zaszlochał; charczenie głębokie, rozrywające pierś, rozległo się w cichym, białym pokoju. Trzymając wciąż rękę malutką w swych spracowanych dłoniach, patrzał przez łzy, trzęsąc się, na twarz trupią.

Oczy przymknięte i zielone cienie, odebrały raz na zawsze świeżość tej drobnej twarzy rodzonego dziecka. Tylko ząbki z rozchylonych ust widniały takie same jak za życia — krągłe, lśniące, — jeszcze nie skonały. Maniecki długo patrzał na te ząbki, widziane często w uroczym uśmiechu dziecka i rozpacz skręcała mu nerwy, że brakło mu tchu.

Wiadomość o jego przybyciu rozeszła się natychmiast i pokoje napełniły się ludźmi.

Wchodzono, stąpając cicho, patrzono na dziecko, radzono, padały słowa o trumnie i księdzu. Wnoszono i wynoszono jakieś przedmioty. W domu i na wsi zaczynał się obrzęd uroczysty, którego bohaterką była pięcioletnia, nieruchoma dziewczynka.

Sam Maniecki, nie patrząc wokoło, też czuł straszliwą, tajemną uroczystość we własnem sercu. Cóż to? Jakże to? Była wśród nich, codzienna, wesoła, mająca wyrosnąć i skupiać w sobie rodzicielskie nadzieje. Była jeszcze wczoraj. Wołała go podobno, ale on, pracując dla niej, nie zdążył, przybył zapóźno, i już jej niema. Nie jest już przedmiotem nadziei, tylko obrzędu, nie jest już codzienna, tylko uroczysta. Nie jest już niczyja. Niema jej właściwie, choć

leży tu z włoskami jasnemi, które śmiertelny pot pozlepiał po bladych skroniach.

— O, dziecko moje! — wołał bez słów struchlały ojciec. — O, dziecko moje jedyne!

— Czego ona chce, ta twarzyczka nieskrzywiona, ani uśmiechnięta, czem jej jeszcze dogodzić, gdzie jej szukać, gdy odejdzie?

Na myśl o odejściu, o tem, że jej nie będzie wcale, nawet tej nieruchomej, ale leżącej tuż przy nim, tej krwi jego rodzonej, co stężała w małem serduszku, a w jego sercu wzbiera do potężnego bólu — wyciągnął ramiona i, pochylając się cały nad zmarłą, bronił jej.

— Nie, — jęknął — nie.

Żona spojrzała z przestrachem na jego zmienioną twarz.

— Olesiu! — szepnęła.

On nie słyszał. Szeroko rozwartemi oczyma patrzał na swe dziecko i oddychał jej przeraźliwym chłodem.

Teraz jej nie puści za nic. Całą duszę ma jak w pożarze, bez ratunku, spalającym nadzieje swe i złudy, spalającym nawet miłość do własnego dziecka. Przepali się ta miłość na popiół, na proch, na klęskę żywota i wtedy tę zmarłą stąd wezmą. On już pozostanie szarą masą ludzką — dusza razem z nią dziś gdzieś odchodzi.

— Cierpiała? — wyrzekł wreszcie, spoglądając znów na złote włoski.

— Niebardzo, niebardzo, doktór mówił, że bywa daleko gorzej — z poddaniem w głosie odpowiedziała żona.

— Bywa gorzej, — powtórzył.

I zapamiętał się. Przed oczyma zaczęły mu stawać drobne kwiaty wiosenne, których nazw nie pamiętał, a które garściami zrywała ta malutka — dziś z kolei, przez jakieś wielkie dłonie, zerwana z tego świata. Pamięta i widzi te źdźbła trawy jaskrawe, zdeptane przez przechodnia, wciśnięte w błoto. Widzi przed sobą pierwszy raz korowód

liści, traw i płatków, rzeczy pięknych, widzianych w przelocie wielokrotnie — dziś cennych, niewiadomo czemu.

Widzi zniszczenie wokoło i nic więcej, a jej już nie widzi, tej żywej istoty. Nawet jej nie czuje przy sobie — jak ona gdzieś śpiesznie odchodzi.

Maniecki miał mgłę przed oczyma; przetarł je, pragnąc widzieć jaśniej cośkolwiek, w sobie lub wokoło. Ale mgła zwiększyła się jeszcze, tak, że nie widział nic, prócz majaczących kształtów na dziecinnem łóżeczku. W głowie poczuł szum, podobny biciu dzwonów dalekich, wyraźnych, bijących z jednostajną siłą.

— Mój pogrzeb, czy jej? — pomyślał, i nie wiedział już, gdzie jest.

Obrazy zmieniały się przed jego oczyma, a myśl mijała je gorączkowo, w poszukiwaniu dziecka.

— Byłaś czy nie byłaś, moja dziecino? Powiedz że mi, na miłość boską! Umrę i tak — ale umrę w męczarniach, jeśli nie poznam prawdy. Gdzie jest prawda? W tobie, która odeszłaś, czy w mojem cierpieniu? Byłaś tu ze mną, czy żyłem złudą i jestem w takim razie obłąkany, bo tęsknię za marą i umrę z tęsknoty za tobą, której niema! A jeśli byłaś tu, żywa, niepodobna trawom, ani źdźbłom, nie dająca się zdeptać, rzeczywista, wieczna, o, duszo mojej duszy, o, dziecko, to jakże ty odeszłaś ode mnie? I co to będzie? Gdzie ciebie ja mam szukać? ja, człowiek w męczarni umierający, ciebie nieżywej?

Zadrżał, bo mgła zrzedła i zobaczył w oparach wilgotną, jesienną drogę wśród pól. Cienie mknęły tą drogą, szare, skulone, zziębnięte, i smętek gorszy od śmierci panował na tej drodze. Manieckiemu tchu zbrakło, bo jeden drobny cień wionął ku niemu na mgnienie, jakby żywe dziecko. To była ona. Ale już szła dalej. Dokąd szła? Czemu na niego nie spojrzy? „Ależ to ona, ona“ — począł bez słów wołać jej nieludzkim głosem, idącym z pękającego serca. A ona nie odpowiadała. To

małe dziecko, co wyciągało ufnie rączyny, szukając jego opieki — dziś nie chce go i dąży gdzieś samo. Uczuł, że się dusi, i chwycił oburącz za gardło.

Podbiegła do niego żona i paru panów.

— Powietrza! — szepnął i stracił przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, nie przemówił ani słowa. Patrzał zdaleka, szeroko otwartemi oczyma, jak ubierano dziewczynkę w białą sukienkę, strojną, z falbankami, jak rozczesano złociste włoski. starannie i ułożono ją na twardych deskach trumienki z atłasową poduszką pod głową. Nie pocałował zmarłej, do której po kolei z głośnym płaczem podchodziła rodzina i znajomi.

Dopiero, gdy nałożono wieko, zbliżył się, klęknął, objął rękami białą trumnę maleńką i położył na niej ciężko swą siwą głowę. Szorstkie deski dzieliły te dwie głowy, dwa światy i tylko tak, z oddali i twardo, na ślepo, śmiał ojciec jeszcze raz się przytulić do straconego dziecka.

W tej chwili nieśmiało do pokoju wsunęła się strojna postać kobieca. Manieccy nie zauważyli jej, ale służba, chłopi i Michał Korecki, który, z rękoma złożonemi jak do modlitwy, stał sztywno wyprostowany od godziny w najdalszym kącie pokoju — dostrzegli ją zaraz i rozstąpili się.

Krystyna, z wypiekami na twarzy i oczyma pełnemi łez, wpatrywała się w trumienkę, która kryła na zawsze tajemnicę. Wokoło płonęły świece. Blask ich łagodny oświetlał migotliwie złocony krzyż na wieku — jedyną ciasnego więzienia nadzieję. Gdzieś już odeszła choroba, ból i śmierć — spokój nieziemski panował w pokoju, gdzie dziecinne szatki były białe i białe ozdoby do żałobnego obrzędu. Pachniały kwiatki, woskowe świece i drzewo świeże z desek trumienki — woń nieszczęścia już się ulatniała...

Krystyna, która widziała dziecko trzy dni temu żywe, a wychudzone cierpieniem niezmiernem, czuła co innego. Serce biło jej mocno i dolegał ból

w mózgu. Po chwili cicho wysunęła się na ganek — i tu, spojrzawszy bezradnie na mgliste, jesienne ugory, zasłoniła twarz rękami i płakała.

Michał Kobierski stanął przy niej i powiedział głębokim głosem:

— Proszę nie płakać, proszę nie płakać. Chodźmy do domu.

Od rana wiedział, że Krystyna przyjedzie i cieszył się, myśląc, że ją zobaczy w swym domu, i teraz, chociaż wychodził świeżo od zmarłego dziecka i widział rozpacz ojca i długo patrzył na twarzyczkę zmarłej, żółtą i męczeńską — jednak buchnęła w nim radość, graniczącą z fizyczną rozkoszą.

Pomógł jej zejść po nierównych schodach ganku, ujął na chwilę pod ramię i skierował łagodnie w stronę swego domu. Szła zapłakana, pachnąca ciepłem i łzami, otulona futrem puszystem, z którego twarz jej wyglądała, jak twarzyczka dziecka. Michał widział, jak niedbale stąpa, mocząc nóżki w błocie, pogrążona w bolesnem zamyśleniu, i musiał z całej siły opanować się, by jej nie pochwycić w ramiona, aby nieść ostrożnie, wysoko ponad ziemią, w jesiennej mgle do swego domu, tę upodobaną, tę jedyną radość świata, tę kobietę najmilszą, którą kocha. Tak, w tej chwili wie już, że ją kocha, że jest młody, że czeka go szczęście i — że jest przy niej.

— Krystyna! — wołało w nim pragnienie i tkliwość młodzieńcza, podobna macierzyńskim porywom, czysta, raz tylko zaznana w pierwszej miłości — Krystyna moja, moja Krystyna.

Wchodzili do kawalerskiego domu, w którym na progu psy witały pana swego, radośniej, niż witają ludzie.

Kobierski ze wzruszeniem zdejmował futro z Krystyny.

— No, niech pan powie — powiedziała przyciszonym głosem, jakby była jeszcze przy zmar-

łej, — takie dziecko! — i smutno pokiwała głową, patrząc mu wprost w oczy.

Michał prawie zapomniał, o co chodzi i odpowiedział machinalnie:

— Tak, biedactwo. Ale chodźmy, proszę pani, chodźmy do pokoju. Pani zmarzła, trzeba się ogrzać.

W stołowym pokoju stół był nakryty, i gdzieś z boku trzaskał okień w kominie. Służąca krzątała się sprawnie. Krystyna westchnęła. Nagle wpadła osoba niska, tłusta i zawołała z rozpaczą:

— Nieszczęście, panie Michale! Śmietanka się zwarzyła.

A spostrzegłszy Krystynę, widać uczuła wzmożone cierpienie, bo jęknęła:

— O mój Boże, mój Boże, jakem dwadzieścia siedem lat, bezmała dwadzieścia osiem gospodynią, jeszcze mi się nie przytrafiło, żeby dla gościa, w takiej chwili, coś podobnego...

Michał ze śmiechem powiedział:

— No, więc cóż będzie do kawy?

— Nie, no jakoś, coś, trochę tego się zebrało, ale to nie to, nie to!

Bruzda na czole oznaczała zatroskanie. Krystyna, szanując je, odezwała się uprzejmie:

— Nic to, niech się pani nie trapi, wracamy od Manieckich.

Gospodyni z godnością odrzekła:

— A, proszę pani, to nic nie ma do rzeczy, człowiek musi umrzeć, a śmietanka nie powinna się warzyć — to nic nie ma do rzeczy. Za pozwoleniem!

I wyszła, przesyłając po chwili podwieczorek wyborny i rozmaity. Ale sama nie pokazała się więcej. Potrzebowała samotności.

Michał nie czuł skrępowania, przyjmując pierwszy raz u siebie, i to zupełnie samą, Krystynę Załęską. Czuł lekki szum w głowie i czasem myślał, że to może jego młoda żona siedzi przy nim, i już zostanie. Patrzał na nią tak wymownie, jak pa-

trzeć można tylko, gdy się jest sam na sam. Ona uspokoiła się, tylko oczy błyszczące i lekko zamglone zmieniły wyraz jej twarzy, zachwycając Michała jeszcze bardziej. Rozglądała się wokoło i powiedziała z uśmiechem:

— Więc tak się mieszka samemu? — nigdy nie byłam w domu młodego człowieka. Czy panu nie samotnie?

— Bardzo, bardzo samotnie — odrzekł, patrząc jej w oczy.

Krystyna zmieszała się, ale było jej dobrze. W oczach mężczyzny można się ujrzeć nagle piękną i to dziwną pięknością, której nie zgasi później ani zawód w miłości, ani miłość inna, oraz inne zakochane oczy. Zegar bił jakąś godzinę. Widząc w oczach męskich odbicie swego piękna i, czując je po raz pierwszy, pomyślała, że ten zegar bije daleko, nie jej godziny, tylko cudze i że gdzieś czeka jej Los, puhar wypełniony po brzegi, doskonały.

Przeszedł ją miły dreszcz, nieśmiało zamajaczył Andrzej, ale odległy, obcy, otoczony kobietami i swobodny na szerokim świecie.

A Michał, patrząc na jej twarz mieniącą się, pomyślał, że jest wzruszona, i dech mu zaparło szczęście.

Gdy przeszli do gabinetu, który czuć było prochem, skórą i psami, gdzie nieład był pogodny, jak bywa w warsztacie — Michał wskazał Krystynie najlepszy fotel przy oknie. Właśnie świeciło w niem słońce zimowe, czerwone, bez obłoków, i zaglądało wprost w okna, jak lampa zapalona, ręką dobrotliwą.

Krystyna znów westchnęła.

— Zaraz będzie eksportacja, chcę być na niej. Maleństwo! Czy pan widział ją przed śmiercią?

— Widziałem, poznawała mnie nawet. Ale niech pani o tem nie myśli.

Głos jego był zmieniony, i Krystyna spojrzała ze zdziwieniem. Zbliżył się. Zobaczyła mło-

dzieńczą postać, jaskrawą na tle zachodzącego słońca, i miłą.

Zmrużyła oczy, przymknęła je na chwilę. Usłyszała tuż przy sobie głos, przedtem nieznany, obcy i tajemniczy, a rękę jej pochwyciły dwie ręce pałające i trzymały w uścisku.

— Kocham panią, panno Krystyno, — wyrzekł Michał z twarzą zbielałą. — Kocham niezmiernie; powiedz mi jedno słowo... — i przyklęknął tuż przy niej, nie puszczając jej ręki.

W tej chwili dały się słyszeć dzwony w pobliskim kościołku, głos żarliwy, a przesycony beznadziejnym smutkiem. Ksiądz wzywał do świętego domu małą dziewczynkę w żałobnej bieli... Wzywał tę nieruchomą, daleką, postarzałą nagle, zżółkłą — wzywał i czekał na nią w zimnym kościele.

Krystynę przeszedł dreszcz, poczucie opuszczenia i namiętne pragnienie opieki. Tam była śmierć tuż obok — a tu jest życie.

— O, życie... życie...

I bez miłosnego wzruszenia w sercu, które graniczy ze zgrozą, — słodko, położyła głowę na oparciu fotelu, tuż przy głowie Michała i powiedziała ciepło:

— Dziś nie mogę odpowiedzieć, jutro pomówimy, proszę przyjechać do Teretczan.

Zaraz wstała, a Michał nie zatrzymywał jej dłużej w swoim domu, czując, że i tak łaska go spotkała i już go nie opuści.

ROZDZIAŁ IX

Dzień był w Teretczanach feralny. Zdarzają się takie dni wszędzie, ale gdy się przytrafi w zacisznym polskim dworze, to mieszkańcy jego są przekonani, że na nich specjalnie uwziął się Pan Bóg, przyroda, oraz Ojczyzna, i kto wie, czy nie mają trochę słuszności.

Krystyna obudziła się ze strachu. Jakieś wspomnienie prześladowało jej sen niespokojny. Usiadła na łóżku, przetarła oczy i w tej chwili do pokoju wtargnęła pani Zawara.

— Niebywałe rzeczy, taka śnieżyca w połowie listopada.

Krystyna, zamiast odpowiedzi, jęknęła.

— Ah, mój Boże, mój Boże — i patrzyła przed siebie przerażonym wzrokiem.

— Co się stało? — zawołała pani Zawara, wietrząc już nieszczęście, bo był trzynasty.

— Coś okropnego, co ja zrobię, co ja zrobiłam najlepszego!

— Mów, — powiedziała uroczyście pani Zawara, która niejeden już dramat pamiętała w tym domu, — to ci ulży.

— Co mi ulży, co mi ulży! — powtarzała Krysia, trzymając się obu rękami za głowę i kiwając nią rozpaczliwie. — Pani nie wie, pani się nie może spodziewać czegoś podobnego po mnie — ja... słów nie mam...

Panią Zawarę zatknęło.

— Gorąco jest. Otworzę okno.

— Mróz, — wtrąciła Krystyna.

— Nic to. Właśnie dobrze. Mów.

— Michał Kobierski — Michał Kobierski! Boże drogi! Toż to hańba, ja ucieknę, ja się pokazać nie mogę! Co to będzie!

Pani Zawara przypomniała sobie, że Krystyna jeździła wczoraj na pogrzeb małej Manieckiej do majątku Kobierskiego, że musiała go tam widzieć, może być u niego — i na myśl o tem, widząc rozpacz Krystyny, poczuła, że jednego otwartego okna w pokoju — za mało, a drugiego nie było. Zatoczyła się pod ścianą na fotel.

— Byłaś u niego?

— Byłam, — powiedziała Krysia głosem męczennicy.

— Długo?

— Nie, nie długo. Ale stało się.

— Jezu Nazareński, dziewczyno, przecież to ja ciebie chowałam! Mów jasno, bo zwarjuję.

Pani Zawara była w istocie purpurowa, zerwała się i otworzyła drzwi, nie wiedząc, co robi. Wraz ze swarliwemi odgłosami służby, wrażliwej, jak wiadomo, przedewszystkiem na nagłą zmianę pogody, wpadł do pokoju faworyt Krysi, pies Nero, któremu tu niewolno było wchodzić. Nim pani Zawara zdołała go wyrzucić, z hukiem zamknęło się okno, na podłogę posypała się szyba, stłuczona w drobne kawałeczki.

— Mówże, mów! — krzyknęła do Krysi, której złociste włosy rozrzucał teraz wiatr, powiększając grozę sytuacji.

— Michał Kobierski oświadczył mi się wczoraj.

— I nic więcej?

— Jakto nic więcej? Pani sobie żartuje! Przecież to jest straszne!

— Co jest straszne? — wołała do pupilki, która miała talent wyprowadzenia jej z równowagi.— Co jest straszne?

— No, bo dziecko umarło, mnie było smutno... i stało się.

Co ma dziecko do tego? Co ty pleciesz? Co ty mówisz? Co się stało, rany Boskie, co się stało?

— Że... jak on się oświadczył, to ja mu powiedziałam, żeby dziś przyjechał.

Pani Zawara klasnęła w ręce.

— I o to rozpacz? O przyjazd konkurenta? — oddychała szybko, z widoczną ulgą. — Pieką, dzisiaj wtorek. Będą ciasteczka, przyjedzie na podwieczorek i pojedzie.

— Jakto przyjedzie? — rzuciła się na łóżku Krysia.

— No, mówisz, że przyjedzie.

— Ależ on nie może przyjechać!

— To daj mu znać.

— Boże, dać mu znać, co pani mówi? Pani mnie nie rozumie, jakby była moim wrogiem.

— Ja?

— Pewno. Ja nie mogę go widzieć, ani pisać do niego, wogóle nie chcę wiedzieć o jego istnieniu.

— To będzie trudne, skoro mu kazałaś dzisiaj przyjechać.

— Kazałaś! Pani naprawdę chce mnie dziś zamę-czyć! Ja mu tylko pozwoliłam.

— Aha! A pocoś pozwoliła?

Krysia, która już zmarzła, przykryła się po szyję różową kołdrą i, leżąc, z głową wciśniętą w poduszki, po których rozsypywała się jej cudna czupryna, rzekła bezsilnie.

— Bo dziecko umarło.

— Aha, — powórzyła pani Zawara, udając, że rozumie.

W tej chwili z dołu, ze stołowego, doszły podniesione głosy.

— Coś się stało, ojciec zagniewany, — szepnęła pani Zawara, która miała kult dla pana Załęskiego. — Idę. Przyślę ci futro, tu już jest mróz, ubierz się w garderobie.

Krysia jakiś czas leżała cichutko, czując na twarzy mokry powiew z okna. Zamknęła oczy. Ale zaraz z tupotem bosych nóg wpadła dziewczyna, rzucając przed piecem wonne naręcze sośniny.

— Będziem palić, kopna zima, — powiedziała radośnie, a widząc wybite okno, zajęczała:

— O dla Boga, co się stało u panienki?

— Przeciąg, — westchnęła Krysia, wiedząc już, że nikt jej dziś nie da spokoju.

Na dole tymczasem była awantura, z największych dorocznych awantur dworskich. Cugowa pierwsza para chodziła niewiadomo poco do miasteczka; śledztwo jeszcze nie wykryło, kto dał dyspozycje, — dość, że Walek, który niecały miesiąc służy za młodszego stangreta, jak go w drodze chwyciła śnieżyca, to gnał konie tak, że przyszły do stajni całe w pianie, maści nie można było rozpoznać, spędzone i — naręczny, nieoszacowany, piękny koń padł tejże nocy. Mała

rzecz: koń zdechł. Ulubieniec dziedzica — czysto złoty kasztan, istne cudo! Wieść rozeszła się lotem błyskawicy po całem gospodarstwie i zapanowała Sodoma i Gomora. Furman wrzeszczał na chłopca, chłopiec na psy, plątające mu się pod nogami, baba na ekonoma, ekonom na ranne dójki, i tylko konie w stajni stały cicho, czując trupa. Pod Walkiem chwiały się nogi, gdy o ósmej rano już był wezwany do dworu. Szedł, płacząc głośno, jak dziecko.

Gdy o dwunastej w południe pani Zawara usłyszała zajeżdżające przed ganek sanki, była przekonana, że to jest zwiastun światowego trzęsienia ziemi.

Krysia też wzdrygnęła się w obawie, że przyjechał Michał Kobierski. Tymczasem miły pan Ostoja zrzucił futro i, zacierając zmarznięte ręce, wchodził spokojnie do salonu.

— To pan! — zawołała Krysia na jego widok. — Co za szczęście!

Nigdy nie był tak wymownie witany, toteż podniósł swe piękne, myślące oczy ku niej.

— Co się stało?

Był przyjacielem domu, starym i uprzywilejowanym. Pani Zawara w paru słowach objaśniła najpierw położenie Krysi i jej przykrość, potem katastrofę z koniem. Obie rzeczy spadły nagle dziś.

— Na konia nic już nie poradzimy, a do Michała musi panna Krysia parę słów napisać.

— Drogi, kochany panie! — zawołała Krystyna, składając obie ręce i opierając mu je na piersi. — Niech pan napisze, proszę! Błagam.

— Ależ Krysiu! — zaczęła opiekunka.

— Czego jabym dla pani nie zrobił? — i spojrzał w głąb jej oczu. — Wszystko, ale tego pani nie zechce, takiego upokorzenia dla porządnego chłopca, którego jedyna wina, że się w pani zakochał. Napisze pani parę słów, prosząc, by sobie nie robił nadziei, mówąc, że wczoraj...

— Właśnie, co wczoraj? — zapytała z szeroko otwartemi ustami Krysia, a pan Ostoja przymknął oczy, bo wydawała mu się z tym strachem w oczach i w dziecinnych ustach porywająca.

— Nie, o wczorajszym dniu nic pani nie wspomni, tak będzie lepiej, — odparł przezornie. — Ale liścik trzeba wysłać zaraz, byłaby nieprzyjemna wizyta, gdyby się teraz zjawił, a ma pewne prawo i napewno myśli o tem od rana.

— Ma prawo, — powtórzyła Krystyna głosem pełnym skruchy, i wyszła z pookju.

Napisała króciutki bilet z wysiłkiem, z przykrością. Prosty i pełen okrucieństwa. Niech wybaczy, jeśli miał jakieś nadzieje — nie może ich mieć, żadnych; ona obietnicy nie dawała i prosi, by o tem pamiętał.

Podpisawszy, wspomniała małe, niewinne dziecko zmarłe. Na nie dwukrotnie zrzucała winę za własną lekkomyślność i nieświadomą zalotność, której sobie darować nie może. Zaraz potem, niewiadomo dlaczego, pomyślała o Andrzeju Koreckim, i wybuchnęła w niej radość i tęsknota niepojęta.

— Kocham go, — szepnęła zdumiona. — Kocham go od pierwszej chwili.

I rozpłakała się.

W tym samym czasie Andrzej pomyślał:

— Wszędzie wokoło zamęt, tylko ja mam spokój.

Poczem, usposobiony heroicznie, wybrał się, po wielu miesiącach, do doktora Konrada, wiedząc, jak jest drażliwy na punkcie niebywania w jego domu.

Doktór mieszkał na brzydkiej ulicy, wąskiej i ciemnej, którą humor Warszawy mianował ulicą Hożą. Andrzej rzadko go odwiedzał i z przymusem. Mało wiedząc o jego życiu rodzinnem, czuł odrazę do ulicy i do żony bliskiego mu człowieka.

A pani Konradowa miała przeszłość i miała

wpływ na męża. Jako studentka w Genewie, zakochała się w pewnym młodym profesorze i, wyznawszy mu swą miłość jakiegoś popołudnia, nad wdzięcznem jeziorem, sprowadziła się do niego na całe lat dziesięć. Nim spokojny Szwajcar zdołał zdać sobie sprawę z tego co zaszło, już minęło mu życie — 10 lat burzliwych, spędzonych z niezrozumiałą kobietą. Umarł, a ona nosiła po nim żałobę, mówiono, że było dziecko, ale nikt go nie widział i nie wiedziano, co się z niem stało. Profesor, żyjąc z nią, nie zmienił trybu swego życia, ani koła znajomych. Polka oddawała się wycieczkom, naukom, rozprawom zasadniczym i mówiono, że wyładniała.

Ostra jej twarz nabrała łagodności w szwajcarskim, mlecznym dobrobycie. Ale po śmierci męża z wyboru — wyjechała do kraju i nigdy nie wróciła do Genewy. Profesor umarł bez testamentu, więc choć był człowiekiem zamożnym, nie dziedziczyła oficjalnie po nim — jednak, znów mówiono, że wywiozła znaczne pieniądze i zjechała z niemi do Warszawy. Tutaj, po krótkim czasie, stała się osobą przekonań postępowych i dość znaną; wygłosiła kilkanaście odczytów o kwestji kobiecej i gromadziła młodzież radykalną. Otaczała ją aureola, związana z jej osobistem życiem. To było jeszcze przed wojną — jej wolna miłość jaśniała nowością. Obecnie, jako doktorowa Konradowa, nie bez goryczy spoglądała wokoło, widząc, że jej zuchwałe nowatorstwo, po kilkunastu zaledwie latach jest czemś, co nie robi najmniejszego wrażenia, czemś wyblakłem i starczem, wobec swobody powojennej!

Następnie ślub z doktorem Konradem odbył się w kościele i to było jedyne prawie ustępstwo jej życia, które ciążyło pani Marcie, niby plama, i które wspominała sobie rzadko, ale zawsze z niesmakiem wewnętrznym. Sama nie wiedziała czemu tak się stało — ba, nie wiedziała więcej, ona, osoba z charakterem, nie wiedziała prawie,

co znaczył ślub z człowiekiem odmiennych przekonań, słabym w jej pojęciu i zmęczonym stale od pracy zarobkowej, rozpoczętej w czternastym roku życia. Wiedziała tylko napewno, że ten człowiek z wszystkiemi swemi wadami przywiązany jest do niej ślepo. Zachowała na dnie świadomości, niby znamię hańby, ową spokojną niezależność duchową profesora, w której wiedziała, że nie było miłości. Wzdrygała się na wspomnienie tej walki długiej, dziesięcioletniej o triumf, o panowanie, jednem słowem — o miłość — daremnej, przegranej. Dziś wiedziała przynajmniej, że doktór Konrad dla niej żyje. To nie jest niezbędne dla kobiety tak samodzielnej, jak pani Marta, ale stanowi cenne narzędzie działania właśnie dla istoty, która się nie liczy z niczem, prócz swojej silnej indywidualności.

Gdy Korecki wchodził do przedpokoju, pachnącego mdło lekarstwami, zobaczył brudne obicia, właściwe większości mieszkań stołecznych. Doleciał go też głos spokojny, cedzący dobitnie:

— Właśnie to się nazywa niedołęstwem, tego nienawidzę. Gdybyś mi był powiedział wcześniej, że taki masz zamiar, tobym wiedziała, co zrobić i nie dopuściłabym...

— Mówiłem ci....

— Nieprawda, nieprawda! Właśnie, że nigdy jasno nie powiesz, nie masz odwagi, nie masz męskości. Gdyby Korecki...

Tu Andrzej uznał za stosowne chrząknąć mocno, i głosy ucichły nagle. Zato w saloniku, wychodzącym na północ i na podwórze, musiał dość długo czekać na gospodarza. Wreszcie ukazał się, szybko podszedł do Koreckiego i właściwym sobie sposobem, obu rękami ująwszy go pod ramiona, patrzał na niego długo, serdecznie, ruchem lekarskim, napoły opiekuńczym.

— Co za miła niespodzianka! Nie widziałem ciebie u nas z rok chyba.

— Wiesz, że to był pracowity rok — odparł

Andrzej, szukając wzrokiem wygodnego siedzenia — i wiesz, że ciebie zawsze kocham, mój stary. Żona zdrowa?

— Zdrowa, nieraz ciebie wspomina i będzie bardzo rada.

To mówiąc, doktór spojrzał na drzwi raz i drugi, wstał, potem usiadł znowu.

Andrzej pytał

— Dużo masz pracy?

— Dużo, bardzo dużo, ale to jest dobra rzecz, ty wiesz, że praca jest moją namiętnością.

Doktór westchnął zlekka.

W tej właśnie chwili do pokoju weszła pani Marta, uśmiechnięta i pełna prostoty. Tylko oczy miała błyszczące.

— Witam pana, dawno czekamy wizyty — dawno.

— Niech mi pani nie robi wyrzutów, błagam. Ja się tylko dlatego nie ożeniłem, by nie słyszeć wymówek!

Ona patrzała na niego z uśmiechem.

— A właśnie, że podobno się pan żeni, słyszałam od paru osób, — przerwała mu.

— Wie pani, chyba się starzeję, bo mi ta wiadomość robi przyjemność — i Andrzej roześmiał się szeroko.

— Bo pan o kimś myśli najwidoczniej.

— Kto wie, jest pani dobrym psychologiem. Ale cóż, kiedy ona o mnie nie myśli. Kocham bez wzajemności. To jest nawet rzadki wypadek u człowieka mego pokroju, ale zdarza się, zapewniam panią.

Gdy Korecki tak się przekomarzał z panią Martą, swobodnie i uprzejmie, doktór milczał, przenosił wzrok z jednego na drugie, i miał twarz jasną, która świeciła dobrocią.

Ale pani Konradowa nigdy zbyt długo nie traciła czasu i zapytała nagle innym tonem.

— Czy to się co w „Motorze“ psuje, że przyjaciele pańscy tego roku nie wchodzą do zarządu?

— Przeciwnie. „Motor“ prosperuje może aż zanadto: bo budzi niezdrowe apetyty. A pani o kogo chodzi? — rzekł, udając, że nie rozumie.

Doktór poruszył się na krześle, kaszlnął, potem rzekł cicho:

— Daj spokój, proszę cię. daj spokój.

I miał nagle twarz szarą, innego człowieka.

— Pozwól, — odrzekła głośno i dobitnie. — Chcę nareszcie od pana Koreckiego dowiedzieć się prawdy. Chodzi mi o mego męża. Przecież był współpracownikiem pana najbliższym?

— I najmilszym, — odparł Korecki, czując już w sobie wzbierającą irytację. — Ale nawał pracy zarobkowej, niestety, nie dał mu urzędować stale u nas, prosiłem wiele razy. Czy pani miała jakie specjalne powody, dla których chciałaby doktora widzieć w zarządzie? — pytał z niewinnym wyrazem twarzy.

— Tak, specjalne, — rzekła, opanowując się odrazu, bo zmiarkowała, że Korecki bierze nad nią górę. — Chciałabym być jedną z pierwszych, które się dowiedzą o pańskim ślubie i dlatego potrzeba mi wpływów w „Motorze“.

— I tak, zapewniam panią, że doniosę natychmiast, obym tylko zyskał tę wzajemność, o którą chodzi. Jeśli prawdą jest, że się osiąga w życiu tylko to, czego się człowiek wyrzekł, to mnie czeka szczęście w małżeństwie, bom się go zrzekł dobrowolnie od urodzenia.

Pół godziny jeszcze rozmawiano uprzejmie i Andrzej wyszedł, przysięgając sobie, że miną lata, nim przyjdzie znowu na ulicę Hożą, oglądać błyszczące oczy pani Marty.

ROZDZIAŁ X

Pewnego dnia, gdy zapadał już sinawy zmierzch listopadowy, który przenika miejskie mieszkanie, niby tuman zawodu, coraz szersze zataczający kręgi, Andrzej siedział w swym

gabinecie i ocknął się znużony po kilku godzinach czytania. Czytał dzieła ekonomiczne francuskie, wyborne, ale posępne, jak cała prawda powojenna. Umysł jego realny nie bał się trudności, miał właściwą twórcom sprężystą postawę wobec przeszkód i nieomal upodobanie do nich, ale wiedział, że obawiać się trzeba człowieka nowego. Tej siły, która budowała wszystko, a dziś jest zachwiana od podstaw, nawpół spróchniała, nawpół podcięta. Typ człowieka powojennego, jego nerwy właściwie, to był ze wszystkich problemów ekonomicznych i gospodarczych najzawilszy i jedyny prawie tragiczny. O tem myślał.

Wczoraj zirytował go Orwid. Coprawda nie po raz pierwszy w ostatnim roku wpadł do niego i mówił rzeczy bezsensowne, zrodzone tylko z popłochu, o „Motorze", o likwidacji wczas, o nieuniknionym krachu. Cóż dopiero muszą mówić po kątach klubowicze i salonowcy, których wprzągł do „Motoru". Stach Orwid, ze swą rozwianą czupryną, gadał jak student z pierwszego kursu, nie jak mężczyzna. Do licha, któż lepiej od Koreckiego wiedział, że sytuacja jest ciężka, przecież trzyma całą sieć naprężoną interesów w ręku i wie, że jak pociągnąć w jedną stronę, to w drugiej trzeszczy. Ale są zasoby materjalne, są kalkulacje, które jeszcze wytrzymują rachunki i, przedewszystkiem, jest siła człowieka, stworzona na to, by zwyciężać!

— Wiesz, Stachu, żem się po tobie nie spodziewał czegoś podobnego.

Tamten obojętnie kiwnął głową.

— A — spodziewałeś się podobnego kryzysu w kraju?

— Naturalnie, żem się spodziewał. Ubolewam tylko, że nie przyszedł wcześniej, zahartowałby nas lepiej, niż ten pozorny dobrobyt, którego dziś ciężej się będzie wyzbyć, niż kilka lat temu. Widzisz, — ciągnął z uśmiechem, obejmując

przyjaciela, — niema piękniejszej rzeczy, niż spokój. Ty go miałeś w młodości, a na starość tracisz, jesteś ożeniony z wyjątkową kobietą, która, wiem, że ci życia nie zatruwa, bierzże się w garście. Nie damy się. Mówię ci, nie damy się.

— Tracę wiarę w nasze społeczeństwo.

— Tak się zawsze mówi, kiedy się straciło wiarę w siebie — odparł obcesowo Andrzej.

Potem rozmawiali napozór spokojnie, ale z głuchą irytacją wewnętrzną względem siebie. Nigdy ludzie odmiennych przekonań nie potrafią się tak drażnić, tak sobie przeszkadzać, tak się wreszcie znienawidzieć, jak człowiek silny ze słabym, — wprzęgnięci we wspólną ideę i w pracę, która obydwu jest bliska, a niemożliwa dla obu do wykonania jednakowo.

Andrzej lubił Orwida, kolegę jeszcze z ławy uniwersyteckiej i towarzysza młodości szumnej a uczciwej. Ale już patrzał jak na człowieka straconego, po wojnie. Widział, jak niepowodzenia, zamęt ogólny, wyprowadzają coraz bardziej z równowagi tego z gruntu prawego człowieka. Nie liczył na niego i nie żałował prawie. Mówił sobie poprostu: „przepadł“, i rozglądał się za kimś, ktoby go przyszedł zastąpić.

Rozmyślał jeszcze nad typem przyjaciela, gdy w przedpokoju zabrzmiał nieśmiały dzwonek. W mieszkaniu nie było nikogo, bo Andrzej lubił samotność zupełną i wysyłał służbę z domu na całe godziny, gdy pracował.

Wstał trochę ociężale po długiem czytaniu i, otworzywszy, zobaczył pannę Marysię Tyniecką. Zdziwiony, stał z uśmiechem, nie wiedząc, czy nie zatrzymała się przez pomyłkę przed jego drzwiami; ale ona, blada, wsunęła się szybko do przedpokoju i szepnęła zdyszana:

— To jest wielka ekstrawagancja, przyszłam do pana, chciałam zobaczyć, jak pan mieszka, jak pan wygląda u siebie...

Patrzała mu w oczy z prośbą.

Andrzej zdjął z niej futro i mówił, jakby go spotkała najnaturalniejsza rzecz.

— To dopiero niespodzianka. Proszę, bardzo proszę.

Widział, jak przez jej twarz przebiegały wzruszenia gwałtowne, graniczące z niedającem się opanować uniesieniem. Sukienka z wiśniowego aksamitu ułożona w obszerne fałdy, podnosiła jej urodę rycerską. Wprowadził ją do gabinetu, a gdy się rozglądała nawpół z popłochem. i z niezmierną ciekawością, rzekł:

— Nie miał ten pokój nigdy tak uroczego gościa. Proszę siadać.

Usadowił ją w wielkim fotelu, sam przysunął się z krzesłem. Chciał ją pytać, z czem przychodzi, — ale coś go powstrzymało, — bo widział że ją pochłania emocja.

Ona milczała przez chwilę, patrząc na meble, książki i dłużej zatrzymując wzrok na biurku Andrzeja, gdzie nie było żadnej kobiecej fotografji. W pokoju było ciepło i cicho. Na ulicy padał dużemi płatkami śnieg.

Panna Marysia przeszła rodzaj chwilowego obłąkania, nim się zdecydowała stanąć przed drzwiami Andrzeja Koreckiego i wyznać mu całą prawdę. Prosta jej natura, wychowana w spokojnym dobrobycie i bez duchowych zatargów, uderzona została jak biczem tą wielką miłością, wyrosłą nagle w sposób niezwalczony. Wiedziała, że rodzice nie pozwolą jej nigdy wyjść zamąż za niego, czuła nawet, że on należy do innego, niż ona, świata, i nie rozumiała do jakiego — ale zdawało jej się, że za ten ogromny płomień, buchający w jej duszy, szczęśliwy, choć pełen lęku — on odpowiada i przed nim trzeba stanąć odważnie. Daremnie konwenanse, któremi przesiąkła od dzieciństwa, wzdrygały się w niej, wraz z wstydliwością natury, na to brutalne w swej jawności wyznanie. Obłęd, jak

sama czuła, polegał na tem, że mając prawie odrazę i przerażenie wobec zamierzonego czynu, wykonała go i nic nie byłoby jej w stanie oderwać od postanowienia.

— Powiedziałam mamie coś, co zrobiło na niej fatalne wrażenie, a teraz muszę panu powiedzieć.

— Na mnie nic, co od pani pochodzi, nie może zrobić złego wrażenia, upewniam panią.

— Napewno?

— Napewno.

— Więc powiem.

Nastąpiło milczenie dłuższe, podczas którego słychać było jej przyśpieszony oddech.

— Ja pana kocham, — i spojrzała mu prosto w oczy.

Andrzej wstał i zbliżył się do fotela. Na jedno mgnienie, ostrzegawcze, pierwsze w życiu, uczuł się stary. Nic w nim nie poruszyły te słowa. Piękna dziewczyna siedziała przy nim i nie pragnął jej miłości. Żałował jej.

Ujął jej rękę łagodnie, z dobrocią.

— Co za dar, co za dar takie wyrazy. I nie móc go przyjąć...

Strach, osaczenie i wstyd nieopisany, odbiły się w szafirowych, wspaniałych oczach. Zacisnęła ręce, chciała wstać, później siadła zdrętwiała.

A Korecki, powiedziawszy to, choć był od rana oschle i krytycznie usposobiony, uczuł jakieś ciepło w sercu, niby powiew pochlebstwa, i doznał chęci mówienia. Nie myślał o niej, tylko o sobie.

— Pani droga, niech pani wybaczy, że tak mówię, ale jest mi pani droga, jak ktoś, kto chciał mnie obdarzyć czemś, na co niema i ceny i słów. Pani rozumie. Jest pani taka młoda! Patrzę na panią z zachwytem, ba, prawie z zazdrością. Urocze dziecko, — wziął jej rękę w swoją, — czy nie pomyślała pani nigdy, że jestem stary?

— Nie, nigdy, nigdy, — szepnęła, nie patrząc mu w oczy, z rozpaczą.

— A widzi pani, — mówił jak do dziecka, — widzi pani, gdzie mnie myśleć o małżeństwie.

— Bo mnie pan nie kocha, a ja myślałam... o, Boże! — i zasłoniła sobie twarz obu rękami.

Uśmiechnął się mimowoli, ale zaraz spoważniał.

— Nie, nie dlatego. Pokochać panią można łatwo, gdyby człowiek sobie na to pozwolił. Jest pani śliczna, i myśli o mnie z dobrocią. Ale moje życie jest samotne i takie już być musi.

— Dlaczego? — zapytała, podnosząc ku niemu oczy zalane łzami, nie kryjąc twarzy.

Andrzej odparł wolno.

— Czy ja wiem. Jakieś przeznaczenie. Jakieś może czyny do spełnienia kiedyś. Ile razy widziałem siebie w młodzieńczych marzeniach, czy w męskim już wieku, rozmyślając nad sobą, — to zawsze samego. Nie mógłbym dać szczęścia kobiecie, miłość jest dla mnie ozdobą, cudownym kwiatem egzystencji, ale treść życia widzę i skupiam w czem innem! Tacy ludzie unieszczęśliwiają żony, jeśli się żenią. Gdy zaś jak ja, pozostają samotni, to wiedzą, co stracili, czasem zatęsknią, nieraz pożałują, ale nic już zmienić nie mogą. Samotnik, to jest kaleka nieuleczalny, gorszy od ślepca i głuchego, — kocha swoje kalectwo, choć mu ciąży niekiedy.

Panna Marysia przy ostatnich jego słowach zaczęła cicho, pokornie płakać. Było coś przejmującego w tym płaczu, bo Andrzej, który nie lubił łez kobiecych i lekceważył je, — wzruszył się.

Stanął przy niej, i ona bezwiednie wstała. Wziął ją pod rękę i prowadził po pokoju wzdłuż i z powrotem, mówiąc:

— Każda łza pani, to jest rosa na moje kalectwo, czuję jej wartość, jej głęboką cenę. Ale

chcę dla pani życia młodego, jak pani sama. Ile pani ma lat?

— Nie jestem taka młoda, mam lat dwadzieścia.

— Mój Boże, mój Boże! Mógłbym być pani ojcem.

— Niech pan tak nie mówi, to przecież niczego nie zmieni, a ja...

Rozejrzała się znów po tym męskim pokoju samotnika, w którym nie będzie nigdy więcej. Uczuła rozpacz tępą, ogłuszającą, stanął jej w myśli klasztor jazłowiecki, w którym spędziła lat osiem. Biały Chrystus na krzyżu w wonnej kaplicy, gdzie tyle razy marzyła o miłości. Wyrastała bujnie i szybko. Mając lat piętnaście, już czuła swą kobiecość, niby ptaka duszonego w piersi, a stworzonego do rajskich lotów. Bił w niej sercem rozbudzonem i nadziejami błękitnemi, które widziała wszędzie, gdziekolwiek padał jej wzrok młody i pełen blasku. Zakonnice chwaliły jej skromność, a czaiła się w tem rozkoszna pycha. Znosiła twardy tryb życia, uwagi, nauki, wymagania, — wypełniała polecenia bez słowa, bo czuła pulsujące życie tuż za ścianami klasztoru, i czuła je w sobie, przeznaczone dla niej i dla jej radości. Nigdy nie myślała, że będzie cierpieć: rosła i piękniała, wiedząc jedynie o swem prawie do szczęścia.

Tak było w klasztorze, w surowych murach, a cóż dopiero w Warszawie, po powrocie. Tu zaraz wpadła w wir zabaw, gdzie wszystko było dla niej. Tańczyła z kim chciała, tak długo, jak jej się podobało, mówiła z mężczyznami swobodnie, o czem tylko pragnęła — jak wszystkie panny wokoło. Wiedziała już dużo, słyszała wiele, — ale to było wszystko pozorne i nie obiecujące, bo się nie kochała. Andrzej podobał jej się od pierwszej chwili jak nikt przedtem i była pewna, że kocha go jedyną miłością życia. Idąc tu, pomimo wstydu, uciskającego

jej piersi aż do bólu, nie mogła się oprzeć na dnie swej świadomości przekonaniu, że idzie po swoje szczęście, do którego ma prawo. Tylu mężczyzn jej mówiło, że jest piękna, i sama wiedziała, że nią jest, — czyżby on jeden pozostał obojętny, on, ten, którego kocha?

I dopiero w tej chwili, widząc zupełny jego spokój, i czując obojętność, pojęła, że życie potrafi umykać, że piękność jej jest daremna, i że w klasztorze było pogodniej, niż jest na świecie.

Zacisnęła ręce i zapytała po długiem milczeniu z wysiłkiem:

— Czy... pan mi daruje tę wizytę?

— Pani! Ja mogę dziękować tylko... jestem wzruszony.

Ona wiedziała już, że tak nie jest. Przymknęła oczy.

— A czy pan... jest wierzący?

Andrzej zawahał się.

— Wierzę w Boga.

— I w kościół, i w dogmaty?

— Nie praktykuję.

— Ale raz na rok... — szepnęła nieśmiało, - chodzi pan do spowiedzi?

Z uśmiechem, pełnym czaru, pokiwał głową.

— Raz na rok i częściej wstydzę się swoich grzechów, postanawiam poprawę.

Jej prosta dusza, mądrze urabiana w klasztorze, wracała teraz tam, już nie jak do więzienia, wracała z ulgą. Nie wiedziała dotąd, że jest przywiązana do tych kornetów białych, do kaplicy, do prawdy, jakiej tam uczą. Teraz, gdy wyjdzie z tego mieszkania, to tylko do sióstr chce pojechać, do celek, gdzie biło z ufnością jej serce dziecinne, — dziś nagle dojrzałe, nagle złamane. Czarno jest, nie pragnie w życiu niczego, — przytem upada od wstydu i męki, że tu przyszła, a chciałaby zostać jaknajdłużej, zapamiętać wszystko, raz na zawsze, raz jedyny.

Andrzej ujrzał na jej gładkiem czole dwie bru-

zdy ciężkie, i pomyślał, skądże to dziecko Tynieckich zostało przez los ukarane gorącem sercem? A później zadumał się nad zagadką, że to serce rozpaliło się ogniem własnym, niebezpiecznym — dla niego, który już nie zapłonie. I nagle przyszła mu na myśl Krystyna, żywa i pełna ponęt. Krystyna, z gorącym rumieńcem i chłodnemi oczyma, tającemi z upartą wolą wszelkie myśli i uczucia! Też była młoda, też nie dla niego to dziecko, — ale jakże inaczej patrzał na nią, niż na tę świetną pannę, stokroć od tamtej piękniejszą. W tej widział młodość i urodę tylko, — w tamtej kobietę, niewiadomo właśnie dlaczego robiącą na nim wrażenie, budzącą dreszcz upodobania, a czasem tkliwość.

Marysia odezwała się głuchym głosem, dziecinnym, pomimo bolesnego brzmienia.

— Czy pan mi pozwoli zobaczyć mieszkanie, inne pokoje? Takbym chciała widzieć.

— Bardzo proszę, skromnie mieszkam, i nie jest u mnie ładnie.

Tymczasem mieszkanie urządzone było ze smakiem, znawstwem i z szczególnym wdziękiem. Stołowy jasny, z jesionu, miał puszysty szafirowy dywan i pełno garnków żółto błękitnych z okolic Neapolu i z Sycylji, — stały na półkach wąskich, rysunku samego Andrzeja. One zdobiły ściany, były wesołe i nie obce, choć przybyły z daleka, wybierał je sam Korecki w swych częstych podróżach, a ustawiała męska służba trochę gorzej, niż byłaby postawiła jakaś ręka kobieca.

Marysia szepnęła:

— Jak ładnie...

Na progu sypialni, która przylegała do stołowego, zatrzymała się. Drzwi były szeroko otwarte i zobaczyła pokój błękitny, wiejący chłodem. Nad metalowem łóżkiem wisiał mały srebrny wizerunek Matki Boskiej. Jedyna twarz

kobieca i słodka w całem mieszkaniu. Marysia doznała ulgi na chwilę.

— Częstochowska, — szepnęła.

— Tak, to jest stary obrazek, wisiał jeszcze nad łóżkiem mojej matki, — powiedział Andrzej z powagą.

— W klasztorze wszędzie były krucyfiksy. Mama też ma obraz Chrystusa na krzyżu, — mówiła Marysia, jakby sama do siebie, pragnąc odtąd modlić się tylko przed Matką Boską.

I nagle chwycił ją wstyd silniejszy nad wszystkie uczucia, pełen upokorzenia po doznanym wstrząsie.

Wyprostowała swą silną postać. Spojrzała na Andrzeja, stojącego przy niej, któremu dorównywała prawie wzrostem. Jeszcze raz obejrzała się wokoło, ale nie widząc nic, bo miała oczy mgłą zasnute i wypieki na twarzy, z tętnami pulsującemi gwałtownie.

— Idę — powiedziała.

Skierował ją delikatnie, bez słowa, do gabinetu, tam półprzytomna zabrała torebkę i rękawiczki, które jej wskazał.

Podała mu rękę i powiedziała nagle:

— Panie Andrzeju... — śmiało, jakby mówił ktoś inny.

I zaraz wyszła.

Gdy wrócił do gabinetu, zobaczył małą chusteczkę z koroną hrabiowską, całą mokrą od łez i pachnącą bzami. To tylko pozostało po niej... Andrzej wrócił do książki i zaraz zapomniał, że była tu przed chwilą kobieta.

ROZDZIAŁ XI

W gabinecie Andrzeja toczyła się rozmowa ożywiona między przyjaciółmi. Był Loc, faworyt Koreckiego, niski, krępy człowiek, o rozumnem spojrzeniu, Orwid, odrzucający często z nad czoła

czuprynę, dr. Konrad i elegancki, zrównoważony prawnik Znamieniecki.

Andrzej brał urlop i w tych dniach miał wyjechać zagranicę, omawiano wiele spraw bieżących w „Motorze". Andrzej tłumaczył o co mu głównie chodzi, jak ma pokierować Loc, oficjalny jego zastępca, niektóremi sprawami, z których żadna nie było już teraz łatwa, wobec kryzysu gospodarczego w kraju.

— Niebardzo mi się podoba, że w takiej chwili wyjeżdżasz, — mówił nerwowo Orwid, — mogą być przykre niespodzianki.

— Dajże pokój, — pilnujcie mi tylko Loca, żeby zanadto nie rozpuścił naszych klubowców, bo ma do nich słabość.

Mężczyźni roześmieli się, bo znana im była awersja byłego posła, chłopa z pochodzenie, do ludzi próżnych i dobrze urodzonych, których wielu skupił Korecki w „Motorze".

Loc odrzekł:

— Ja tam sobie dam z nimi radę, żeby tobie tylko figla nie wypłatali, — oni są jak płazy, niby ich trzymasz w ręku, a nagle się wysuną, że ani się spostrzeżesz.

— Czego ty od nich chcesz, porządni ludzie i nic mi pracy nie utrudniają. Z wami mam więcej roboty niż z nimi.

— No, no, — rzekł Loc.

— A pewno, Orwid groził mi już ruiną i nieomal kompromitacją, Konrad wycofał się z zarządu i nie chce u nas pracować, Znamieniecki — jest leniuch.

— Tylko ze spokojem można coś u nas zrobić, — odparł prawnik. — W tym tygodniu zresztą zasłużyłem się „Motorowi", bom Tynieckiego namówił, żeby dał jeszcze trochę pieniędzy, a groził, że się wycofa zupełnie.

— O cóż mu chodziło? — zapytał Andrzej z pewnym niesmakiem na brzmienie nazwiska Tynieckiego.

— Nie wiem, od jakiegoś czasu jest rozdrażniony i wygląda tak, jakbyś ty mu dokuczył, bo zżyma się wciąż bez powodu na „Motor". Między wami nic nie zaszło?

Andrzejowi przeszło przez myśl:

— A może ta dzierlatka się wygadała, że była u mnie, i on myśli...

A głośno powiedział:

— Co może zajść między mną a Tynieckim? Znoszę cierpliwie jego pomysły i elukubracje w zarządzie od 4 lat, przez które on, niestety, niczego się nie nauczył. Wiecie, wogóle zauważyłem, że o ile rozwój handlowy naszego „Motoru" jest zadawalniający, to strona pedagogiczna przynosi nam ujmę. Nikogośmy nie wychowali i to przy tak dobrym wikcie. Nawet Znamieniecki nie nauczył się pracować, a cóż dopiero panowie Wirski, Tyniecki, Okęcki.

— Przelotnie, — odparł Znamieniecki, — właśnie wczoraj, w klubie...

— Grałeś? — przerwał dr. Konrad.

— Grałem.

— I przegrałeś?

— Przegrałem.

Andrzej śmiał się, a doktór kiwał głową zmartwiony.

— Więc co tam w klubie?

— Opowiadał hr. Ostałło, że Skarb - Skarbedzki miał z tobą dłuższą konferencję, i zdołał wpłynąć na ciebie.

— Gadaj poważnie. Mówił tak?

— Mówił, sam słyszałem.

— Że postanowiłeś wprowadzić zasadnicze zmiany do naszego systemu handlowego.

— Mówił tak?

Znamieniecki z humorem ciągnął:

— Przy świadkach. Plan tych zmian on, Skarbedzki ma referować u nas na zarządzie, przez ciebie uproszony. I wobec tego obiecują nam poparcie u ziemian, liczniejsze niż dotąd.

— Masz, — rzekł Loc, też ubawiony, — to są skutki twojej metody rozmawiania z tymi panami. Tego kokietowania...

— Kokietowania? — powtórzył Andrzej, — czy ja wiem, jabym się na jego miejscu śmiertelnie obraził, gdyby mnie kto tak przyjął, jak ja jego, ale kto wie... może ja go skokietowałem? — dodał z pewną powagą, patrząc na obecnych.

— Ja tam widzę, — powiedział dr. Konrad, — że raczej się obraził i mści się w sposób niepozbawiony dowcipu.

— Masz rację, — rzekł Andrzej, — a powiedzno, jak ten Ostołło wygląda?

— Wygląda doskonale i ma djabelne szczęście do kart. Wygrywał, jak najęty. Przytem ożywia grę rozmową polityczną, co też ma swój wdzięk.

— Młody jest?

— Młody.

— Mówił co o mnie?

— O tyle tylko, o ile to dotyczyło wskazówek, jakie ci dawał książę Skarb - Skarbedzki, — przesadzał Znamieniecki, z oczyma śmiejącemi się, — aha, i mówił, że ma być głównym naszym plantatorem na całe Kieleckie, że tobie na tem osobiście zależy, ze względu na jego ziemię, wzorowo uprawianą.

— Habet. — mruknął Andrzej, — i śmiał się.

Loc patrzał na niego zpodełba, wietrząc jakąś niepowszednią intrygę ze strony kliki arystokratycznej — i przypuszczając, że Korecki ze względów dyplomatycznych nie chce jej wyjawić.

— Cóż to znaczy? — powiedz, zapytał wreszcie, nie spuszczając oczu z przyjaciela.

— Jak Skarbedzki chciał pieniędzy dla Ostałły, — teraz rozumiem, że potrzebuje ich na granie w karty z Leonem, — tu spojrzał na Znamieniec-kiego, — i musiałem mu odmówić, to na pożegnanie powiedziałem żartobliwie, żeby się pocieszył, że jeszcze z jego kuzyna, bo to jego krewny, zrobimy plantatora na całe Kieleckie.

— Potrzebnieś mu to mówił, — zauważył Loc.

— Właśnie, że potrzebnie. Bo wy nie rozumiecie tych ludzi. Oni tak nie przywykli do nagiej prawdy, jak my do zbytku.

— Ho, ho, — z dobrocią rzekł Konrad, — ty jesteś z natury rozrzutny, i zbytek nie jest ci obcy.

— Co też ty mówisz, — odparł lekceważąco Andrzej, i przez twarz jego na mgnienie przebiegło odbicie tajonych potrzeb piękna i użycia, — co to wszystko znaczy! Ale powiadam, że z tymi ludźmi, którzy wyrośli wolni i przesiąkli zupełną swobodą użycia, nie można rozmawiać, jak z każdym z nas, po męsku, bo byśmy wcale nie mogli się dogadać. Cóż z tego, że ty mu powiesz: „tego być nie może“ — kiedy on ci mówi: „to jest na mojem podwórzu“. Cała olbrzymia skala użycia to jest jedyna zrozumiała dla nich rzeczywistość. Norm społecznych, prawideł, nie pojmują, bo żyli poza niemi, uprzywilejowani. Można z nimi coś wskórać, ale nigdy na gruncie rozpraw zasadniczych. Tego Loc nie rozumie i drażni ich, nieraz gromiąc jak dezerterów, kiedy to są tylko dzieci.

— Tak, tylko że trzymają w rękach część bogactw narodowych i niszczą je, — powiedział Orwid.

— Własna ciasnota aż zbyt pośpiesznie w ostatnich czasach usuwa ich na bok i ogranicza. Gdzież ty ich teraz widzisz w Polsce? Nie istnieją poprostu na widowni szerszego życia, dajże im spokój, — mówił pobłażliwym tonem Andrzej.

— A chociażby w „Motorze“, — odparł niepokonany Loc.

— I cóż nam szkodzą? Czyśmy im kiedy ustąpili? czy nam przyczynili strat? jak tylko który chciał przechytrzeć i kusił się na wielkie zyski, to wpadł jak Wirski i został usunięty. Teraz

Tyniecki się burzy, — albo się będzie musiał uspokoić, albo pójdzie z „Motoru".

— Nie tak łatwo, — zauważył Znamieniecki,— który był ścisły.

— Dlaczego?

— Ma duży udział.

— Jak duży? — zapytał Orwid.

— Coś około jednej czwartej kapitału.

— To wiele, — rzekł doktór.

— Właśnie.

— Mogę wam powiedzieć, co się Tynieckiemu stało, — zaczął Orwid, mający zawsze wiadomości o ludziach.

— No?

— Andrzeju, ty nic nie wiesz?

— Ja? Wiem różne rzeczy, ale niekoniecznie te same, co ty.

— Spotkałem Ostoję, jest to mój administrator...

— Bardzo miły człowiek, — rzekł żywo Andrzej, i pomyślał o Teretczanach.

— Właśnie, spokojny i poważny. Był pod wrażeniem wizyty u Tynieckich. Tam jest rozpacz. Panna, zresztą śliczna panna, jak wiecie, podobno się przyznała, że kocha się w tobie, że tylko za ciebie wyjdzie zamąż i że... —

Andrzej poruszył się i uczuł przykrość, nie związaną wcale z cierpieniami miłosnemi panny Marysi, tylko z nieznośną dla niego atmosferą plotek, i może z obawą o to, że dojdą do Krystyny. Złapał się na tem uczuciu i zdziwił.

— Że była u ciebie podobno.

Orwid wstał, a doktór Konrad przesiadł się na inne krzesło. Wszyscy myśleli o jednem. Jakiż mężczyzna będzie wątpił w to, że najzuchwalsze przypuszczenia mogą być prawdą w ich stosunku do kobiety? Zresztą Andrzeja znali. Miewał przygody. Nie krępował się względami światowemi. Patrzeli na niego wszyscy razem,

bo tym razem jednak chodziło o pannę. Instynktownie pragnęli, by zaprzeczył.

— Chociaż — rozmyślał już doktór Konrad, — dzisiejsze panny posiadają jeszcze mniej skrupułów od mężatek. Jeśli sama przyszła do niego, może w egzaltacji się oświadczyła... cóż... pewno że ją przyjął... tu... w tem mieszkaniu...

I rozglądał się wokoło, jakby zobaczył coś ciekawego i nowego w znanych sobie ścianach.

Andrzej wskazał na wygodny fotel, w którym siedział Orwid i z powagą rzekł:

— Tu.

Znamieniecki wybuchnął śmiechem, pokazując zdrowe, białe zęby, a doktór poruszył się niespokojnie.

— Dajcie spokój z żartami, — mruknął.

— Tu — powtórzył Korecki i, znając go, wszyscy się uspokoili.

— Tu siedziała panna Marja Tyniecka — kończył, — odwiedziła mnie w istocie. Był to ekstrawagancki pomysł, jak sama przyznała, rozkapryszonego dziecka. Bawiła niecałe piętnaście minut. Rozmawialiśmy o muzyce, i nie byliśmy jednego zdania, wobec czego wyszła z uczuciem lekkiego zawodu co do moich skłonności artystycznych.

— Lepiej tak, — tylko tego brakowało, żebyś się nam ożenił z córką Tynieckiego. Jabym się ciebie wyrzekł.

— Ale Andrzej, plus czwarta część kapitału zakładowego, toby był los „Motoru“ murowany — wtrącił Orwid.

— Dziękuję ci za zaszczytne dla mnie zestawienie, — odrzekł Andrzej, — ale wyobraź sobie, że szacuję się na większy udział niż czwartą część. Nie żenię się.

I zaczął rozmawiać o czem innem. Słuchali go, jak zawsze, uważnie i z upodobaniem — choć sprzeczali się często. Jeden Orwid trzymał się nieco na uboczu, czując, że Andrzej sam go zdy-

stansował w ich gronie. Cierpiał nad tem i zżymał się — widząc winy swoje i jego we wzajemnym stosunku splątane i pełne powikłań — niemożliwe do zdefinjowania na czysto. Andrzej się na nim zawiódł. Widział go wyczerpanym, nawet czasem ulegającym popłochowi. Ależ Andrzej był wolny, a on miał troje dzieci i żonę. Sił mu ubywało, a pracował coraz więcej i żyli coraz gorzej. Jaki uśmiech, jaki powiew łagodniejszy miało dla niego to życie w odrodzonej ojczyźnie? radość, że niema zaborców? — mówił sobie z goryczą, czując swe skarlenie, — kiedy dusza ludzka nie potrafi się cieszyć z tego, że czegoś złego niema! Musi coś dobrego być, to dopiero daje radość. A co on ma dobrego? Ożenił się przed samą światową wojną, musiał rzucić świetne stanowisko jako inżynier i iść do wojska. Tutaj się poniewierał, marzł, zagubiony duchowo i fizycznie w olbrzymich szeregach obcej armji. Andrzej przepowiadał, że Polska wyjdzie wolna z tej wojny, i Orwid wierzył w to, a nawet sam miał jakieś przeczucie głębokie, dotyczące lepszych losów narodu. Tylko siebie nie widywał nigdy w tych marzeniach — był przekonany, że umrze wcześniej, że nie dożyje szczęścia ojczyzny. Teraz rozumiał, że rzeczywiście nie dożył, bo jest ruiną człowieka, jedną z ofiar katastrofy. Z wojskiem, pracując w pocie czoła jako technik, odstępował do Rosji.

Czasem, w ciągu 24 godzin, kazano mu zbudować trzy mosty i klecił na czas, z tętnami bijącemi gorączką, tratwy i przejścia, a gdy widział, że ostatni żołnierz minął je bezpiecznie i nie waliło się pod nim, — to szedł sam na tamtą stronę, coraz dalej, i żegnał te polskie wody, tułacz, wyrobnik i parjas, pędzony na Wschód.

Zanim w te straszne dni zdołał się skomunikować z żoną, oczekującą go tęsknie w Warszawie, już był wepchnięty do Moskwy, chory, zawszo-

ny, w szpitalu wojskowym. Mur niemiecki, jak obręcz śmiertelna, rozdzielił ich na długie lata. Minęło 13 miesięcy, nim dostał od niej karteczkę, że żyje i czeka go, ale z dwóch synków, pozostał już jeden — drugi umarł, ledwo mówiąc dopiero „tatusiu“ — miał dwa lata. Chciał się przedzierać złapano go, mieli go rozstrzelać, cudem uszedł śmierci. Wysłano go z łaski do Kostromy, jako prostego dozorcę robót kanalizacyjnych — tam spędził dwa lata, i tam się doczekał rewolucji. Nie bał się jej, bo sam był już nędzarzem, który nie ściągał na siebie uwagi rozjuszonego tłumu. Ale też z tym tłumem wałęsając się i zapoznając, doznał wielkich wstrząśnień dla duszy, rewelacyj wciąż nowych z dziedziny zła i doznał obrzydzenia życiowego, będącego chorobą prawie nieuleczalną. Wrócił do kraju wychudły i zmieniony.

Wszedł z głośno bijącem sercem do nieznanego sobie, malutkiego mieszkania żony, gdzie padła mu w objęcia płacząc, cała siwa. Synek go nie poznawał i boczył się na niego, a on rozglądał się za tamtym, którego nie było. Wszystko było inne, niepojęte, niby radosne, a męczące, zabijające — bo nerwy były stargane i cały grunt z pod nóg usunięty, a Niemcy w kraju na każdym kroku spotykani, nienawistni, panujący. Ani warsztatu, ani pieniędzy, ani domu, ani przyjaciół, rozproszonych wojną, lub zabitych na niej. Tylko ta mała, dzielna kobieta, co go powitała, jakby się rozstali wczoraj, i pracowała, jako nauczycielka, na utrzymanie swoje, matki i syna. Potem i na Orwida, ku jego rozpaczy, nim znalazł stanowisko. Został wreszcie w 1919 r., po długich staraniach, powiatowym inżynierem. Skromne życie, ale już starające się wskrzesić jakieś kształty domowego ogniska, kilka wątłych ale konkretnych nadziei, trochę nieśmiałych planów. Mieli domek, umeblowali go potrochu, mały ogródek dawał ujście dla sielskich porywów, tak właściwych polskiej naturze. Przybyła

im córeczka, witali ją jako radość nową, niezwiązaną niczem ze wspomnieniami wojennemi, mającą ich wzmocnić i trochę młodości przywrócić. Orwid pracował, wyzdrowiał, był lubiany i szanowany, myślał wciąż o powrocie do Warszawy, tymczasem nawiązywali stosunki powojenne i nawet bawili się nieraz.

Wówczas przyszła inwazja. W ciągu godziny musiała żona uciekać z dziećmi na wozie bez rzeczy, zostawiając dom otwarty dla motłochu i nadchodzącej dziczy. A on znów nagle, wśród huku armat, dymu, krwi, rannych i jęku umierających, budował mosty, przejścia, sypał groble, ścinał drzewa, rąbał odwieczne dęby. Oczyma rozszerzonemi patrzał dzień i noc bez snu, nieomal bez jadła, na robotę, wykonywaną pod jego komendą przez robotników, którym ręce drżały, a twarze miały odcień trupi, zielonkawy, ze strachu i ze zgrozy. I temi mostami, groblami, wyrębami i torfowiskiem, znów widział, jak gnało wojsko — tym razem swoje, polskie, uciekające.

Potem znalazł się w Warszawie, z żoną i choremi dziećmi, u krewnych, w jednym pokoju. Stracił posadę — dostał ją, korzystając z ogólnego zamętu, jakiś protegowany posła X. Brudne tobołki były jedynym śladem domu straconego. Żona bladła w oczach, zaczęła znów starania o miejsce w szkole. Nowi ludzie, nowe potęgi — nic nie można uzyskać bez wpływów osobistych. Do wszystkich urzędów wdarli się ludzie nieznani, dziwnie szybko podający sobie ręce, by stworzyć łańcuch, nie przepuszczający nikogo obcego. Co ich złączyło? Skąd się wzięli? Nie wiedział. Ale stanowili siłę, której ominąć lub zlekceważyć nie mógł nikt, pragnący mieć kawałek chleba, nie marząc już o dobrobycie, w wyzwolonym kraju. Orwid długo nie mógł dostać pracy fachowej, więc szukał jakiejkolwiek. Był urzędnikiem w banku — dusił się wciąż w jednym pokoju u krewnych z żoną i synem — mat-

ce staruszce, mieszkającej kątem u obcych, nie mógł pomagać. Dopiero Andrzej wciągnął go do „Motoru“, dał względny dobrobyt i głębszą satysfakcję pracy zawodowej. Orwid cieszył się, myślał, że odżył — ale to już było zapóźno.

— Cóż, — mówił sobie w tej chwili, a raczej czuł mrocznie w głębi ducha, — historja to zwykła, takich jest tysiące i setki tysięcy wokoło, po wojnie. Ale to jest historja ruiny i zatracenia — czyż Andrzej tego nie wie?

Patrzał na przyjaciela, na jego silną twarz, na jasną głowę, na niezmącony humor i czuł jakiś żal, urazę i gorycz, nie dającą się określić, a dotkliwą.

Znamieniecki pożegnał się, nigdy nie siedział zbyt długo, mając dużo spraw ważnych i drobnych, o których nie zapominał.

— Kiedyż to wyjeżdżasz? — pytał serdecznie, wyciągając rękę do Koreckiego.

— Chciałbym jutro, ale nie zdążę wcześniej, jak za tydzień.

— A wracasz?

— Ba, wrócę, jak mi zbraknie pieniędzy.

— W Londynie zbraknie ci ich prędko, — rzekł doktór.

— Nie myśl: ja tam żyję bardzo rozsądnie i umiarkowanie.

— I wolisz jechać do Londynu, niż Paryża, albo wygrzać się na południu? — dziwił się Znamieniecki.

— Wolę. Z Londynem nic się nie da porównać. To jest centrum świata. Tam tylko można zbadać, co się naprawdę dzieje.

— Wracajże nam prędko, — powiedział Znamieniecki miękko, i wyszedł z pokoju.

W tej chwili Załęski, prosto z kolei, dzwonił do mieszkania Koreckiego, a ujrzawszy przyjaciół, zawołał:

— A to mi się udało. Trafiłem na moment konspiracji. Miał was w ręku.

Ale wyglądał mizernie, i widocznie coś go nurtowało. Andrzej, który go znał na wylot, chciał pytać o zdrowie Krystyny, ale on zaraz sam powiedział:

— Krysia przyjechała ze mną i stanęła u ciotki. Umówiłem się, że zjemy razem kolację w hotelu, — dobrze?

— Doskonale, — odpowiedział Andrzej,—mam wieczór wolny.

Gdy Andrzej wszedł na salę, zdziwił się, widząc Krystynę i Załęskiego, siedzących w niespodziewanem towarzystwie. Był z nimi Tyniecki i jakaś strojna dama, której twarz wydała mu się znajomą. Na widok Tynieckiego skrzywił się, ale podszedł uśmiechnięty do stolika.

Najpierw powitał Krystynę, a gdy Załęski chciał go przedstawić nieznajomej, ta rzekła:

— Ależ my się znamy, tylko wiele lat nie widziałam pana. Tak rzadko bywam w kraju.

— PaniZawierska,—przypominiał sobie zaraz.

— Hrabina Saloni, — poprawił Tyniecki.

— Witam panią. Cóż za szczęśliwy traf.

—Stoję w tym hotelu, i sama miałam przyjemną niespodziankę, spotykając państwa, — przyjechałam, wezwana nagle, w sprawach spadkowych. A pan się nic nie zmienia, — mówiła, patrząc z przyjemnością na Andrzeja.

— Konserwuje mnie miłość.

— Jaka? — spytała pani, mrużąc oczy.

— Jedyna, która nie przynosi zawodu, niewzajemna.

Pani Saloni śmiała się, a duże brylanty na piersi migotały rubinowo.

— Prawda, zupełna prawda.

Tyniecki, niezadowolony z obrotu rozmowy, zwrócił ją na inne tory. Prosił hrabinę, by opowiedziała, jak znajduje kraj, jakie wrażenie robi na niej Warszawa po tylu latach, i co mówią o nas zagranicą.

Korecki zwrócił się do Krystyny:

— Co słychać w Teretczanach?
— Pusto. — I zaraz dodała:
— Jesienią wszyscy się rozjeżdżają, i jest smutno. Ale mnie zawsze dobrze w Teretczanach.
— A Ludwiś?
— Zdrów, dziękuję, i nieznośny.
— To będzie dzielny człowiek. Bardzo mi się podobał, niech pani na niego nie narzeka.
— Ja, to jeszcze pół biedy, ale pani Zawara rozpacza nad jego przyszłością.
— Biedna pani Zawara, zdaje się, że uważa ona za jeden ze swych obowiązków tę rozpacz.
Tu Andrzej musiał wstać, bo zobaczył znajomego, z którym chciał porozmawiać, a gdy wrócił, spojrzał na obie panie, potem dłuższy czas patrzał na Krystynę, aż obróciła ku niemu szare oczy, i spotkała się z jego wzrokiem.
Zauważył, że wygląda w mieście jeszcze młodziej, niż na wsi. Pani Saloni, ze swym wielkoświatowym polorem, traciła nieco przy tej pannie. Tyniecki zabawiał hrabinę. Załęski też patrzał na nią z rodzajem admiracji, ale nie była w zupełności zadowolona i od czasu do czasu rzucała na Andrzeja jakby pytające, zdziwione spojrzenie.
On tymczasem mówił do Krystyny:
— Niech pani spojrzy na tego pana, co się śmieje i ma siwe włosy na skroniach. To jest Margoli.
— Nie znam go.
— Ale słyszała pani o nim?
— Nie, nie słyszałam; ja tak rzadko bywam w Warszawie.
— A to jest niepospolity człowiek.
— Naprawdę? Wynalazca czy uczony?
Andrzej roześmiał się.
— Raczej wynalazca. Zrobił ogromny majątek w ciągu jednego roku.
— Niema w tem nic nadzwyczajnego.
— Niech pani sobie tego nie lekceważy. Na-

turalnie, że naśladował innych, ale w sposób oryginalny, a to już jest jego zasługa.

— Jak pan myśli, czy można zrobić uczciwie wielki majątek w krótkim czasie?

— Trudno. Bardzo trudno.

— Ale można?

— Hm, nie. Prawie, że nie można.

Tyniecki, który ożywiał się zawsze, nawet przy boku pięknej kobiety, na rozmowy dotyczące pieniędzy, zapytał:

— Jakie kalkulacje majątkowe pan Korecki pani wykłada?

Odpowiedziała z uprzejmą rezerwą:

— Kalkulacje? Żadne. Mówimy o panu Margoli.

— Wszystkie panny o nim mówią. To jest partja.

— Chyba nie wszystkie, — odpowiedziała spokojnie, i zwróciła się z jakiemś zapytaniem do ojca.

Załęski zaśmiał się i odpowiedział:

— Zapytaj Andrzeja.

— Ale niech tatuś powie.

— Nie, ja chcę wiedzieć, co ci Andrzej powie.

Krystyna wesoło zapytała:

— Proszę pana, tatuś uważa to za śmieszne, że ja się pytam, czy do „Motoru“ należą kobiety.

— Jakto — należą? — zapytał Korecki, udając przerażenie.

— No, do zarządu, czy do rady, czy wogóle?

— Wielki Boże! Pani chce naszej ruiny: mojej i ojca rodzonego?

— Jaki pan niedobry!

— Jakto niedobry?

— Myśli pan, że ja, naprzykład, przyczyniłabym się do upadku „Motoru“? — rzekła, pochylając lekko głowę i patrząc mu w oczy.

— Ah, więc pani chodzi o udziały. Oddycham! Naturalnie, że kobiety mogą mieć udziały i dywidendę.

Zwrócił się z figlarnym uśmiechem do Tynieckiego.

— Niech no hrabia posłucha, trafia się interes. Panna Załęska pragnie nabyć trochę naszych udziałów. Pan się zżyma ostatnio na „Motor“, możeby zechciał odstąpić jej?

Tym samym tonem odpowiedział Tyniecki:

— Niestety, trochę spadły w ostatnich czasach, nie czas je sprzedawać.

— A jeśli spadną jeszcze bardziej?

— Wówczas wykupię od tych, co się nastraszą, ich udziały i wygram na tem, — odparł Tyniecki, a w oczach błysnęło mu coś bardziej znaczącego nad żartobliwe słowa.

Krystyna, która czuła do niego od pierwszej chwili antypatję, była już pewna, że Korecki ma w nim wroga.

Andrzej zaś odpowiedział:

— To lubię. Tacy zwyciężają.

— Mnie się też tak zdaje, — odpowiedział równie uprzejmym tonem hrabia Tyniecki.

Potem rozmowa wywiązała się ogólna. Pani Saloni opowiadała o Włoszech, jak o rodzinnym kraju, o Polskę pytała uprzejmie i obojętnie. Z atencją zwracała się do Koreckiego, zapraszała do Rzymu, słysząc, że wyjeżdża. Mówiła o atmosferze wielkości i piękna, którą tam się żyje, — a tu odczuwa jej brak, nawet przyjeżdżając na krótko, po kilku latach, w interesach.

Andrzej przypomniał sobie tego karła, znanego z brzydoty w Paryżu, za którego wyszła zamąż, i powiedział:

— Wielkość jest zawsze tam, gdzie się skupiła nasza miłość.. Pani jest związana z Włochami najsilniejszym węzłem.

— Tak, — odrzekła i zamyśliła się.

Ludwik mówił:

— A jednak wpływ południa, dzięki pani, dotarł w tej chwili aż tu; z Andrzeja robi się ro-

mantyk; jakie on wygłasza przekonania poetyczne!

— Ja jestem tylko bacznym obserwatorem, — odrzekł Andrzej. — Znam poglądy kobiece, wiem, że wszędzie bywa im źle, jeśli „on“ się zawieruszył.

— A czy „on“ się często zawierusza? — zapytały prawie jednocześnie obie panie.

— Stale. To leży w jego naturze.

Do sali napływało coraz więcej osób, był to wieczór modnego dancingu. Korecki co chwila kłaniał się. Stolik ich zwracał uwagę urodą obu pań.

Krystyna, z oczyma błyszczącemi, przyglądała się towarzystwu.

— Nie tańczy pani? — zapytał Andrzej.

— O, tańczę, ale tu nie.

— Dlaczego?

— Czy ja wiem? Nie lubię wśród obcych. I nawet nie znam nikogo.

— A ze mną pani zatańczy?

Właśnie Tyniecki kłaniał się pani Saloni, z rozjaśnioną twarzą wyciągając ku niej stęsknione ręce.

Krystynie drgnęły powieki. Zaskoczona, powiedziała:

— To pan tańczy?

— Tańczę.

— Nawet to brzydkie tango?

— Chociażby.

Stanęli przy sobie, potem odeszli trochę dalej, szukając miejsca.

— Tu, — rzekł Andrzej, i objął ją.

Poczuł ciało młode, napół dziecinnem ciepłem wonne. Zobaczył, że jest zmieszana i że ma cerę złotawą, jabłeczną.

Tańczył wybornie, ze spokojem i elegancją. Rozglądał się wokoło. Co za targowisko! Księżna Łucka, która dobiega nie dającej się zatuszować pięćdziesiątki, jeszcze o pięknej postawie,

wdzięczy się do dwudziestoletniego blondyna, z którym tańczy już bardzo długo. Wygina się umiejętnie, kunsztownie, coś każdym ruchem stara się wyrazić, powiadamia i wyczekuje odpowiedzi. Ale jakież ma zmęczone oczy, jakie wzgardliwe spojrzenie rzuca na nieznany tłum, w który wmieszana, tańczy tango!

Tam miga chuda, młodziutka pani Będowska; ma wygląd zajeżdżonego konia, — namiętnie uczęszcza na dancingi. Andrzej pamiętał ją, zeszłego roku jeszcze świeżą, — dziś ma zwiędniętą twarzyczkę i żółtą cerę. Obok półnaga, choć otulona zwojami czarnej gazy, Okęcka, z czupryną krótką i zawadjackiemi oczyma. Też mówi coś — postawą gimnastyczną, muskularną, nawet żyłami błękitnemi na rękach i na ramionach. To mają być nowe tańce! Na sali jest powiew starych jak świat porachunków. Sposoby stare, którym żadne zmienione tempo czy murzyńska nuta nie doda innego smaku. Tylko, że dotąd salon ich nie przygarniał, nie służył im za teren; aż nagle wyskoczyła ta giełda ukryta już nietylko na sam środek najpiękniejszych salonów, ale, jak każda giełda, żądna tłumu i potrzebująca rozgłosu, zapanowała w hotelu, w restauracji, w ciasnocie, dymie, wśród stolików, wśród wytartych i zakurzonych dywanów, miejsc pachnących piwem, tłuszczem i ludzkiemi wyziewami.

Andrzej bawił się zawsze, ilekroć, zaszedłszy wieczorem do jakiegoś lepszego hotelu, widział, w co się zmieniała rzęsiście oświetlona sala około północy. Ocierały się panie z najlepszego towarzystwa o kobiety złego prowadzenia, jedne i drugie przechodziły z rąk do rąk przygodnych znajomych lub wręcz nieznanych ludzi. Jedne i drugie tańczą do upadłego, zawsze wytrzymalsze od swego partnera. Wszystkie mają metodę podobną, dyszą postanowieniami nieugiętemi i nad ranem — jednakowo szarzeją im twarze

z nieopisanego zmęczenia fizycznego. Zresztą, to znużenie widział Korecki przez cały wieczór u młodych i u starszych, u zwinnych i u tych, które się trenowały z trudnością, pomimo jaskrawych uśmiechów i błyszczących oczu.

Sport, nałóg, czy namiętność? — pytał w myśli. Nie: coś innego, coś, co zużywa jeszcze bardziej system nerwowy, rozpala wyobraźnię, jak żadna inna pasja, mianowicie — hazard. Tak, tylko hazard daje tyle sił, i daje takie straszne zmęczenie potem.

Każda z tych kobiet gra. Hazarduje się z rozkoszą, właściwą niespodziance, i ryzykownym przedsięwzięciom. Każda stawia na siebie, — czyli gra najwyższą stawkę, i czeka rozpalona do białości, czy wygra...

A musi wygrać—bo rzuciła wszystko dla tej gry. Jest już prawie bankrutem. Zdradziła męża, lub czeka sposobności, by go zdradzić; wyssała dom, który stał się tylko garderobą i składem toalet, zrzucanych i zmienianych gorączkowo co wieczór. Pustka robi się coraz większa wokoło człowieka, hazardującego się bezpamiętnie. One też mają za sobą coraz większą pustkę, a przed sobą dancing wieczorem i ramiona pierwszego lepszego tancerza...

Korecki spojrzał na Krystynę, trzymaną lekko w objęciach, zdaleka. Wydała mu się ciekawa, nęcąca, jak nigdy przedtem, z tą głową, troszkę w tył odchyloną, tańcząca swobodnie, ale bez zapału.

— Panno Krystyno, Warszawa pani dobrze robi, bo wygląda pani jeszcze ładniej, niż w Teretczanach.

— A pamięta pan, jak wyglądałam w Teretczanach?

— Pamiętam i z upodobaniem wspominam.

Krystyna spojrzała na niego przelotnie, i nic nie odpowiedziała.

— A mnie nie jest w Warszawie dobrze, — rzekła po chwili i westchnęła.

Andrzejowi był miły poufny ton, jakim wypowiedziała te słowa.

— Dlaczego?

— Wiele rzeczy się na to składa. Trudno mówić.

— Ale mi to pani powie kiedy? — zapytał cicho, pochylając się nad nią.

— Może — kiedyś.

I znów spojrzała na niego, zdziwiona dźwiękiem własnych słów. „Kiedyś", mówi się komuś, z kim się razem idzie, a co ich łączy? Przyjaciel ojca!

Posmutniała.

Wrócili do stolika, przy którym siedział Ludwik sam. Tyniecki krążył w coraz ciaśniejszym kręgu niezmordowanie z panią Saloni. Gdy usiedli z obu stron Załęskiego, odczuli oboje, że są sobie bliżsi, niż przed chwilą, i Krystynie mocniej zabiło serce.

— Przyjemnie? — zapytał ojciec.

— Bardzo przyjemnie. Zaczyna mi się Warszawa podobać, tatuś mnie tu za rzadko przywozi.

— Emancypuj się, przyjeżdżaj sama.

— Pewnie, że tak trzeba będzie zrobić, — odparła. — Tylko, gdyby nie to stawanie u ciotki!

I westchnęła tak żałośnie, że obaj panowie roześmieli się.

— Co, ciotka dokucza? — pytał Andrzej.

— Nie. Pan wie, co to jest ciotka?

— Z teorji tylko. Rodzaj katastrofy żywiołowej.

— Właśnie, — odrzekła wesoło.

— Pani lubi wolność?

— Przynajmniej taką, jaką mam w Teretczanach — muszę mieć.

— Patrzcie! Przynajmniej taką, — zawołał Ludwik. — To to nie jest wolność zupełna? Czego ci jeszcze brak?

Krystyna śmiała się i patrzała na ojca, potrząsając głową, bez słów, ale wymownie.

Korecki pomyślał, że ma ona ogromny wdzięk i coś niezwykłego w sobie.

W tej chwili pani Saloni, lekko rozgrzana tańcem, siadała przy stole i mówiła:

— Zasiedzieliśmy się. Jest późno.

I niedługo wstali. Tyniecki odwiózł samochodem panią Saloni; Załęski z Andrzejem szli, odprowadzając Krystynę kilkanaście kroków zaledwie. Gdy ją żegnali, zapytała:

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Za tydzień.

— Na długo?

— Na kilka tygodni. Na Boże Narodzenie, — dodał nagle, — jeśli mnie państwo zaproszą, przyjadę do Teretczan.

Załęski zdziwiony i ucieszony, spojrzał na przyjaciela, bo latami całemi nie można się go było doprosić o przyjazd. Krystyna odpowiedziała lekko drżącym głosem:

— Prosimy, bardzo prosimy.

— Zrobisz nam największą przyjemność, — dodał Załęski.

Potem pożegnali się z nią i szli jakiś czas, jakby jedną myślą zaskoczeni, w milczeniu.

Andrzej wreszcie zapytał:

— Miałem wrażenie, gdyś przyjechał, że ci coś jest. Czy miałeś jakie przykrości?

Załęski odpowiedział odrazu innym głosem, pełnym znużenia.

— Miałem niemiłą emocję. List od Marji.

— Co ty mówisz? W jakiej sprawie?

— Czyś ty jej powiedział to, o co ciebie prosiłem?

— Wiesz, przyznam, że nie miałem odwagi się z nią widzieć. Zostawiłem list dla niej w domu po powrocie od ciebie.

— I doszedł ją?

— Tak.

— Była sama?

— Przyszła sama, w tydzień po moim przyjeździe i dostała list z rąk mego służącego.

— Nie pytała o ciebie?

— Pytała, ale jej służący powiedział, że wyjechałem.

Szli znów milcząc.

Andrzej przypomniał sobie typ fizyczny Marji Załęskiej, jej drobną postać, i porównywał ją w myśli do córki, — pamiętając, że miał niechęć do widzianego kiedyś podlotka o to, że nie dorównywa matce w urodzie. A teraz Krystyna jest ładniejsza od Marji i ciekawsza — znacznie ciekawsza.

— Wiesz, chronię te dzieci jak mogę, myślę tylko o nich, a czasem się boję. Taki list Marji jeden, po ośmiu latach napełnił mnie zgrozą. Mam dziwne wrażenie: cierpienie moje, wszystko co się z tą sprawą łączy, wydaje mi się, pomimo swego ciężaru, naturalne, nie mogące niczem grozić. A cierpienie kogoś, kto zdradził, zawiódł, odszedł, skrzywdził — jest nienaturalne i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pociąga za sobą też nienaturalne konsekwencje. Może czemś grozić dzieciom. Sam nie wiem czemu, ale to uczucie jest dojmujące. Przeniknęło mnie po raz pierwszy w dzień opuszczenia przez Marję Teretczan, gdym zobaczył, że płacze. Bo wyjeżdżała płacząc. Teraz znów przeszedł mnie dreszcz, jakem czytał ten list i odczuł, niestety, odczuł, że ona też cierpi. Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem, — odrzekł Korecki, i po chwili, pamiętając, że Ludwik jest bardzo religijny, dodał lekko żartobliwym tonem:

— Rozumiem. Jest to w gruncie rzeczy głucha obawa o to, by na jakimś sądzie wyższym nie zrównano jej za to cierpienie choć w dziesiątej części z tobą, bo wówczas...

Ludwik odrzekł zamyślony:

— Kto wie, może w tem jest coś podobnego.

— Widzisz. Ja was znam, więcej w was jest podświadomej rachuby, niż w takim porządnym poganinie, jak ja.

— Daj spokój, co ty mówisz!

— Naprawdę. Ty uważasz, że jest między wami przepaść, między nią a tobą, której nie wolno nikomu przebyć. Pozatem jednak wyrosłeś w przekonaniu, że cierpienie odkupia — i mimowoli witasz jej cierpienie, jako wroga, który ci grozi.

— Nie mnie, lecz dzieciom.

— To już wszystko jedno. Dzieci dziś to jest cały twój egoizm, i to jest zrozumiałe. A co ona pisała właściwie?

— Że musi je zobaczyć, że ja nie mogę odmówić, żebym ich zapytał i pozwolił im sam decydować.

— To, naturalnie, jest głupstwo.

— Właśnie, nic jej nie odpisałem, ale mnie to męczy.

— Musisz odpisać.

— Muszę.

Wchodzili do mieszkania, nic już więcej do siebie nie mówiąc.

— Śpij u mnie, będzie ci wygodniej. Zrób mi tę przyjemność, — prosił Korecki, zapalając po drodze światło w każdym pokoju.

Za sypialnym była garderoba Andrzeja, z komfortem urządzona; tam, na wielkiej otomanie, posłane było dla gościa. Paliła się mała lampa z szafirowym abażurem, na stoliku leżały książki.

— Pasjami lubię tę otomanę; wygodniej mi tu niż w domu. Zawsze u ciebie sypiam doskonale.

— To dobrze. Dobranoc. — Podali sobie ręce serdecznie i Andrzej zamknął drzwi swego pokoju.

Czytał potem długo w nocy, leżąc w łóżku, powieść angielską. Słyszał, jak Załęski przewraca się na otomanie i nie może zasnąć.

ROZDZIAŁ XII

Londyn ma swój urok i ma swoje szaleństwo, utajone chytrze w splendorze cywilizacji. Kto pozna w młodym wieku tę stolicę dzisiejszego świata, ten najpierw chce uciekać i nie wie sam, czy od woni fig, w których wywarze maczany jest tytoń angielski i smugami jego nasycone powietrze, czy od rudej mgły, która dusi przybysza i ma kolor niesamowity, czy wreszcie od całego rytmu życia, nie zamąconego nawet na mgnienie oka nigdy, przez żadnego cudzoziemca. W wieku dojrzałym wsiąka się w Londyn, jak w cudze domostwo, bez granic wygodne, i zaczyna się człowiek nastrojowo sprzęgać z miastem, nie będącem w stanie odwdzięczyć się miłością, ale też usłużnem stale i umiejętnie. A na starość — kocha się brytyjską stolicę uczuciem słodkiem, wypływającem z wspólności wielkich cnót: przedewszystkiem równowagi, potem ładu, pomagającego istnieniu zdrowej obojętności na nieszczęścia przy męskim wysiłku dnia i życia, zwróconym do realnych celów.

Andrzej pamiętał swe młodzieńcze spleeny, swój niepokój, nie pozbawiony pokory w pierwszem zetknięciu ze światem anglosaskim. I potem, powoli, jak rzadki kwiat na dalekiem błoniu, właśnie w tem środowisku ustalonych przejawów rasy — kształtował się, nie bez bólu, jego własny typ, odrębny, mocny, narodowy. Tu dojrzał, w tem zwierciadle świata zobaczył po raz pierwszy w pełnym blasku siebie: osobowość skończoną, odpowiedzialną i świadomą. Wówczas odrzucił snobizm, który przez jakiś czas głuszył proste zrozumienie obcej kultury — ale nie wyzbył się nigdy kultu dla miasta, będącego wytworem potężnych ludzkich aspiracyj.

Po życiu warszawskiem, pełnem nieładu i przymusowej szarpaniny, Londyn, ze swym wielkim oddechem stołecznym, ze swą wiedzą,

przystępną każdemu, a gromadzoną przez wieki w ciągłej czci dla wysiłku myśli; ze swym rozmachem sportowym, ze zdrowem podnieceniem zawodów i konkursów, z nagrodą dla pięknego i zwinnego ciała, wreszcie ze swą ulicą, zbytkowną i poważną, a kryjącą najcieższe grzechy, które obficie tu kwitną w mroku, — Londyn był zawsze dla Koreckiego nieporównanym odpoczynkiem. A podczas tego, gdy naponzór tylko odpoczywał od wielu lat przyjeżdżając, właśnie tutaj cechy jego odmienne narastały, jak kruszce w łonie ziemi, widziane i kontrolowane, jak w odbiciu, w tem lśniącem środowisku, niby cenniejsze tu, niż w kraju, a zarazem skromniejsze, zwarte, samowystarczalne.

Jadąc z dworca, wciągał w nozdrza zapach benzyny, który, jak mawiał, jest zapachem cywilizacji, woń rzeźką ozonu, buchającą z podziemnych kolejek; rozróżniał smugi słodkiego zapachu wiśni i figi, przecinające gęste, duszne powietrze, wraz z kłębami dymu z fajek wybornego tytoniu. Ruch zwykły, wielki, bez gorączkowego pośpiechu, ujęty w system, nietylko nie nużył, ale przenikał radośnie.

Andrzej przeciągnął się.

— Nareszcie, — szepnął, — nareszcie!

Hotel, w którym stawał już od kilku lat, znajdował się na cichej ulicy, nawprost ogrodu, ale był pierwszorzędny. W hallu panował gwar i wonne ciepło. W wielkiej sali jadalnej dojrzał zdaleka przy każdym stole bukiety ponsowych róż najpiękniejszego gatunku, i błysnęły ramiona strojnych kobiet, — bo była właśnie pora obiadowa. Andrzej wykąpał się, przebrał i zeszedł na dół, czując, że niby fala morska, ogarnia go radość lekkich pokus, swobody i życia bez troski.

Mężczyźni z szaremi twarzami, napozór podobni do siebie i jednostajni, w dobrze skrojonych smokingach, — migali oczyma różnemi, uśmie-

chem odmiennym, zmarszczką twardą lub falistą na wydatnem czole. Byli naogół przystojni i pogodni; im który starszy, tem spokojniejszy i bardziej miły miał uśmiech. Ale Andrzej ze swą jasną głową i mądremi oczyma, zwrócił szybko na siebie uwagę kobiet. Wzrok ich wyrażał w różnych odcieniach prawdę, z którą kobieta angielska nigdy się nie kryje, gdy mężczyzna jej się podoba... Korecki widział, że się podoba i wybierał w myśli z humorem, swobodnie wśród tych ślicznych głów i obnażonych ramion — miłą towarzyszkę pobytu — czy pierwszego wieczoru.

Wreszcie znalazł ją. Niewysoka blondynka z czarnemi oczyma, w których krył się czad z opium czy mgiełka melancholji — stała w przejściu, z wahaniem szukając kogoś oczyma. Andrzej przypomniał ją sobie odrazu i uśmiechnął się z przyjemnością. To była ta pyszna lady Trenor, której przygoda z mężem obiegła cały Londyn — gdy był on po raz ostatni, i z którą flirtował chętnie, ze smakiem, a nawet nieomal z poważniejszemi konsekwencjami przez długi, wonny tydzień lipcowy, w kwiecistem Torquay. Była inteligentna, ostra, dziwna i cudownie zbudowana; nie widział nigdy u Angielki takiej miary w linji, tak wybornej rzeźby ciała.

Wstał natychmiast i szedł środkiem sali; ona zobaczyła go dopiero, gdy stanął tuż przy niej.

— Lady Trenor — rzekł, z głębokim ukłonem, patrząc jej zbliska w oczy. — Jestem.

— A, pan Korecki, miły pan Korecki, po roku niewidzenia! Czy pan przyjechał do Londynu, czy do mnie?

— Do pani, w Londynie, — odrzekł figlarnie, obrzucając oczyma jej całą postać.

— Dobrze, ja panu pokażę Londyn. Dopiero pan mnie zrozumie, jak ja go panu pokażę.

— Nie zrozumiem pani nigdy, droga lady Trenor.

— Dlaczego?

— Bo pani siebie nie rozumie, w tych pięknych czarnych oczach jest zagadka, jest obawa...

— Jest zupełnie co innego w tych oczach, — powiedziała z nieokreślonym uśmiechem. — Ale czy pan zna Londyn?

— Pani, miałem szczęście bywać w pani domu. Chyba znam go.

Wybuchnęła szczerym i dźwięcznym śmiechem i pokiwała mu palcem tuż przed nosem.

— Nie, to nie Londyn. Ja panu pokażę coś... Czy pan jest odważnym mężczyzną?

Andrzej, usposobiony doskonale, odpowiedział miękkim głosem:

— Pokusiłem się kiedyś o rzecz szaloną, o nagły uścisk najpiękniejszej z kobiet i — zdaje się — szczęście mi sprzyjało.

Coś w rodzaju lekkiego rumieńca pokryło twarz bladą, wydelikaconą, młodej Angielki.

— To nie jest odwaga. To jest łupiestwo.

— Możliwe zatem, że nie mam cech właściwych bohaterowi, ale jestem odważnym dość korsarzem.

— Korsarzem, — powtórzyła marzycielsko lady Trenor. — Na morzu, wśród raf, które kryją w głębi czarne perły...

Korecki ujrzał ze zdziwieniem, że wpada w zadumę, i powiedział szybko:

— Teraz zjemy obiad. Pani pozwoli sobie towarzyszyć?

— Owszem, bardzo chętnie.

I znów się ożywiła.

Obiad zamawiał Andrzej z namysłem i ze znawstwem. Kuchnia angielska jest marna i trzeba się strzec nieudanych wyspiarskich pomysłów, ukrytych pod wykwintnemi francuskiemi nazwami.

Jedli długo, wolno, rozmawiając o znajomych, o nowych skandalach stołecznych, a czasem o duszy ludzkiej, w sposób prosty i ścisły, jak o czemś

nawskroś zbadanem. Oboje posiadali ostrość sądu, oraz wyrazistość myśli, która nie dopuszcza zagadki: łudzi się zawsze, że zna przyczyny działania.

— Co porabia mąż pani? — zapytał wreszcie Andrzej przy szampanie.

— Trenor? Cóż, zawsze ten sam. Wie pan, co mi się z nim przytrafiło?

Wiedział dobrze, ale, ubawiony, chciał usłyszeć opowieść z jej ust.

— A, to był skandal na cały Londyn. Dlatego go porzuciłam. Proszę sobie wyobrazić, byliśmy w Crimith u lorda N. Śliczny zamek, dobra kuchnia i dobre konie, ale wie pan, brakło czegoś... tej atmosfery naładowanej elektrycznością, którą potrafi wytworzyć jedynie kobieta — młoda i pragnąca używać. Otóż, ponieważ nie było pani domu, — lord N. jest to przemiły stary kawaler, — a nie mieliśmy chwilowo żadnej intrygi w całem towarzystwie, więc nudziliśmy się czasem. Aż ja wpadłam raz na pomysł, który się szalenie paniom podobał: żebyśmy urządzili losowanie i żeby każda z nas odwiedziła późnym wieczorem jednego z panów i nazajutrz opowiedziała, co tylko da się opowiedzieć na tle tej wizyty i niespodzianki panów.

— Śliczny pomysł, śliczny, — rzekł, potrząsając głową, z udaną powagą Andrzej. — Nadzwyczajny.

— Prawda? Bardzo zabawny. Urządziłyśmy w tajemnicy formalne losowanie i każda z pań była dość zadowolona z wyniku, tylko mnie i Marję de Wille ogranęła rozpacz: jej wypadł tłusty, stary podróżnik amerykański, który właśnie tego dnia przyjechał i nocował w najładniejszej, żółtej sali gościnnej, a mnie, mnie wypadł mój mąż!

Andrzej wybuchnął śmiechem polskim, nieopanowanym. Paru panów z przyległych stolików obróciło się przelotnie i spojrzało na niego ze zdzi-

wieniem, ale lady Trenor sprawiał widoczną przyjemność ten nieznany tutaj, rzadki śmiech.

— Zobaczy pan, to się wcale nie tak śmiesznie kończy, — jeszcze dziś, gdy to wspomnę, trudno mi się uspokoić. Było dużo żartów. Trochęśmy się targowały wzajemnie o zmianę, ale wreszcie każda przyjęła swój los. Tego wieczoru, ku zdziwieniu panów, pożegnałyśmy się bardzo wcześnie. Każda miała co innego na myśli... rozumie pan... Ja w nocy zapukałam do mego męża i, gdy zapytał: „kto to?“, powiedziałam zmienionym głosem, którego się długo uczyłam: „proszę otworzyć“. Usłyszałam jakiś pomruk, i wreszcie znalazłam się w pokoju ciemnym, obok niego. „Co pani tu robi?“, zapytał obrzydliwym, zaspanym głosem, nie poznając mnie. „Los wypadł na pana, jestem“, odpowiedziałam, udając tremolo. „Uf, jestem bardzo śpiący“, odrzekł półprzytomnie i wsunął się pod kołdrę, nie dotknąwszy nawet mojej ręki. Wie pan, ja już bywałam w różnych katastrofach, — ciągnęła bez uśmiechu lady Trenor, — raz, naprzykład, musiałyśmy z moją matką uciekać w przerażającym tłoku z teatru, który się palił, raz znów byłam w pokoju, podczas gdy jeden młody Francuz strzelał nagle do siebie i padł trupem, to były duże wrażenia, ale podobnego szoku, jakiego doznałam w tej chwili, nigdy w życiu nie miałam. Przecież to nie był ani gentlemen, ani mężczyzna, ten człowiek, co się w moich oczach wsunął pod kołdrę i zaraz zasnął! To ma być mój mąż? Naturalnie, odrazu powiedziałam sobie, że między nami koniec.

— Nie poznał pani, — rzekł rozśmieszony Korecki, udając, że broni lorda.

— Właśnie, tem gorzej, — odparła szybko. — Wchodzi do niego nocą młoda kobieta i drżącym głosem oznajmia, że jest, a ten, ten osioł....

— „Tremolo“ — wtrącił Andrzej.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

— Drżący, młody głos kobiecy w męskiej sypialni. Nie! wie pan, nie mogę zapomnieć... I jeszcze nazajutrz spokojnie pochwalił się swojem grubiaństwem między panami. Pytał, jak inni postąpili, a właśnie trzeba trafu, że podróżnik amerykański zdziwił się, jak wszyscy, ale zachował bez zarzutu... bez zarzutu.

Andrzej znów śmiał się.

— Przeprowadzili państwo rozwód? — powiedział wreszcie.

— Oczywiście.

— Ale materjalnie chyba wszystko w porządku? — zapytał, wiedząc, jak bogaty był lord Trenor, i że żona jego z domu nic nie wyniosła.

— A, to dobre! Chciał pan, żeby nietylko mnie ośmieszył, ale jeszcze i zrujnował.

— Gdzież tam, jestem uszczęśliwiony, że stało się poprawnie i tak, jak się należało.

Pani otrząsnęła się już z fatalnego wspomnienia i, patrząc na Andrzeja, wymownie, cicho rzekła:

— Moglibyśmy już wyjść stąd.

— A gdzie pójdziemy na resztę wieczoru?

— O, jest mnóstwo miejsc ciekawych. Wie pan, zapoznam pana z niezwykłą kobietą, i spędzimy doskonale wieczór. Moja przyjaciółka...

— Nie chcę pani przyjaciółki,—powiedział rozgrymaszonym głosem Andrzej.

— Ale co za lokal!... Co za nastrój! Czy pan pali?

— Palę czasem tytoń, i stale listy miłosne.

— A nie próbował pan kiedy opium? Czarownych misterjów Wschodu?

— Poco? Jest mi na świecie dobrze.

— Młoda rasa, — rzekła pani z leciutkim odcieniem szyderstwa.

— Czy ja wiem, czy młoda, czy tylko bardzo silna? — powiedział wolno Andrzej, odczuwając jej lekceważenie. — Was rozkosz zużywa, szukacie już często podniety sztucznej, nas rozkosz

podnieca do nowej rozkoszy... Dlatego my tylko grzeszymy, a wy wpadacie w nałóg.

— Złudzenie, kochany panie.

— Może. Ale niech pani na mnie spojrzy i powie, czy nie wyglądam na człowieka realnego?

Błyszczące szafirowe oczy Koreckiego wyzywały pochlebstwa, jarzyły się podbojem.

Angielka widziała to i w jej spojrzeniu już się gromadziła, jak miód lepka, pozorna, pokora. Przesunęła ręką wąską, do połowy pokrytą brylantami, po szyi i piersi, gładząc wspomnienia czy też nadzieje, — czując pod ręką skórę gładką, pachnącą swoim zapachem.

— Pojedziemy, — zbliżyła trochę twarz do jego twarzy. — Tu jest za gorąco.

— Ale dokąd?

— Ja pana zawiozę. To tak słodko zaufać kobiecie.

Andrzej wstał, podał jej rękę i wychodzili razem. Przy kilku stolikach usłyszeli wymówione przy ich przejściu nazwisko „lady Trenor", a na cudzoziemca patrzono obojętnie, lecz bacznie, wiedząc jedynie, że śmiał się zbyt głośno w tej sali.

Chociaż samochód lady Trenor, czy też samochód dla niej przeznaczony, stał przed hotelem i Andrzej ze zdziwieniem dojrzał na drzwiczkach koronę książęcą, pani zaproponowała, by przeszli się kawałek pieszo.

W żadne miasto z równą radością nie wsiąka zakochana czy też tajemna para, jak w Londyn, z powodu jego mgły i z powodu jego ogromu. Nigdzie też w tym stopniu, co w brytyjskiej stolicy, nie widać w dzień i późną nocą tak bez krzty pruderji tulące się pary, tyle rąk męskich, ciasno obejmujących na ulicy postacie kobiece.

Lady Trenor wsunęła swą raczkę pod ramię Koreckiego i przez chwilę szła w ciszy, jakby mówiąc do niego tylko swą wymowną bliskością. Ciepło biło od niej poprzez ciemny płaszcz, szczel-

nie otulający nagie prawie ciało, i coś więcej jeszcze biło od Angielki.

Andrzej, idąc po asfaltowym chodniku, zalanym smugami światła, walczącego z gęstą mgłą, pomyślał, że ta ulica wielka, kosztowna, przecinająca we wzorowym porządku centrum miasta, a prowadząca nocą do ukrytych świątyń, ma pewne podobieństwo do jego wonnej towarzyszki. I ona lubi ład, a prowadzi gdzieś na bezdroża, i ona żyje prawidłami i normą, a nie zna hamulców; obie są kosztowne i nęcące, i w obu — można w tę noc ciemną, w tej kobiecie i w tej ulicy zagubić się, lub zatracić raz na zawsze.

— I dokąd to, dokąd mnie pani prowadzi?

Ona nie odpowiedziała, tylko zatrzymawszy samochód, wionęła do wnętrza szybko i cicho szoferowi jakiś adres.

— Leonor, — szepnął Andrzej, czując ją tuż przy sobie, — rozkoszna Leonor!

Lady Trenor zaśmiała się cichutko, i przesunęła ręką po jego ustach. Drgnął i objął ją obu rękoma, poszukał serca, mówiąc przyciszonym głosem:

— Tak spokojnie bije... Czy niema już w niem żadnych uczuć dla starego korsarza?

— Teraz jest już co innego, jest wyprawa lądowa, niezwykła, zobaczy pan, — mówiła z twarzą przy jego twarzy, oddychając szybko.

Adrzej szepnął jej coś do ucha na co odpowiedziała z radością w głosie:

— Nie, nie! Ale będziemy przyjaciółmi.

Zajechali przed willę na słabo oświetlonej, odległej ulicy.

— Czy to jest pani dom? — zapytał nagle, niezadowolony.

— Mój dom, nasz dom, wogóle dom szczęścia, dom darowany przez bogów z Olimpu.

— Musiały mieć te bogi niezłego na ziemi reprezentanta, bo dom jest solidny, — mruknął Korecki.

Pani błysnęła drobnemi ząbkami i szła pierwsza, prowadząc go przez ogród do bramy.

Przedtem lady Trenor obojętnym tonem rzuciła szoferowi rozkaz przybycia po nią o 5 rano.

Na trzy dzwonki krótkie, umówione, otwarły się drzwi i w rzęsiście oświelonym hallu ujrzał Andrzej przepiękną postać. Był to Hindus młody, rosły i tak urodziwy, jakim tylko potrafi być syn rasy, hodującej wytrwale wiarę w doskonałość człowieka.

Na ciemnej twarzy, rzeźbionej przez wieki marzeń i krwawego wyrzeczenia, dominującym wyrazem była duma: wyrażał ją każdy muskuł twarzy napięty, płaszczyzny nosa, czoła i skroni cienkie, doskonałe, oko płonące, i wielkie. A obok dumy spokój. Był jak porywający krajobraz, z którego wieje przyrodniczy spokój rzeczy bosko dokonanej. Cień tęsknot mistycznych nie ranił już, tylko zdobił to czoło młode i lśniące bogatym połyskiem miedzi.

Korecki zapatrzył się przez chwilę.

— Czy to służący pani? — zapytał wreszcie.

— Czy mój sługa? Sługa, — odrzekła wymijająco po francusku, obrzucając mieszkańca Indyj spokojnem, ale zachwyconem spojrzeniem.

Potem szli przez szereg salonów, oświetlonych kolorowemi lampami, w których uderzał zapach drzewa sandału i róży, oraz jakichś kadzideł. Z głębi dochodził gwar licznych głosów, i ku nim stąpając wciąż po dywanach Wschodu, których cały urok polega na głuszeniu i zatajeniu kroków — prowadziła lady Trenor Andrzeja Koreckiego...

ROZDZIAŁ XIII

Andrzej, wróciwszy z Londynu, był wypoczęty i czuł się doskonale. Obmyślał cały cykl artykułów, które miał pisać o Anglji i zabrał się czynnie do spraw „Motoru". Tyniecki wyjechał zagranicę, więc spokojniejsza atmosfera panowała w biurze.

Ale zastał kilka przykrych niespodzianek. Pani Konradowa porzuciła męża, jak się okazało, zakochana już oddawna w studencie politechniki, liczącym lat dwadzieścia dwa. Pisała codzień do doktora krótkie bilety z ścisłemi żądaniami. Pieniądze, mieszkanie, rzeczy. Doktór Konrad, ogłuszony, chciał czemprędzej się wynieść z tego mieszkania, gdzie przedtem wspólnie żyli i oddać jej na własność. Przyszedł więc do Andrzeja w kilka dni po jego przyjeździe. Rozmówili się spokojnie, po męsku.

— Nie chcesz tam mieszkać?

— Nie. Już nietylko dlatego, że pragnę jej oddać to mieszkanie, ale wogóle rozumiesz, że mi ono obrzydło.

— Naturalnie. A twoja praktyka nie ucierpi na tem?

Doktór uśmiechnął się.

— Byłby to odpoczynek, — ale, niestety, znajdą mnie wszędzie. Zresztą teraz wyjadę na urlop.

Andrzej wiedział, jak znakomitym jest lekarzem ten skromny człowiek i wzruszył się.

— Słuchaj stary. Sprowadź się tymczasem do mnie, tu się rozejrzysz, odpoczniesz i stąd — zaczniesz coś nowego. Mnie tylko ucieszysz swoją obecnością.

— Właśnie chciałem cię o to prosić, — odpowiedział z prostotą doktór, podnosząc na niego swe dobre oczy.

Andrzej uściskał go mocno, nic już nie mówiąc, i doktór tego samego dnia przeniósł się do Koreckiego.

To była pierwsza niespodzianka.

— Polska, psiakrew, niespodzianka, — mruczał Andrzej sam do siebie, rozmyślając nad losem przyjaciela. — Znosić piętnaście lat tę kobietę przy sobie, naginać się do niej, łamać, mieć piekło w domu, i wreszcie wyjść z tego domowego ogniska jak student, z jedną walizeczką, w świat

na nowe życie, — z siwemi włosami, dobiegając pięćdziesięciu lat? niema nigdzie tak lekkomyślnej kobiety, jak nasza, — myślał rozgoryczony.

Z awanturniczą wyobraźnią, nerwowo słaba, — jest swego rodzaju potęgą, nie dającą się zwalczyć, gdy chce postawić na swojem. Chce zdeptać domowe ognisko, to je zdepcze; chce być dobrodziejką, będzie nią; chce miłości poza małżeństwem, to jej poszuka, aż znajdzie; chce męża wysunąć i popchnąć do wielkiej karjery, żeby użyć w jej blasku, wyszuka sto sposobów na to i osiągnie powodzenie. Ale gdzie jest jej dusza? jej osobowość pewna, mająca swoje niezłomne przekonania, jakąś czystość wewnętrzną, jakieś — słowem — piękno?

— Niema, — ciągnął wzburzony rozejściem się Konradów, — właśnie, że niema. Dusza kobiety jest w każdej chwili gdzieindziej, i zawsze tylko tam, gdzie ma na coś ochotę. Jest niezmordowana, chytra, przenikliwa, nawet bohaterska czasem, — ale tylko w poszukiwaniu swego celu. Ten cel nie ma nic wspólnego z wielkością myśli ludzkiej, z dziejami świata, z pracą, z twórczością. Tym celem jest zadowolenie miłości własnej. I nic więcej.

Druga niespodzianka, która czekała Andrzeja po powrocie do Warszawy, była natury prostszej. Mianowicie kamieniczka, którą miał po rodzicach na Starem Mieście, groziła zawaleniem i nastąpiła przymusowa eksmisja kilku rodzin rzemieślniczych. Korecki lubił ten dom, znał od szeregu lat spokojnych jego lokatorów, z których wielu wspominało wdzięcznie jego rodziców, i obeszła go żywo ta wiadomość.

Zaraz po otrzymaniu jej, pojechał tam. Na wąskiej ulicy stała grupka ludzi, przyglądając się zarysowanej ścianie zewnętrznej. Stwierdzali, że rysa jest głęboka i groźna, gdy Andrzej ich mijał, odezwało się parę głosów, wymawiających z szacunkiem:

— Pan Korecki.

Uchylił kapelusza i wszedł do ciasnej sieni. Po tych mrocznych korytarzach biegał jako dziecko; temi schodami, męcząc się, schodziła jego matka. Nie da się zawalić kochanej ruderze. Wbiegł na piętro, gdzie z otwartych izb rozlegały się głosy. Kilka kobiet bladych wiązało węzełki w ciszy. Sprzętów już nie było Rozlegał się lament sąsiadek. Drobne dzieci biegały brudne i rozradowane, że coś się odmienia.

Andrzej zwrócił się do kobiet, zapytał, gdzie się przenoszą, czy mają zapewnione kąty, i zapowiedział remont natychmiastowy oraz powrót lokatorów do tych mieszkań.

Dziękowały z godnością, uśmiechnięte, śmiertelnie znużone. Były to żony rzemieślników, żywioł rdzenny na Starem Mieście, ale coraz wątlej wyglądający, bo duszony naporem i brudem żydowskim, wszędzie naokoło Królewskiej Katedry.

Zaraz nadszedł majster, który czyhał na przybycie Koreckiego.

Zbliżył się, Andrzej podał mu rękę, i zaczęli omawiać plan remontu.

— Proszę pana prezesa, — robota jest duża.

— Widzę.

— Przepraszam, że się pytam, ale czy to ma być prędko robione?

— Zaraz, zima taka miękka, to pan Nyć się weźmie do roboty i za dwa tygodnie ukończy.

— Hm, zrobić można, tylko żeby nie zacząć i urwać.

— Niby, jakto?

— Bo teraz te roboty to najgorsze ryzyko. Nam ciężko, zarywają nas. Rób, majstrze, a płacić niema komu.

— Panie Nyć, czy pan mnie zna od wczoraj?

— Panie prezesie, ja wiem z kim mam do czynienia. Znaczy się, pieniądze będą, — pytał przezornie.

— Pieniądze nie będą, a są, u mnie się inaczej

roboty nie zamawia, — odpowiedział Andrzej z uśmiechem.

Majster ukłonił się głęboko, a Korecki, obszedłszy izby, strychy i korytarze, schodził wolno na ulicę.

Dzień był szary, wilgotny, z najgorszych dni zimy warszawskiej. Śnieg wisi nisko w chmurach bezbarwnych, brudnych, jak tępo szarzejące ulice. Ani barwy, ani blasku, ani szerokiego powiewu. Dni pokutnicze lub więzienne, — kto zbada ich przeznaczenie? a padają w sposób niemiłosierny, niby ciemna mokra płachta na wielkie miasto, na utrudzone czoła ludzkie.

Gdy Andrzej mijał katedrę, zaczął padać drobny śnieg, więc podniósł kołnierz, mruknąwszy:

— Brr.

I zaraz usłyszał głos Krystyny.

— Pan Korecki. Gdzie my się spotykamy!

Zobaczył twarz różową, szare oczy i ucieszył się więcej, niż mógłby to sobie wyobrazić.

Ujął jej rękę, uchylił rękawiczki, i pocałował raz i drugi.

— Panno Krystyno, spotykamy się przed kościołem, to dobry omen.

— Że pan się nawróci.

— Niekoniecznie, ale, że między nami będzie spokój boży. Że my się z panią nigdy nie pokłócimy.

— Właśnie tatuś miał pisać do pana, przypominając obietnicę.

— Pani myśli, że zapomniałem? Z jaką rozkoszą spędziłbym święta w waszym ślicznym domu, i znów nie mogę.

Zawód i przykrość odbiły się w oczach Krystyny.

— Naprawdę? A pan obiecał.

— Proszę pani, nieszczęście spotkało mego przyjaciela, zresztą, czy ja wiem, czy nieszczęście, ale wielki szok, i nie mogę go odjechać na same święta, tembardziej, że mieszka u mnie.

— Co się stało?

— Konradowie się rozeszli. Ona się zakochała w studencie i wyniosła z domu.

— Boże, starsza kobieta!

— Cóż, kiedy u nas niema starszych kobiet, są tylko młodzi ludzie, zawsze gotowi do zrobienia głupstwa.

— Rzeczywiście... coś okropnego... — mówiła Krysia, ale widać było, że jej myśl zatrzymała się przy czem innem.

Andrzej też to zauważył i pochylił się ku niej.

— Pada, jest bardzo brzydko. Odwiozę panią — dokąd?

— Nie, do ciotki nie. Chcę skorzystać z tego, że pana spotkałam, by pomówić o jednej ważnej rzeczy. Pan przyjaźni się z ojcem. Pan mi doradzi,—rzekła z nagłą stanowczością w głosie.

— Najchętniej, to — chyba pojedziemy do mnie. Gdzież my będziemy rozmawiać w tę okropną pogodę.

Rozejrzała się i rzekła:

— Naturalnie. Dziękuję.

Gdy wsiedli do samochodu i siedział tuż przy niej, odczuł, że jakieś ogromne upodobanie — coś, czego nigdy nie doznawał w tym stopniu, szło od tej dziewczyny ku niemu.

— Wie pani, grzeszyłem dziś. W tej chwili, mając panią blisko, zdaję sobie z tego sprawę. Pastwiłem się w duchu nad kobietami...

— Z powodu pani Marty? — zapytała, patrząc mu w oczy wyraziście.

— Właśnie. Ta baba zawsze mi była wstrętna, a teraz urosła mi w oczach do jakiegoś złego symbolu.

— Kobiecości, — powiedziała.

— Kobiecości, kobiecości. A tymczasem patrzę na panią i myślę sobie, że w pani jest coś innego, czego nie można się obawiać.

— A panby się potrafił bać?

— Naturalnie. Dlatego się nie ożeniłem.

— Nie dlatego!

— A to ciekawe. Więc dlaczego?

— Bo pan nie pokochał, — głos Krysi zabrzmiał pieszczotliwie.

— Pokochał! ależ najlepsze małżeństwa są te, które zawierano bez uniesienia, bez miłości. Proszę mi wierzyć. Małżeństwo jest ładem, prawem, obyczajem, a miłość...

— Czem jest? — zapytała bardzo cicho.

— Nie wiem. Szczerze powiem, że nie wiem. Ale w każdym razie czemś, czego nie można więzić w ciasnem mieszkaniu, osaczyć regularnością i jeszcze przykuć do jednego wspólnego pokoju. Tak myślę.

— Pan zawsze mówi o małżeństwie w dziwny i niepokojący sposób.

Ogarnął ją smutek i odechciało się zwierzyć Andrzejowi tajemnicę.

Ale on tego nie zauważył, natomiast cieszył się jej bliskością i czarem młodości, nęcącym go z szczególną siłą.

W gabinecie Andrzeja siedział doktór Konrad, który ze skupioną twarzą czytał książkę lekarską. Nie zdziwiła go obecność Krystyny, która już była nieraz u Koreckiego z ojcem.

— Witam panią. Jak tam ojciec?

— Tym razem nie przyjechał, miewa się nieszczególnie i ma duże kłopoty.

— A pani na długo, tak, samodzielnie? — pytał z dobrocią.

— Ja jestem przejazdem, — rzekła.

Doktór Konrad z książką w ręku wyszedł z pokoju, — zostali sami.

Andrzej wskazał jej wygodną kanapę, sam usiadł przy niej, blisko. Było mu miło i chciał jej dziękować za obecność, za ciepło, które biło od niej, za te oczy, zmącone nie od dzisiaj budzącemi się dla niego uczuciami...

— Dokąd pani jedzie? — zapytał.

— Do Janowca, do klasztoru, — odrzekła ze smutnym uśmiechem.

— Jakto, do klasztoru? — zawołał prawie przestraszony.

— Nie dobrą bym była zakonnicą? pytała, przechylając głowę właściwym sobie zalotnym ruchem.

— Śliczną, uroczą, ale poco pani tam jedzie? Nie przez ciekawość pytam. Czy to jest w związku...

Przerwał, ale ona skończyła z powagą:

— Tak, z moją matką. Jadę się z nią zobaczyć.

— Co pani mówi. Czy ojciec wie o tem?

Zawahała się.

— Wie. Ale zgodził się z trudnością i mieliśmy ciężką rozprawę. Biedny ojciec. Ja go tak rozumiem!

Andrzeja zastanowił ton jej, opanowany i pełen wyrozumiałości.

— Co panią skłoniło do takiej decyzji? To w istocie dla ojca może być bolesne.

— Właśnie chciałam z panem pomówić. Tak myślałam, co panby powiedział, — spojrzała mu w oczy z ufnością.

— Ojciec powołał się na pana, nie pamiętam ściśle, co mówił, ale wiem, że w tej przykrej rozmowie wspomniał pana. Od tej chwili pomyślałam sobie: żeby też móc się z panem zobaczyć.

— I widzimy się, tak się cieszę, że panią widzę, — rzekł Andrzej, pochylając się ku niej.

Zobaczyła go tuż przy sobie i wzruszona, poufnie mówiła:

— Z nikim o tem nie rozmawiałam nigdy. Nawet z panią Zawarą, która zna mnie od dziecka. Niech pan powie, czy ja źle robię, że chcę się zobaczyć z moją matką?

— Źle, — nie, wcale nie. Tylko chodzi o to, czy warto ojcu robić taką ciężką przykrość, to jest czy — zawahał się, — czy matce tak na tem zależy.

— Mnie zależy, — zawołała jakimś bolesnym, zmienionym głosem Krystyna, i zaraz dodała spokojnie:

— Tak, matka pisała do mnie, pierwszy raz. Jest chora, mówi o śmierci, chce mnie zobaczyć.

Dłuższy czas milczała.

Andrzej zapytał cicho:

— Ale co się nagle stało... by po dziewięciu latach...

Tu chciał przerwać rozmowę, bo zobaczył, że twarz jej pokryły momentalnie wypieki, ale odpowiedziała:

— Ja sama nie wiem. Ale matka, której się niema nigdy w życiu zobaczyć, mówiąca o śmierci, wołająca zdaleka...

Wstrząsnął nią dreszcz.

— To jest straszne, — szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem, — straszne.

— Tak. Rozumiem.

Podniosła ku niemu oczy załzawione i podziwiał, jak umie się opanować. Twarz miała spokojną.

— Jak pan myśli, czy matka moja ma prawo żądać tego widzenia?

Pytała z całej duszy i patrzyła na niego z twarzą gładziutką, po której płynęły wolno dwie łzy.

Andrzej zapatrzył się.

— Prawo, prawo! — wyrzekł wreszcie, — pewno, że ma prawo. Ale wogóle to słowo niema najmniejszego znaczenia w takim dramacie. Chodzi o skutek. Jeśli pani to przyniesie ulgę...

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Ulgę i — pociechę. To niech pani jedzie.

Potem dodał sam wzruszony.

— I niech pani wraca prędko, bo będę o panią niespokojny.

A gdy wziął jej rękę i uczuł, że zaciska się w jego dłoni, jakby szukając oparcia, dodał:

— I będę ciągle o pani myślał.

ROZDZIAŁ XIV

Andrzej nie był zabobonny, ale to, co się stało, przeszło wszelkie jego oczekiwania.

Parę miesięcy obcowania z Konradem, a raczej z jego życiowem położeniem, zmęczyło go, rozdrażniło i, gdy Krystyna, wracając z klasztoru, napisała mu bilecik, że jest i pragnie go widzieć, bilecik, który był znaczący, — odpisał, że jest chory, że całuje obie jej ręce, i będzie wkrótce w Teretczanach.

Minął styczeń mroźny, w którym nie chciało mu się wyjeżdżać, a kiedy na początku marca powietrze trochę już pachniało wiosną, spakował się w pół godziny i pojechał. Mówił sobie, że jedzie niepotrzebnie, wiedział, że ten przyjazd musi być już przez pannę Załęską poważnie brany, ale jechał tylko, bo miał na to ochotę, nie myśląc o niczem innem.

Załęski przywitał go serdecznie, ale był czemś zmieszany. Rozmawiali tylko o potocznych rzeczach i z jakimś ze strony Ludwika nienaturalnym pośpiechem.

— Zdrów jesteś? — spytał go Andrzej, patrząc prosto w oczy.

— Zdrów, dziękuję.

— Masz jakie kłopoty?

— O, te co zwykle na wsi, przywykłem do nich.

— Daj spokój, — lekceważąco machnął ręką Andrzej, — o tych nie mówię. Myślę o czemś gorszem.

— Nie, dziękuję ci, nic takiego. — I blado spojrzał w przestrzeń.

— A panna Krysia nie wychodzi zamąż? — rzekł najnaturalniejszym głosem Andrzej.

Załęski mrugnął oczyma i niepewnie spojrzał na przyjaciela.

— Co? — zapytał z roztargnieniem.

— Pytam o twoją córkę. Jest śliczna, będzie ci

pusto bez niej w domu, więc pytam, czy nie wychodzi zamąż.

— Niee... tymczasem niee... Czy ja wiem zresztą... — machnął ręką.

— A ty nie żenisz się, Andrzeju? — zwrócił się nagle pewniejszym głosem.

— Ja? Bój się Boga, co też ci na myśl przychodzi. Czy wyglądam na to?

Załęski objął wzrokiem mocną głowę Andrzeja, z której biła jasność, i całą jego postać męską, i mruknął:

— Cóż, podobasz się kobietom!

A w trzy dni potem stało się coś, co sam Andrzej, napół ubawiony, napół wzruszony, skłonny był przypisywać gusłom czy zabobonom.

Krystyna przyjęła go tak, że nie mógł wątpić, że go kocha. Słuchała go z zapartym oddechem, jej oczy miały zmieniony wyraz, szukając jego wzroku.

Po domu rozłożystym, pachnącym trochę świeżym chlebem, trochę kwiatami, Andrzej chodził za Krystyną i nie poznawał siebie. Śmiał się, mówił jej rzeczy zarazem znaczące i lekkie, pełne nastroju miłości. Patrzeli sobie w oczy, obiecując znacznie więcej, niż mogą obiecać słowa. Jednocześnie Andrzejowi na myśl wcale nie przychodziło, by z tej wesołej przyjaźni z młodą dziewczyną, miały wyniknąć jakie konsekwencje, prócz rozkosznego, znanego mu już coraz rzadziej, podrażnienia nerwów i zmysłów.

Na trzeci dzień rano, Andrzej przechadzał się po ogrodzie, gdzie mgła cicha siedziała na krzewach i klombach, jak domownica na ulubionych śmieciach, i gdzie pachniał już szerszy, przedwiosenny powiew.

Na zakręcie szpaleru ujrzał nagle tuż przy sobie Krystynę. Zobaczywszy go, uśmiechnęła się jak do szczęścia, uśmiechem bez zastrzeżeń.

— Pan Andrzej! — Błękitny szal, którym była owinięta, wyglądał jak kwiat w szarym ogrodzie.

Na długich rzęsach, bardzo czarnych, wisiał opar wilgotny, niby drobniutkie łzy.

Andrzej patrzał i myślał o tem, że jest urocza i ciągle inna. Bywa brunetką, gdy patrzy przez te czarne rzęsy oczyma chłodnemi. A gdy podniesie obie ręce, ruchem nagłym do głowy i poprawia włosy złote, to jest blondynką z duszy i z ciała. Jaka będzie w życiu? Ciemna czy złota? Wszystkie możliwości są w tem bogactwie kolorów, w tej kobiecości złożonej, poplątanej, wyciągającej ręce po swoją zdobycz i płonącej głęboko.

— Nie wiem, nie wiem... Jak tak panią ujrzę nagle, to nigdy nie wiem, jaka pani jest naprawdę, — powiedział Andrzej szczerze, pod wrażeniem swoich myśli.

— Co pan mówi, — odpowiedziała zdziwiona, — co pan mówi!

— A tak. Czy pani zna siebie?

— Znam. W każdym razie nie boję się siebie. Nie będę zła nigdy, — powiedziała z dziecinną pewnością.

— Droga pani. Zła, to znaczy nieszczęśliwa, tego pani los oszczędzi. Ale czego pani chce w życiu?... — tu urwał, czując, że schodzi na niebezpieczną drogę.

— Czego pan chce? To daleko ważniejsze, — odpowiedziała z powagą i znacząco.

Andrzej chrząknął.

— Niczego nie chcę dla siebie, — wyznał szczerze, a widząc jej oczy pełne nagłego smutku, — dodał: —

— Życie mi dużo dało, jestem zadowolony.

— Zadowolony! — wybuchnęła. — W życiu nie o to chodzi.

— A o co?

— O szczęście, o szczęście!

Wyciągnęła ręce nieokreślonym ruchem, szal rozchylił się, ukazując jej smukłość młodą, niezastąpioną.

Andrzej zmrużył oczy.

— Szczęście jest w pani, — rzekł cicho.

Pobladła i zapytała:

— Dlaczego?

— W młodości, panno Krystyno, tylko w młodości.

— Nieprawda, — zawołała porywczo. — Zupełnie w czem innem.

— W czem?

— Nie mogę powiedzieć.

— Oo... coś niestosownego, tegom się po pani nie spodziewał. Chociaż... owszem, obawiałem się trochę....

Krystyna, grożąc mu palcem, śmiała się, i oboje szli dalej. W przezroczym szpalerze zimowym migali raz po raz, a pracujące w ogrodzie baby oglądały się za nimi i wiedziały już o nich więcej, niż oni sami...

Popołudniu byli w sąsiedztwie.

Dziwna to była wizyta. Załęski jechał z Ludwisiem bryczką, bo chciał zajrzeć do lasu, a Krystyna z Andrzejem jechali wygodnym powozem sami.

Z twarzy Krystyny biła radość, ale na wyjezdnem powiedziała jeszcze niepewnym głosem do pani Zawary:

— Jaka pani niedobra, że nie chce jechać! Hania panią tak kocha, ogromną nam pani przykrość robi.

— Dobrze, dobrze, — mruknęła opiekunka.

Krysia leciutko wsiadła do powozu. Długo milczała. Andrzej patrzał na nią wymownie i powiedział wreszcie:

— A gdybym tak zgadł, co pani myśli?

— Nie! — zawołała zaskoczona. — Nie, nie można.

I, poruszywszy się niespokojnie, dotknęła niechcący ramieniem jego szerokiej piersi. Wtedy rumieniec wystąpił na jej twarzy.

— Proszę mi powiedzieć coś o państwu Su-

mińskich? To pani przyjaciółka? — zapytał Andrzej głosem poufnym.

Odetchnęła.

— Tak, najbliższa. Ona jest starsza odemnie. ale bardzo się kochamy, mówi, zawsze, że jeśliby miała córkę, to jej da imię Krystyna, na moją intencję.

— Nie mają dzieci?

— Nie.

— To smutno.

Krystyna spojrzała na niego szybko i zaraz odwróciła oczy.

— Niee... jest im bardzo dobrze, kochają się. Ona się zajmuje ogrodem, ma śliczne okazy i lubi to, on — on, to — uprzedzam pana — jest trochę przekorny, ale bardzo zacny człowiek, tylko sprzeka.

— Lubię przekornych ludzi.

— Dlaczego? To takie nieznośne. Mnie on gniewa często.

— Człowieka przekornego najłatwiej można poznać do dna, a ja mam pasję czytania w ludziach i odgadywania ich jasno.

— I zawsze pan czyta jasno? — zapytała z żalem w głosie.

— Zawsze, — odparł z naciskiem, pochylając się ku niej tak blisko, że odczuł jej zapach.

Dom bezdzietny na wsi ma szczególne cechy ładu i spokoju. Ani drzwi naoścież otwartych, ani śladów nóg śpiesznych, ani żywszego głosu. Niema przybudówek, od których rozszerza się dom, jak serce ojcowskie. W gnieździe takiem zajmuje pierwsze miejsce nałóg, lub cnota, ale to gniazdo jest beznadziejne, choć bywa niekiedy nawet szczęśliwe.

Laszki zdaleka wyglądały niepokaźnie, dom stał na równinie, — ogród młody i surowy w marcu, nie wabił oka. Ale dwór był ładny, z kolumnadą białą, dużemi oknami na parterze i tarasem

na górze. Pani domu, przystojna i spokojna, zdziwiła Andrzeja niezwykłą bladością twarzy.

— Wygląda, jakby jej się coś stało, — szepnął Korecki do Krystyny, gdy się znaleźli na chwilę sami, po powitaniach.

— Rzeczywiście, jestem niespokojna — i spojrzała na przyjaciółkę, w której oczach nic nie można było wyczytać.

— Zdrowa jesteś, Haniu? — zapytała po chwili.

Pani Sumińska zacisnęła kurczowo duże ręce i powiedziała z roztargnieniem:

— Zdrowa, głowa mnie trochę boli, — i spojrzała przelotnie na męża, rozmawiającego pogodnie z Koreckim.

— Nie w porę śmy się wybrali, — mówiła serdecznie Krystyna. — Ale tak chciałam, żebyś poznała pana Koreckiego! Podoba ci się?

— Bardzo miły, bardzo ciekawa twarz, — odpowiedziała bez ożywienia Hanna.

— Prawda? Prawda?

Andrzej wrażliwy nerwowo, patrząc na Hannę, odczuł, że w tym domu coś się złego dzieje czy też stanie. Zaczął zaraz po podwieczorku, podanym bez tego wyścigu gościnności, który stanowi ozdobę najlepszych polskich dworów, namawiać Załęskich na powrót, tłumacząc się pilną korespondencją. Ku zdziwieniu Krystyny, pani domu nie zatrzymywała, uśmiechając się blado.

Pan Sumiński spojrzał na żonę kilkakrotnie. We wzroku jego odbiła się przykrość i zdziwienie, i tem uprzejmiej zaczął gości bawić, nie chcąc ich puścić.

Był to tęgi, w sile wieku mężczyzna, o skośnych oczach. Przeczył z dobrocią, jakby z musu, najoczywistszym nawet rzeczom.

— Panie szanowny, — zwrócił się do Koreckiego. — Proszę nas nie krzywdzić, proszę zostać.

Korecki spojrzał wgłąb jego oczu, chcąc zbadać, co między tymi ludźmi zaszło, i zobaczył tak szczery spokój, jaki rzadko się widuje w oczach ludzkich.

— Zimny ten marzec w waszej dolinie, — rzekł Andrzej, widząc przez duże okna jak wicher się zerwał i giął gałęzie kasztanów.

— Nie, zimny to nie jest, — odparł gospodarz, — tylko czasem miewamy wiatry, ale ja je lubię.

Zapatrzył się błogo w okno i zaraz zwrócił uprzejmie do Andrzeja:

— Czy pan był kiedy w lecie w naszych stronach?

— Jeszcze nigdy, ale wiem, że bogata ziemia i ładne urodzaje.

— Nie, bogata to nie jest wcale, — przeczył nałogowo Sumiński.

Andrzej uśmiechał się jak do rekonwalescenta, serdecznie.

Gdy wyjechali po paru godzinach, wszyscy czuli znużenie. Nawet Krystyna mrużyła oczy i pobladła trochę. We czworo zabrali się powozem i, gdy zginął im z oczu słabo oświetlony dwór w Laszkach, Andrzej rzekł pierwszy:

— Tam się szykuje jakieś nieszczęście, moi drodzy państwo.

— Nie, — odrzekł ze spokojem Załęski, — to są bardzo zrównoważeni ludzie, i dobrze ich znamy. Hania musi być niezdrowa.

— Zobaczycie, — powiedział Andrzej.

— Ja jestem trochę niespokojna, — mówiła Krystyna, patrząc w oczy Koreckiemu. — Hania była dziś niezwykła. Muszę pojechać do niej jutro, dowiedzieć się, co to jest.

— I nic się pani nie dowie, panno Krysiu.

— Dlaczego?

— Bo tam już rzeczy zaszły za daleko i są w tym punkcie, w którym się o nich nie mówi, — zapewniał Andrzej.

Załęski z córką nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

— Biedna Hania, najzacniejsze stworzenie, żeby wiedziała o co pan ją podejrzewa.

— Zobaczycie,—powtórzył Andrzej, i uśmiechnął się do Krystyny, która siedziała naprzeciw niego, oświetlona wczesnym,wschodzącym księżycem. Wyglądała jak dziecko, ze swą drobną twarzą białą, a to była kobieta kochająca go, czuł to każdym nerwem. Teraz, jadąc tuż przy niej, kołysany tym samym łagodnym rytmem, który poruszał jej śliczne ciało, wspomniał, jak powiedziała o szczęściu, myśląc o miłości. A gdyby wyciągnąć ręce po tę młodość wonną? — rozmarzył się trochę. Gdy wysiedli przed cichym gankiem Teretczańskim, spojrzeli na siebie, jakby całą drogę rozmawiali o jednem i tem samem oboje, — choć w drodze panowało milczenie. Krystyna ocknęła się.

— Dobranoc panu, — powiedziała w sieni, patrząc na drzwi jego pokoju.

— Dobranoc, — odpowiedział i pocałował ją w rękę.

Po chwili, zostawiwszy drzwi na korytarz otwarte, wszedł do swego pokoju, który pachniał kwiatami.

— Ładnie tu, — pomyślał, i zbliżył się do okna. Księżyc wychylał się z za nagich wierzchołków drzew, łagodny w marcu, nie budzący obaw. Ogród w jego świetle był pełen nadziei, złocisty, poruszany nieuchwytnemi podmuchami, po swojemu gwarzący przez całą noc długą i cichą.

— Ładnie, — powtórzył, i odwróciwszy się zobaczył Krystynę, która szła korytarzem i spojrzała w jego stronę.

— Niech pani patrzy na ten księżyc, — powiedział odruchowo, — jest śliczna noc, panno Krystyno.

Ona, blada, bez słowa weszła do pokoju podeszła za nim, do okna i oparła się obu rękami na

wysokim parapecie. W pochyleniu ramion, w ruchu głowy, była zupełna ufność.

Andrzej zamknął drzwi za nią i naraz przypomniało mu się dzieciństwo, gdy robi się coś, co nie ma sensu, a co jest ponad wszelką miarę ulubione.

— Widzi pani, noc w ogrodzie, — mówił cichym, pieszczotliwym głosem, — boi się pani takiej nocy?

— Nie.

— To dobrze. Nie trzeba się bać niczego w życiu, niczego.

— A ja się boję, — szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem.

— Czego? — zapytał i, dotknąwszy w ciemności jej ramienia, poczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Czego? — powtórzył, starając się zajrzeć w jej oczy, bo milczała.

Wtedy odwróciła się, zobaczył w blasku księżyca, że ma oczy pełne łez. Chwyciła jego rękę ruchem dziecinnym i trzymając ją w swej gorącej dłoni, powiedziała z trudem:

— Boję się — pana.

— Mnie? Moja cudna... mnie?

— Tak, pana, pana.

Andrzeja ogarnęło nieznane mu wzruszenie. Jak słodki był głos tego dziecka, wyznający swą obawę przed własną miłością, jak kobiecy, jak rozkoszny.

I nagle wyciągnął obie ręce, objął Krystynę, przyciągnął ją mocno do siebie i powiedział z powagą, wyraźnie, jedyne słowa, na jakie z głębi duszy mógł się zdobyć:

— Chcesz zostać moją żoną?

Krystyna jęknęła, pochyliła nisko głowę w jego ramiona, ukryła ją i cicho zaczęła płakać. Coś się łamało w jej sercu, nie wiedziała czemu. Andrzej

pojmował, że temi łzami oddaje mu się goręcej, niż najbardziej wymownemi słowami.

— Nie płacz, — powiedział, widząc, że łzy nie pozwalają jej mówić, — nie płacz, nie będziesz ze mną płakać.

Głos jego spokojny miał uroczyste brzmienie, i była w nim obietnica.

Potem wolno zbliżył swe usta do jej twarzy i całował ją cicho.

Tak się zaręczyli, w marcowy wieczór, bez słów miłości, przy bladym księżycu.

ROZDZIAŁ XV

Po wyjeździe gości, Hanna pisała długi list jednym ciągiem, ale, że zaczęła go pisać o trzeciej, więc wkrótce świt natarczywy i przezroczy uderzył ją prosto w twarz. Wstała machinalnie, zasłoniła okno i przy świetle lampy pisała dalej, czując jednocześnie, jak miły dreszcz, idący z obudzonego dnia, przenika jej zmęczone ciało. Od czasu do czasu swą ręką twardą, ciemną, zasłaniała oczy i odrywała ją po chwili, by pisać dalej. Nie czuła nic, pisząc. Miała jedynie wrażenie, że recytuje coś znanego jej oddawna i tylko dziwiła się, czemu nie wyraziła tego wcześniej, jeśli znała tak dokładnie. Słowa przychodziły trafne, szybko i odpowiadały wewnętrznej treści. To było miłe. Więc to wszystko jest takie proste i da się tak łatwo wyrazić? Że też przez całe jedenaście lat nie znalazła słowa nigdy! W tych burzach, zatargach, w scenach między nimi, — jakaż była straszliwa jałowość. Ona nigdy nie powiedziała mu prawdziwego słowa. On nigdy nie wiedział o co jej chodzi, — może to jej wina? Ta myśl przyszła jej teraz nagle, ale już list był skończony i był taki, że nie widziała, gdzieby mogła dać wyraz temu poczuciu, pierwszemu zresztą w życiu, — o jej winie w stosunku do Zdzisława.

A list był następujący:

„Odchodzę, Zdzisławie, i nie wiem, jakie na to znaleźć słowa. Między nami nie było słów nigdy, — między nami nic się nie działo, a teraz ma się stać to, co musi, i nie wiem, jak ci to wyrazić. Nie wzywa mnie życie, nie idę w świat z tego domu martwego, gdzie skonała moja młodość. Idę w siebie, idę w prawdę, — nie mogę tak dalej żyć jakimś pozorem nieustannym, tem rozdwojeniem obłędnem, między panią Sumińską, która była twoją żoną, a tą samotną duszą, która nie zaznała ani jednej minuty ufnego oddania się tobie. Nie pytałeś mnie nigdy o nic, — od pierwszych dni nigdy... Nie wiem, czy ciebie zadziwiłam kiedy, czy uradowałam choć raz — co we mnie ceniłeś, jaką mnie widziałeś, nie wiem poprostu nic, — a mam już siwe włosy; i w tym domu Twoim spędziłam jedenaście rozbujałych w lesie wiosen — i tyleż jesieni z wyjącym wichrem, który łopotał o dom i o moje serce opuszczone — nieraz. Nie mam ci nic do zarzucenia — nie zdradzałeś mnie chyba, nie szukałeś wrażeń poza domem — pracowałeś. Myślę, że gdybyśmy mieli dziecko, toby było inaczej. Ale nie było dziecka i moja miłość do ciebie płonęła samotna, Tyś jej nie sycił niczem, żadną radością, żadnym porywem udzielonym wzajemnie, żadną sprawą wewnętrzną. Zdzisławie, mówię Ci z całym spokojem, że ja nie wiem, kim byłam dla Ciebie i że myślę, że niczem nie byłam. Czasem przymykałam oczy i chciałam widzieć Twój uśmiech, rzewnie zwrócony do mej duszy. Nie było go nigdy. Tęskniłam, wzywałam go, mówiłam Ci o sobie, o mej ukrywanej potrzebie miłości, i potem ciężki rumieniec wstydu dusił moje słowa. Mówiłam w próżnię, Tyś nie miał czasu słuchać. O, biedny Zdzisławie, życie tak szybko mija, jest takie krótkie, — Tyś nie miał czasu na to, co je przedłuża. Patrzałam z tępym żalem na ten dzień Twój roboczy, w którym na wszy-

stko było miejsce: praca, zadania społeczne, teatr, nawet pisma humorystyczne — tylko na wspólne życie nie było ani chwili. Jedenaście lat! — Nie cierpię wcale, i jeśli czego pragnę, to byś Ty też nie cierpiał. Na myśl, żebyś odczuł ciężko moje odejście, — czuję niepokój. Nie radowałeś się mną nigdy, nie bolej dziś nademną, Zdzisławie. Uporczywy sen, który nie wiąże się z rzeczywistością otaczającą, — to ja. Mnie nie było w Twojem życiu, gdy odejdę, również mnie nie będzie. Jeśli Cię skrzywdziłam kiedy,— wybacz. Są dusze jak żagiel rozpięty na pełnem morzu, giętkie, czujne, niezmordowane, — a ja mam duszę jak kamień. Padła kiedyś ciężko, szczęśliwa, w Twe otwarte ramiona, i zatonąwszy w miłości dla Ciebie, już żadnym prądem, żadnym żywiołem odrębnym nie odżyje. Tyś mnie nie zawiódł — tylko zamarłam przy Tobie. Mnie już niema. Jeden Bóg wie, że to nie jest frazes. Niema moich tęsknot, niema mych nocy bezsennych w wyczekiwaniu na jedno słowo, niema żałości nad sobą. Ale chcę być sama — myślę, że tak jak człowiek przed śmiercią ma jakieś szczególne rachunki, na które nikt już żywy nie pomoże, — czuję potrzebę porachunków. Nie wiem, czy ze światem, czy z sobą, czy z Bogiem. Z Tobą ich nie mam, — od Ciebie odejść muszę. Rozglądałam się po raz ostatni dzisiaj po tym domu, i nie wiem, gdybyś nawet chciał, gdziebyś mnie tu znalazł, chyba w tym ogrodzie, w jego bujności, która rosła wraz z mojem zamieraniem, w tych płaczących brzozach, którym szeptałam: „płaczę“, i w wiśniowym sadzie, któremu co roku, gdy zanosił się radością wiosny, jęczałam: „ja nie znam radości“. Ten ogród pokochałam — zostawiam Ci go — moją ręką sadzony prawie cały, rzadko w nim bardzo bywałeś. Jeślibyś kiedy zatęsknił, ale całą duszą, jakiemś obudzonem do mnie przywiązaniem — nie wiem, myślę, żebym wróciła, gdybyś się zgo-

dzi taką bladą towarzyszkę ostatnich dni jeszcze mieć przy sobie. Ale nie wiem, dziś chcę ciszy, prawdy w spokojnem obcowaniu z własną duszą. Wyjeżdżam za parę godzin. Żegnaj, mój Zdzisławie.

Hanna".

ROZDZIAŁ XVI

Wiosna szła tego roku wśród burz, błyskawic i grzmotów. Była jaskrawa, świetlista, to znów zasnuta chmurami gradowemi i niebem ciężkiem jak ołów. Nie sprzyja taka gwałtowna wiosna urodzajom, toteż w Teretczanach mówiono o pogodzie prawie tyle samo, co o zbliżającym się ślubie Krystyny.

Dwie osoby tylko zachowały niezależność duchową od wpływów atmosferycznych, to sama Krystyna i pani Zawara. Ta, żyła wyłącznie myślą o mającem nastąpić małżeństwie pupilki, robiła nieustanne i gorączkowe przygotowania, zresztą celowe, a od czasu do czasu wybuchała:

— Róbcie sobie co chcecie, ja już nie mogę, umywam ręce od wszystkiego, — poczem biegła na strych, do garderoby, do indyków, które tuczono forsownie; do ogrodu, gdzie gęste deszcze zagrażały truskawkom okazowym, mającym dojrzeć na samą uroczystość. Nie ustawała do późnej nocy, była blada, sroga i niestrudzona. Krystyna chciała jej czasem podziękować i czuła wzbierającą tkliwość dla starej kobiey, która jej zastąpiła w pustym tym domu matkę i którą niedługo opuści, ale było to niemożliwe. Gdy ją przyłapała w ogrodzie i wziąwszy pod rękę, prosiła:

— Proszę, niech pani się troszkę ze mną przejdzie, taki śliczny dzień, — opiekunka odpowiadała z roztargnieniem:

— Przejdź się, odpocznij, ja mam dzisiaj bardzo pilne sprawy.

— Ale pół godzinki...

— Nie mogę, nie mogę, Krysiu, nie zatrzymuj mnie.

— A mnie wkrótce już nie będzie tutaj, — mówiła wolno Krysia, trochę rozmarzonym głosem.

To działało na panią Zawarę, jak prąd elektryczny.

Wyrywała rękę z pod ramienia dziewczyny i, pomimo tuszy, biegła do domu rzeźkim krokiem, jęcząc:

— Boże, Boże, czy ja zdążę, niecałe pięć tygodni. Zjazd na czterdzieści osób.

— Krystyna z uśmiechem patrzała za nią i błądziła od rana do wieczora po ogrodzie, po polach i po domu, który pachniał świeżością i kwiatami, przy otwartych szeroko oknach przez całe dnie i przez czarodziejskie noce.

Nie robiła nic, nikt też niczego od niej nie wymagał. Czekała na Andrzeja, to była jej praca, jej myśl, wysiłek i tęsknota. Czekała go całą duszą, wezbraną w miłość, jak w najdojrzalszy owoc. Żegnała Teretczany codzień i w każdej chwili, ale bez rozmarzenia, spokojnie i prosto. Ojciec zaglądał jej czasem w oczy, jakby chcąc zrozumieć duszę nowej i odchodzącej Krystyny i nie pomyślała, że może cierpi i że go ogarnia strach na drugą zkolei samotność w tym domu.

Tatusiu najdroższy, — rzekła raz, gdy ją zapytał, czy jej nie żal Teretczan, — przecież będziemy tu przyjeżdżali, Warszawa tak blisko, a tatuś u nas musi spędzać całe miesiące. Pan Andrzej mi pokazywał pokój, który już dziś się nazywa pokojem tatusia.

Ludwik westchnął.

— Czemu tatuś wzdycha?

— Myślę o tobie.

— To trzeba się cieszyć, a nie wzdychać, mój tatusiu.

— A czy tobie w mieście nie będzie ciężko? Dobrze ci tu było bardzo, mówiłaś, że całe życie chciałabyś mieszkać w Teretczanach.

Nie wyrażał swej troski głębszej, dotyczącej wieku Andrzeja. Od czasu zaręczyn Krystyny, które spadły na niego jak rzecz najbardziej niespodziewana, żył w bolesnem rozdwojeniu. Nie miał spokoju. Z jednej strony kochał Andrzeja, jak mało kogo i szczycił się jego przyjaźnią, uznawał go za autorytet, pragnął jego szczęścia, namawiał go nieraz do małżeństwa — z drugiej — wzdrygał się na myśl, że ten prawie jego rówieśnik zdobył sobie serce dwudziestoletniego dziecka. Że ją weźmie na dolę i niedolę, na nieodgadnione nigdy dzieje wewnętrzne miłości. Przytem, znana mu była fama Andrzeja w stosunku do kobiet, jego lekkomyślność, przy prawej zresztą naturze, — a na myśl o tem, czuł w sobie nawet drapieżność w stosunku do przyjaciela.

Patrzał też na Krystynę w pełnem świetle wiosennych dni, jak na zagadkę, budzącą żal i wielkie troski. A nigdy nie widział córki piękniejszej. Jej chłodne oczy zwilgotniały, twarz mieniła się często matowym rumieńcem najświeższej barwy i usta straciły zaciętość, a nabrzmiały krwią. Widział ją ciągle, miał przed oczami postać w białej sukience lub różowej, migała mu jej głowa z węzłem włosów lśniących miedzią i złotem. I wiedział, że już nie ma córki. Krystyna uśmiechała się do niego, biegała i brała mu z rąk lejce, gdy zmęczony i zakurzony, zajeżdżał przed ganek małą linijką, po objeździe pól rano, słuchała go jak zawsze z uwagą i serdecznością, — ale czuło się już ją oderwaną i przebywającą daleko. Żyła życiem własnem, odtąd nigdy nie wiadomem nikomu...

Pewnego dnia obudziła się wcześnie i tak rzeźko, że chciała zaraz biec na spacer do lasu. Ale poczta przychodziła o dziewiątej i musiała naj-

pierw doczekać się listu. Przychodził nie codzień, ale każdego dnia wierzyła, że przyjdzie. Andrzeja listy były krótkie, miał masę pracy i trochę zdenerwowania, związanego zawsze z tym okresem życia. Wszystko rozumiała. Samo pismo jego, mocne, zwięzłe, było dla niej rodzajem poematu. Szukała w kształcie tych liter, w doborze słów, — jego natury, usposobienia, tego wszystkiego, za co go pokochała bez pamięci. I zawsze znajdowała.

Tego dnia, gdy zeszła do stołowego pokoju, gdzie pachniał maj i ranna kawa, zastała ojca i Ludwisia, rozmawiających poważnie o gospodarskich kłopotach. Z uśmiechem zauważyła, że trzynastoletni chłopak ma już zmarszczenie czoła, podobne do ojca, gdy mówi o pogodzie lub stanie ozimin.

— To co tatuś myśli robić z tem polem za Dąbrową?

Z rozjaśnioną twarzą Załęski odpowiedział:

— Już widziałeś, jak burza je zmyła?

— Naturalnie, jeździłem tam wczoraj z Maciejem. Trzeba zorać. Ani śladu żyta. Duża szkoda.

Krystyna zobaczyła przez okno zieleniejące krzaki, fioletowe bzy strzeliste, które się uginają pod nadmiarem kwiatu i nie rozumiała prawie o czem mówią. Pocałowała machinalnie ojca w rękę, Ludwisiowi, przechodząc, nastroszyła czuprynę, i siadła do stołu, mówiąc:

— Śliczny dzień. Tatuś gdzie wyjeżdża?

— Może popołudniu.

Potem znów rozmawiał z synem o szkodach, wyrządzonych przez burze, codziennie prawie przeciągające nad teretczańskiemi polami.

W tej chwili przyszła poczta. Gazety, kilka firmowych kopert i jedna duża, biała, znanem pismem adresowana. List od Andrzeja. Krystyna zerwała się i, odwrócona od stołu, przy otwartem oknie czytała.

Pisał krótko, jak zawsze. Chciałby przyjechać,

ma nawał roboty, w mieszkaniu malarze i tapicerzy — czy ona myśli o nim? czy go czeka? Chciałby być przy niej i przycisnąć ją do serca.

Przeczytała raz, drugi i trzeci.

Pan Załęski spojrzał na córkę kilkakrotnie i zmarszczył brwi.

— Czy Andrzej pisze o przyjeździe? — zapytał.

— Nie, jeszcze nie, — odparła i spojrzała ojcu w oczy.

— No, bo czas już byłby ustalić dokładną datę ślubu, ciągle zmieniacie, robi się z tego rwetes i nieporządek.

Krystyna wspomniała mimowoli, z jakim pietyzmem ojciec odnosił się dawniej do Andrzeja, a z jakiem rozdrażnieniem mówi teraz, ale pochłonięta sobą, nie miała o to nawet żalu.

— Owszem, — powiedziała swym niskim głosem, — można już ustalić, może tatuś zatelefonuje do pana Andrzeja, — i zaczerwieniła się.

— Tak, dziś się rozmówię.

— Tobie wszystko jedno, w jaki dzień?

— Byle nie dwunasty, — powiedziała z powagą Krysia, wiedząc, że tego dnia, również w czerwcu, był ślub rodziców.

— Nie, zawsze się mówiło o końcu miesiąca. I pani Zawara by nie darowała, żeby było wcześniej,—dodał Załęski z uśmiechem, widząc wchodzącą, która cztery razy dziennie systematycznie spóźniała się na jedzenie.

— Co? — zawołała opiekunka Krysi, otwierając szeroko oczy, — znów jakieś zmiany? może ślub w maju?

— Nie, nie, — uspokajał łagodnie Ludwik Załęski, — chcemy tylko ustalić dzień, rozmawiam z Krysią.

— Jabym radziła dziewiętnasty czerwca, — rzekła pani Zawara lekko wzruszona, — jest to sobota i dzień bardzo odpowiedni.

— Dobrze, — szepnęła Krysia.

Ludwiś, swemi mocno błękitnemi oczyma pa-

trzał to na jednych to na drugich, podniecony, potem zawołał ze śmiechem:

— W sobotę, też dziewiętnastego, padł nasz kasztan, to jest feralny dzień.

Załęski z panią Zawarą, omawiali szczegóły uroczystości, a gdy czas dłuższy rozlegały się ich spokojne głosy, Krystyna wyszła z pokoju z żalem i rodzajem buntu, że o jej ślubie tak się zwyczajnie mówi w rodzicielskim domu.

Nie domyślała się nawet, że ten spokój pokrywa głębokie troski obojga opiekunów, i dlatego nie mogło w nich być ani trochę romantyzmu w tej chwili.

Krystyna chodziła parę godzin zachmurzona, prawie gniewna na ojca i rodzinę. Potem pochłonęły ją marzenia, owa fala właściwa okresom życia nierealnego, potężniejsza od fal oceanu i bardziej od nich przepaścista.

ROZDZIAŁ XVII

W przeddzień ślubu, jak bywa w przeddzień każdej uroczystości, były w dworze Teretczańskim swary, trudy, zawody nagłe, straty i niespodzianki. Sama pani Zawara stłukła cenną filiżankę, pan domu nie uprzedził o przybyciu jakiegoś ważnego gościa, nie było wolnych koni, żeby posłać na stację, i wiele innych niepowodzeń.

Ale po domu, otwartym szeroko, chodzili goście i krewni, przybyli już od wczoraj, i roztrząsali ze smakiem te złe wieści, wiedząc, że są one nieomylnym znakiem jutrzejszego święta. Opuszczeni przez gospodarza, roztrącani nieomal przez panią Zawarę, biegnącą wzdłuż i wszerz domu po kilkadziesiąt razy na dzień, — nie zabawiani zupełnie przez Krystynę, lekko tego dnia pobladłą,— goście snuli się w doskonałym humorze, przeświadczeni, że im więcej zamętu jest dzisiaj, tem większa jutro będzie uroczystość.

Nawet gdy pod wieczór w wilję ślubu, zaczął deszczyk padać, a pan Ostoja zbliżył się do okna i powiedział cichym głosem:

— Będzie śliczny dzień jutro.

To wszyscy mu przytaknęli.

Andrzej zaprosił swoich przyjaciół i chodząc z nimi po ogrodzie, lub zabawiając w domu, patrzał z szczególną przyjemnością na te odrębne, miejskie fizjonomje, na tle starego dworu.

Z nich wszystkich najbardziej wzruszony był dr. Konrad. W dzień ślubu przyjaciela, człowiek opuszczony przez żonę, myśli dużo o jego przyszłości i nie potrafi się radować.

— Ładna jest i miła,—rzekł do Znamienieckiego, który doskonale ubrany, przyglądał się wszystkiemu z ożywieniem, — ale bardzo młoda, nie wiem, jak to będzie.

— Dobrze będzie! Andrzejowi zawsze będzie dobrze, on umie żyć.

To mówiąc, zbliżył się do pani Łanieckiej, bo mu się ogromnie podobała. Chodziła ona od okna do okna, wyglądając męża.

Spodziewano się go każdym pociągiem z Warszawy.

— Proszę pani, niech pani będzie łaskawa uspokoić doktora Konrada, że Andrzejowi nic w małżeństwie nie grozi, — rzekł z iskrzącemi się oczami do ślicznej pani.

Ona spojrzała na niego trochę zamglonym wzrokiem.

— Grozi — odpowiedziała łagodnie — zawsze grozi.

— A co?

— Niespodzianka.

Wstchnęła ledwo dostrzegalnie. Znamieniecki dałby wiele, by zbadać, dlaczego westchnęła; zaciekawiała go i drażniła ta łagodność dojrzała, kobieca, przy panieńskich kształtach. Kiedy stały przy sobie z Krystyną, to niewiadomo było, która jest młodsza. Przytem to, że była zdradzana

przez męża, co powszechnie wiedziano, że żyła napewno bez miłości i że nosiła tę samotność niejako wypisaną na czole, — dodawało jej w oczach mężczyzn większego zmysłowego uroku. Budziła pożądanie. Każdy przystojny pan czuł się powołany do obudzenia jej miłości, do której bezsprzecznie była przeznaczona.

Ale ona wyglądała przez okno, czekając na męża.

Na Znamienieckiego nie można było inaczej spoglądać, jak pogodnie. Ze spojrzenia jego i całej postawy, biła stała przychylność i zdolność użycia.

Toteż pani Łaniecka spojrzała z uśmiechem i, pogroziwszy mu palcem, powiedziała:

— Gdyby nie groziło to panby się dawno ożenił.

W tej chwili przez salon przechodziła Krystyna, spojrzała na nich, uśmiechnęła się z roztargnieniem i poszła dalej.

— Jak pani myśli, czy będą szczęśliwi ci dwoje? — zapytał naumyślnie poufnym tonem, by móc z nią dłużej pobyć.

— Myślę, że tak. — Ale to będzie tylko zasługą Krystyny. Pan Andrzej nie wygląda mi na człowieka, stworzonego do małżeństwa.

— Nikt nie jest stworzony do małżeństwa.

— Skąd pan wie? — podniosła na niego oczy rozśmieszone.

— Znam wszystko, proszę pani—wszystko. — I błysnął zębami zmysłowo.

Tymczasem po ogrodzie z brewiarzem chodził młody ksiądz Uleszyn i modlił się cicho.

Znał Krystynę od dziecka, i modlił się o jej szczęście, jak brat. Do grabowego szpaleru, po którym chodził wolno, z otwartą książką w ręku, dochodziły odgłosy z pełnego domu. Słychać było smiech Andrzeja, czasem głos pani Zawary — tylko ani razu głosu Krystyny.

Młody był ksiądz i śliczny. Miał twarz dzie-

cięcą, białą. Nos prosty, usta wąskie i zdrowe. Ale ta twarz niewinna, czasem stawała się męczeńską, ostrą, pod nawałą pokus, pod obuchem niespełnionych nadziei.

O księże, księżyku! Dziecko Boże, wygnane na tę czarną ziemię... Młodziutki był, skronie gładkie, oczy utkwione w brewiarzu, rzęsy długie i złote. Usta wymawiały szeptem słowa modlitwy, a oczy czarne uparcie podnosiły się i przymykały, chwilami z tęsknotą ciężką. Te oczy były głębokie i patrzały w błękitny skrawek nieba, widoczny w górze grabowego szpaleru, — a czasem, gdy stawał u wyjścia z alei, — wpatrywały się na chwilę w zachodzące słońce, jak w oddaloną twarz kobiecą.

Czysta była twarz tego księżyka i Pan Bóg słyszał jego modlitwę.

— — — — — — — — — — — —

Andrzej nie szukał tego dnia Krystyny. Widział ją przechodzącą i nieraz stanął przy niej, ale nie miał jej nic do powiedzenia i to mu dokuczało. Nie wiedział, czemu przypisać tę nagłą oschłość, która go już od kilku dni ogarnęła.

Wieczór spędzono razem, w niskim salonie. Znamieniecki zabawiał towarzystwo wspomnieniami różnych mów weselnych, których był autorem, ale choć wszyscy byli w dobrym humorze, każdy odczuwał niecierpliwą chęć rozejścia się i doczekania dnia jutrzejszego.

Ślub był naznaczony na 11-tą rano.

O dwunastej w nocy każdy już był w swym pokoju i krytykował cicho, szeptem wszystko, co się tylko da skrytykować w cudzym domu. Spełniał czynność niezbędną dla doznania uczuć pełnej gościnności.

Tylko Andrzej i Krystyna, zdaleka od siebie, nie krytykowali i nie myśleli też wzajemnie o so-

bie. Każde z nich przejęte było własną osobą, własnem zagadnieniem życia.

Do jej pokoju zaglądał księżyc i oświetlał jej bladą twarz, u Andrzeja zaś żaluzje były spuszczone i panowała zupełna ciemność. Ale czuwał. W pewnej chwili, bardzo już późno, do Krystyny zapukał ktoś nieśmiało.

Nie spała jeszcze i drgnęła.

— Kto tam? — zapytała.

— To ja, ojciec.

— Proszę tatusiu, proszę; nie śpię jeszcze.

Wszedł i, zmieszany prawie, powiedział:

— Tak mi się zachciało jeszcze ciebie zobaczyć. Jutro, o tej porze, już ciebie nie będzie. Moja Krysiu.

Chciał coś mówić, ale było mu bardzo trudno. Zmarszczył brwi, i Krystyna czuła pod tem bladem czołem ojca myśl jego natężoną.

— Widzisz Krysiu, jesteś dzieckiem nieszczęśliwego małżeństwa. Mimowoli myślę o tobie z lękiem, czy się mój los, nasz los, w tobie nie powtórzy.

Krystyna przymknęła oczy i powiedziała z powagą:

— Wielki los w każdym razie, mój tatusiu. Kochamy się.

Ludwik uśmiechnął się.

— Dziwne, — szepnął. — Kiedyś tak powiedziała twoja matka.

Pierwszy raz od lat wymówił jej imię tak głośno wobec dziecka; nagle, gdy padły te słowa, oboje uczuli w sobie tęsknotę dziką i sierocą, wprost drapieżną.

W tym ciepłym pokoju panieńskim, w ten czerwcowy wieczór przed ślubem powiała pustka nieprzebolała, niewyrażona, śmiertelna.

Ludwik przesunął ręką po czole.

— Wielki los, — powtórzył — ale można go zgubić.

— Nie, — znów z powagą powiedziała Kry-

styna. — Można go tylko znaleźć. ale zgubić go, kiedy jest w ręku, nie można.

Ah, Ludwik miał go w ręku. Trzymał, trzymał, i nie mógł utrzymać. Gdzież temu dziecku mówić o tych rzeczach i to w przeddzień ślubu?...

Pokiwał głową.

— Chciałbym tylko, byś... z nieszczęścia naszego, — wyrzekł z wysiłkiem, — miała jakąś naukę, jakiś przykład, żeby...

— Żeby co, tatusiu? — pytała nielitościwa córka.

— Żeby się nie powtórzyło, — szepnął naiwnie.

— Nic się nie powtarza, mój ojcze. Ja... — chciała coś wyjawić, ale nie była w stanie.

Nigdy z tym drogim ojcem o swej duszy nie mówiła. Żyli obok siebie, strzegąc pilnie swych wewnętrznych przeżyć i z tego snując osobliwą wspólność, umówioną jakby, cichą, pogodną. Dziś dopiero ojciec przyszedł zatroszczyć się o tę duszę, już oddaną obcemu człowiekowi. Krysia to chciała powiedzieć, ale nie pragnęła za nic urazić ojca. Ona szła w świat, a on zostawał — nie może go ranić.

— Niech tatuś będzie spokojny, — powiedziała tylko. — Tatuś tak kochał pana Andrzeja.

Ludwik poruszył się niespokojnie.

— Dlaczego mówisz, że kochałem? Zawsze mi jest bliski.

— O, jest wielka różnica, — odrzekła ze spokojem. — Tatuś się dla niego zmienił, sama się czasem zastanawiam: dlaczego? Ale widzę tę zmianę.

— Od kiedy?

— Odkądśmy się zaręczyli. Tatusiu, dlaczego ty jesteś z tego niezadowolony, powiedz mi?

Wymówiła to ciepłym głosem, podobnym do głosu matki, mniej dźwięcznym, ale przedziwnie pieszczotliwym.

— Różnica wieku.

— Ale takie bywają najszczęśliwsze małżeństwa. Tatuś chyba widzi, jak pan Andrzej wygląda!

Wiedział już, że nic od niej więcej nie usłyszy, że jeśli ma jakie obawy, to ich nie zdradzi, że już jest wierna nie jemu, ale jedynie miłości.

Wzruszył się. Nie miał nawet żalu. Jest cudza na zawsze — ta dziewczynka, to dziecko jego miłości, pierworodne, witane, jak zjawisko, lat temu dwadzieścia, przez ojca i młodziutką matkę. Tak być musi — tak jest dobrze nawet.

Jeszcze tylko patrzał na nią. Andrzej mówił nieraz, że jest blondynką i brunetką zarazem, że w tem jest jej czar. Czy są w niej dwie kobiety? Czy jedna w pełni? I jeśli jeden typ wyższy, to który? I który w niej kocha Andrzej?

Tu uczuł tępe uderzenie wewnętrzne. Czy on ją kocha wogóle?

Dlaczego się z nią żeni? Upodobanie zmysłów? Na tę myśl rana, którą zadały mu ich zaręczyny, otwierała się szeroko. Wyobraźnia odrzucała widok dla ojcowskiego serca nieznośny. Ale nie mógł już kochać Andrzeja, jak poprzednio, — nie ufał mu, jako mężczyzna mężczyźnie. Był z typu uwodzicieli niebezpiecznych, porywających. Widział Krystynę w jego ramionach, ale nie mógł jej zobaczyć szczęśliwej. Jednocześnie sama Krystyna była dla niego zagadką, on jej nie znał wcale. Co wydobędzie z niej życie miłosne, jako z kobiety?

Myśląc o tem, widział zawsze przedewszystkiem jej typ fizyczny, podobny do matki, i dech mu w piersiach zamierał. Córka kobiety, która uciekła z kochankiem! Znamię to wydawało się Załęskiemu nie do zmazania, straszne. Nieśmiało i z wstydem zastanawiał się nad tem, co też mógł Korecki myśleć... i czy się tego dziedzictwa nie bał w swej przyszłej żonie?

Krystyna odgadła myśli ojca i doznała zażenowania.

— Matko, matko! — zawołała w duchu rozpaczliwie, ale głos jej był opanowany i zwykły, gdy powiedziała:

— Jeszcze nie słyszałam, by niedobranie w małżeństwie szło rodzinami, mój tatusiu. Przeciwnie, dzieci pary nieszczęśliwej bywają bardzo w małżeństwie szczęśliwe. I ja ufam, że nam będzie dobrze.

Ludwika dotknęło, że powiedziała „pary" nieszczęśliwej, — tak, jakby to nie była tylko jego krzywda; nic jednak nie powiedział.

— Pragnę tego z całego serca, moje dziecko,— rzekł. Wiesz, jak pragnę... Zostaję sam. Pamiętaj o tem.

Pocałował ją w czoło, wziął na moment obie jej ręce w swoje, i wyszedł przeświadczony, że nigdy samotności jego ona nie pojmie i nie ukoi.

Krystyna prędko zasnęła, znużona dniem i myślami.

Andrzej Korecki spał tej nocy źle i wstał podrażniony.

ROZDZIAŁ XVIII

Dzień weselny nie był za gorący, ale tak świetlisty, że trzeba było od rana lekko mrużyć oczy. Dziewiętnasty czerwca.

Pan Ostoja wstał chyba pierwszy w całym dworze, i chodził po rosistym ogrodzie. Siwa jego głowa z bujnemi włosami, nie była dziś smutna w tem pełnem słońcu letniem. Ale oczy miał podkrążone i był blady. W alei grabowej spotkał księdza Uleszyna. Spojrzeli sobie w oczy przelotnie, i zaraz wzrok posłali w inne strony.

— Witam księdza.

— Dzień dobry panu.

— Chodzę sobie. Piękny dzień.

— Dzień ślubu panny Krystyny...

— Tak...

— Tak... Jak to czas leci. Pamięta ksiądz jej pierwszą komunję?

— Tak. Zdaje się, że wczoraj. Ja też byłem dzieckiem.

— Ksiądz jeszcze jest dzieckiem, — uśmiechnął się pan Ostoja.

— O, nie. W sutannie człowiek prędko dojrzewa.

— Naprawdę?

— Napewno.

Pan Ostoja spojrzał z zaciekawieniem na śliczną, młodzieńczą twarz.

— Drogi księże, a dlaczego? Jak ksiądz myśli? Dlaczego?

— Ksiądz podniósł uparte oczy czarne w złotej rzęsie, na starszego pana. Na wąskich wargach pojawił się uśmiech, tak pełen wyrzeczenia się, że aż prawie pogardliwy.

— Dlatego, że celem naszym jest dojrzeć prędko, by wszystko zrozumieć.

— Wszystko! Czy jest taki człowiek, co może wszystko zrozumieć, chyba święty?

— Nie, niekoniecznie święty. Właśnie ja myślę, że kapłan ma to przeznaczenie i dlatego może pomóc.

— Czy wiele może pomóc, mój drogi księże?

— Bardzo wiele.

— Jaki ksiądz szczęśliwy, że w to wierzy.

— To nietylko wiara. Ja wiem o tem napewno.

— Zazdroszczę księdzu.

— Dlaczego? Czy pan zwątpił w łaskę Bożą?

— Nie wiem, czy w łaskę Bożą... Nie wiem. Ale w coś zwątpiłem piekielnie... już bardzo dawno... i z tem żyję.

— Pewnie w szczęście doczesne? — powiedział ksiądz Uleszyn z prostotą.

— Właśnie.

I pan Ostoja przegarnął ręką suchą siwe włosy, świecące w słońcu biało.

— To nic nie szkodzi. Z tem można żyć i pięknie umrzeć. Szczęścia doczesnego prawie, że niema.

— A tu się dziś szykuje, — zjadliwie nieomal zawołał pan Ostoja, wskazując na dwór.

Ksiądz przelotnie spojrzał na niego.

— Daj Boże, daj Boże. Ale to jedna chwila. Można ją Bogu darować. Taka jest krótka.

— Ja tam nie powiem, żeby mi się moje pięćdziesiąt sześć lat życia wydawały krótkim czasem.

— Właśnie może dlatego, że nie było takiej chwili... — rzekł ksiądz głosem cichym, patrząc przed siebie.

Pan Ostoja zdziwił się, doznawszy nagle spokoju.

— Tak, możliwe. Tak...

I zaczął patrzeć na dom, do którego się zbliżał i w którym się już ruch zaczynał.

Przed jedenastą ganek Teretczański pełen był gości, czekających na wyjazd do kościoła. Było ciasno, ale cicho, każdy mówił głosem przyciszonym. Krystyny dziś jeszcze nikt nie widział. Wśród gości byli ludzie bardzo Ludwikowi Załęskiemu bliscy i tacy, z którymi nie łączyło go nic, prócz obowiązków sąsiedzkich. Znamieniecki, zachwycony panią Łaniecką, nie mógł jej emablować, bo przyjechał mąż i zwracała się wyłącznie do niego. Pan Sumiński w swych skośnych oczach miał jakiś grymas, stałe zmrużenie powiek, niby na widok czegoś okropnego. Postarzał się od maja o lat kilkanaście, sąsiedzi go nie poznawali. Nie przeczył też już nikomu, nie mówił prawie wcale. Na widok wchodzącej Krystyny uśmiechnął się i łagodnie patrzał na nią.

Panna Załęska była blada w ślubnej sukni. Biały strój uwydatniał jednak gorący koloryt tej młodziutkiej twarzy. Wszyscy patrzyli na nią z upodobaniem, a przyjaciele ojca pomyśleli zaraz

o matce, do której była w tej chwili uderzająco podobna. Zapanowała zupełna cisza.

Krystyna podawała wszystkim rękę z naturalnym uśmiechem, ale bez słowa.

Dopiero podszedłszy do Sumińskiego, podniosła na niego wzrok i szepnęła:

— Drogi panie...

Pochylił się nisko i zaczerwienił, całując ją w rękę.

Krystyna, obszedłszy wszystkich, stanęła przy Andrzeju.

Po chwili cały orszak powozami ruszył do kościoła. Uprzęże świeciły, konie dobrane były okazowo, nikt w dzień radości nie chciał samochodu, który nie budzi uczuć, związanych z jakąkolwiek żywiołową namiętnością rolnika.

Po drodze, mijając główną drogę wiejską, goście widzieli chłopów, szykujących się też odświętnie i podążających wolno za orszakiem.

Chłop polski, czciciel rzeczywistości, na śluby i na pogrzeby chodzi z poczucia obowiązku i żadnej nie pominie okazji. Baby — dla plotek, on zaś — bo musi. Co się w jego wsi dzieje, jest jego udziałem i trochę jego odpowiedzialnością. Słucha sobie poważne, lecz spokojnie słów świętej obietnicy ślubnej, zarówno jak psalmów pogrzebowych. Na wszystko zawsze gotów — prawdziwy włodarz.

W kościele, gdzie od róż i jaśminów unosił się mdły zapach, Andrzej uczuł rozdrażnienie głuche, gwałtowne. Spojrzał na Krystynę, klęczącą przy nim, i nie poznał jej prawie — tak wydała mu się obca. Chciał się wzruszyć, odczuć obecną chwilę — i nie mógł. Słuchał z powagą słów przysięgi, wymawianych przez Krystynę, a sam powtarzał je machinalnie, nie słysząc nawet swego głosu. Dopiero gdy obrzęd zaślubin był skończony, i pan młody z żoną od ołtarza odchodził, doznał nieznanych wrażeń. Pomyślał, że to, co czuje, nie jest związane z Krystyną, tylko poprostu z Bogiem.

Pierwszy raz coś przemawiał do Stwórcy, i nie byle co mu obiecywał, bo — wytrwanie...

I nagle wzruszenie zamieniło się w radość. Przycisnął ramię Krystyny, spojrzał na nią wzrokiem ogarniającym, i obecnych gości weselnych uderzył zmieniony wyraz jego męskiej twarzy.

ROZDZIAŁ XIX

Państwo Koreccy dwa miesiące po ślubie spędzili zagranicą. W Teretczanach wyczekiwano listów. Pani Zawara odchorowała wyjazd Krystyny, a wiadomości przychodziły skąpe, kartki z widokami, parę słów pamięci i podpis, jedynie podpis wymowny: ich obojga.

Byli nad jeziorem genewskiem, pogodę mieli piękną, potem w Wenecji i Rzymie, a w pierwszych dniach września ustalili datę powrotu do domu.

— Ładny dom, — mruknęła pani Zawara, po odebraniu ostatniej karty, do Ludwika, który właśnie wszedł do stołowego.

— Co pani mówi?

— Nalewam panu kawę, — z powagą odpowiedziała i postawiła przed nim z namaszczeniem dużą filiżankę.

— Dziękuję. Ale co pani mówiła?

— Mam kartę od Krysi, że 7-go będą w Warszawie. i chyba pan mi pozwoli zaraz ten dom starokawalerski przyszykować?...

Ludwik westchnął.

— Tak, — rzekł wolno; — naturalnie.

— Pieniądze ma pan?

— Czy... to duże wydatki?

— Pewnie, mówiła z gniewem i z dobrocią, którą przesiąknięta była cała jej postać; — pewnie. Ja mówiłam, że to wcześniej trzeba było załatwić. Teraz taki pośpiech. I wszystko, naturalnie, na mnie się skrupi.

Ludwik spojrzał na nią serdecznie. Czuł, że ją trapi to samo, co jego boli, i był wdzięczny. Jej gniew i jej irytacje znał i przyjmował od lat dziewięciu, jako jedną z form miłości dla jego smutnego domu...

— Kochana pani Zawara, pieniądze mam odłożone od ich ślubu, może pani jechać choćby dzisiaj. Ma pani dziewięć dni czasu.

— Czy pan pojedzie na ich przywitanie do Warszawy?

— Chyba nie, — rzekł z wahaniem. — Lepiej niech sobie sami swobodnie się urządzą. Później ich odwiedzimy.

Przymus brzmiał w każdym słowie.

— To... to jaki ma być ten sypialny? Mahoniowy? — pytała pani Zawara głosem zmienionym, bo każdy sprawunek dla kobiety jej gatunku, jest rodzajem poematu, jest momentem uniesienia.

Ludwik spojrzał w okno na zbierające się gęste chmury i nagły powiew wiatru wśród drzew.

— Będzie deszcz, — rzekł niezadowolony.

Pani Zawara czekała ze wzrokiem pytającym, utkwionym w panu Załęskim.

— Proszę pana...

— Ah, wszystko mi jedno, niech się pani poradzi ciotki w Warszawie. Razem wybierzecie i dobrze. Mnie to nic nie obchodzi.

— Ale gatunek?

— Tak, w dobrym gatunku wszystko.

— I jakieś biureczko dla Krysi, prawda? Pan Korecki ma takie duże meble, ona powinna mieć jakiś swój kącik. Ja to jej urządzę.

Zerwał się wicher i huczał wokoło, jak późną jesienią. Było smutno.

Pili w milczeniu śniadanie.

— Meble — myślał Ludwik, — to też jest coś symbolicznego. Dlaczego mnie tak obeszły te meble, których jeszcze niema? Ba! Jak widzę wóz meblowy i przeprowadzkę na ulicy, to mnie uderza tylko jedno: bogactwo lub ubóstwo! Za-

den artyzm, żadne starania kobiece , ni delikatność w urządzeniu wnętrza, nie ma znaczenia, brutalnie na ulicy wychodzi na jaw tylko to, czy jest pieniądz, czy go niema! Na czemś podobnem ja się łapię w stosunku do ich małżeństwa. Nic to, że znam walory Andrzeja, że Krystyna go kocha, nic wszystko wobec jaskrawej nędzy faktu, że on mógłby być jej ojcem. Mam wrażenie, że stoję na ulicy i śliczne meble, znane mi zawsze, miłe, wydają mi się nagle gratami Czuję upokorzenie.

— To ja wyjadę jutro rannym pociągiem, — przerwała jego rozmyślania pani Zawara i ciężko westchnęła.

— Dobrze, pieniądze dam pani zaraz.

Ludwik wstał i powolnym krokiem przeszedł do gabinetu. Na biurku stała duża fotografja Krystyny z ostatnich dni przed narzeczeństwem.

Patrzał chwilę cicho.

— Poszła odemnie, — na niezbadane nigdy tajemne dzieje miłości.

— Oh, on znał te dzieje. Daremnie mówił sobie, że dzieje Krystyny będą odmienne. Szarpało go poczucie, że to śliczne dziecko, pełne rzewności w stosunku do niego, nie zazna szcześcia w miłości, że jest podobna do matki tym szczególnym chłodem pewnego rodzaju kobiecości, — na który niema ratunku.

— Nic nie wiem i nic nie będę nigdy wiedział. W każdym razie nie porzuci go i nie zdradzi napewno, na tyle jest moją córką.

I, licząc machinalnie pieniądze, miał wrażenie, że mierzy jakąś przestrzeń bez końca, głuchą między nim a ukochaną córką.

— Pięć tysięcy powinno wystarczyć, — szepnął nagle, przykro dotknięty wypróżniającą sie szufladą. — Na resztę czek, na wszelki wypadek.

Pani Zawara tymczasem obchodziła dom, jakby się żegnała z tym światem. Tak czynią zwykle kobiety, pracujące całą duszą, a nie zdolne

nikogo nauczyć ni natchnąć swą pracą. Wiedziała, że nikt jej nie zastąpi i duma mieszała się z gniewem.

— Co za udręka! — szeptała. — Co za los! — Nikim się wyręczyć, nikomu zaufać!

A widząc ukryty błysk radości w oczach służby na wiadomość o wyjeździe, wpadła w istny szał rozporządzeń.

— Józefie! Wszystkie meble gościnne wytrzepać, podłogi zaprawić nanowo, wyfrotterować, poduszki na strych, do skrzyni.

— Maniu, żebyś mi się nie ważyła latać. Obrusy, które są w garderobie, zacerować wszystkie, pana dziedzica koszule zreparować — i pamiętaj, że...

W poleceniach był nadmiar i chaos. To jej sprawiało ulgę. Jednocześnie w kuchni, w ogrodzie, śpiżarni, szykowano paczki i skrzynki dla „panienki".

Pan Załęski słyszał odgłosy wrzącej w domu pracy, ale nie mieszał się do niczego. Przez jakiś czas pochylony nad biurkiem, chciał napisać parę słów powitalnych dla córki, ale później machnął ręką rozpaczliwym jakimś ruchem i zaczął miarowym krokiem przechadzać się po gabinecie.

Gdy pani Zawara dotarła wreszcie nazajutrz rano, przemęczona rozkładaną na innych odpowiedzialnością, do dworca kolejowego i wysiadła z powozu, była blada.

— Janku, — zwróciła się nawpół błagalnym, nawpół rozkazującym głosem do młodego furmana, — nie zapomnij! Zostawiłam klucze na stole, niech Józef odda je panu dziedzicowi. A klucze od piwnicy górnej są u mnie w komodzie. Lekarstwa magazynier nie odebrał, Cesia ma kwit, posłać dziś umyślnego, a...

Chciała mówić dłużej, ale zaniepokoił ją ruch na peronie.

— No, pamiętaj, Janku, pamiętaj! — zawołała, odchodząc szybko.

Chłopak słuchał jej pilnie i tępo. Gdy odeszła, pomyślał zupełnie to samo, co i pani Zawara: że nic z tego, co mu poleciła, spełnione nie będzie.

Westchnął, potem się uśmiechnął, ściągnął lejce i stępa odjechał.

ROZDZIAŁ XX

Krystyna w popielatym kostjumie szła Krakowskiem Przedmieściem, rozglądając się wesoło. Gdyby ją zobaczył w tej chwili ktoś z dawnych znajomych, byłby uderzony zmianą jej wyrazu twarzy: ubyło jej powagi. Czyli, że pani Korecka odmłodniała, co w jej wieku było wprost zastraszające.

Coś też w rodzaju strachu odbiło się w twarzy Michała Kobierskiego, gdy spotkał ją oko w oko chwilę później.

Krystyna ściągnęła brwi, a on zbladł.

— Witam pana, czy prosto może ze wsi? Widział pan mego ojca? Nie możemy się go doczekać, — mówiła zbyt szybko, zmieszana.

— Owszem, widziałem, — odparł powoli, nie spuszczając z niej oczu; — byłem w Teretczanach niedawno, z interesem.

— A ja tak dawno nie byłam! Cóż tam w Teretczanach?

— Pusto.

— A... a pan na długo w Warszawie?

— Jestem na parę dni tylko, właśnie myślałem, czy państwo już wrócili.

— O, myśmy dawno już wrócili.

Przy tych słowach twarz Krystyny pokrył rumieniec.

Michałowi skurcz przeszedł po nerwowej twarzy, a pani Korecka powiedziała niespodziewanie:

— Proszę nas odwiedzić, memu mężowi i mnie będzie bardzo miło.

A gdy zdziwiony Kobierski stał ukłoniwszy się, podała mu małą rękę, i odeszła niezadowolona z siebie.

— Poco ja go zaprosiłam? — robiła sobie wyrzuty. — Przecież on się kiedyś we mnie kochał.

„Kiedyś“ — to było zaledwie rok temu, ale dla Krystyny to było niezmiernie dawno.

A zaprosiła go, bo pragnęła ruchu i zmiany w domu. Andrzej był bardzo zajęty. Dwa miesiące, spędzone zagranicą, musiał nadrabiać podwójną pracą, zastał zaległości, a przytem był przecież z natury samotnikiem, — nie zmienił się nagle. Krystynie zagranica, krótki pobyt w hotelach zbytkownych, na dancingach, balach, w otoczeniu mężczyzn błyskotliwych, próżnujących i zmysłowych — zmienił nie charakter, lecz poglądy — z dość zacofanej panny wiejskiej stawała się współczesną kobietą. Wiedziała, co jej się należy, i o tem myślała przedewszystkiem, bez kaprysów, ale z upartą i chłodną, dojrzałą wolą.

Andrzej nie wiedział, co myślała o swej miłości, o życiu realnem, które zaskoczyło ją po okresie marzeń Teretczańskich, ale w każdym razie było dla niego jasnem, że dostosowała się do niego, że zamknęła w sobie z przedziwną łatwością to wszystko, co było w niej wybuchowe i niepotrzebne w ich domu, oraz we wspólnem życiu.

— Jaka ty się zrobiłaś realistka! — zauważył pewnego dnia, gdy spokojnie mówiła o życiu.

— Nie zawsze ma się tak dobrego nauczyciela jak ja, mój Andrzeju, — powiedziała ze śmiechem.

— To ja ciebie tego nauczyłem?

— Ty.

— I dobrze ci z tem?

Spoważniała na chwilę, jak za panieńskich czasów; oczy pociemniały, przyczem twarz wydawała się jeszcze jaśniejsza, wprost szczerozłota.

— Bardzo dobrze!

— Andrzej spojrzał na nią z pewnem zaciekawieniem.

Bał się młodości, entuzjazmu Krysi i jej wrażliwości. Miał przed sobą młodziutką w linji ale bardzo zrównoważoną kobietę. Nie mogło mu dać małżeństwo większej niespodzianki.

— Kiedy my będziemy składać wizyty?—zapytała Krystyna wróciwszy do domu po spotkaniu Kobierskiego.

— Dzień dobry, najpierw — odparł wesoło Andrzej — bośmy się dziś nie widzieli, wstałem wcześnie, a ty mocno spałaś.

— Tak — szepnęła Krystyna zmienionym głosem.

Objął ją i całował.

Krystyna ukryła twarz na jego ramieniu, ale słyszał bicie jej serca.

— Więc tak ci śpieszno do ludzi? — rzekł po chwili zdyszanym głosem.

— Odsunęła się od niego, poprawiła włosy przed lustrem, które odbiło jej złotą głowę i spokojnie, bokiem zwrócona powiedziała:

— Jesteś bardzo zajęty. Chciałabym mieć jakieś koło ludzi znajomych z któremi mogłabym rozerwać się trochę i bawić.

— O to bardzo łatwo. Tylko każde kółko dziś zmienia się szybciej niż ty się z niem zżyjesz.

— E, zmieniają się pary ale nie kółko — powiedziała lekko Krystyna — to mi nie przeszkadza.

Andrzej śmiał się.

— Co za moderne z ciebie kobieta się zrobiła.

— Zarazem czuł dumę męską związaną z jej przeobrażeniem...

— Ja zawsze taka byłam — powiedziała Krystyna odgadując jego myśli. — Zawsze. Nie łudź się.

— Andrzej przyglądał się jej. Powoli rumieniec pokrył twarz Krystyny.

— Jest gorąco — rzekła niedbale.

— Tak, bardzo ciepło — mówił uprzejmie — zaraz okno otworzę.

— Wiesz, zaprosiłem Kobierskiego, on ma dużo znajomych mogę się w ich kółku zabawić, tam będą napewno ludzie z naszych stron.

— A, bardzo dobrze — dziś go widziałaś?

— Dziś, na ulicy.

— To on się kiedyś w tobie kochał? Prawda?

— O, bardzo dawno. Kiedyś.

Cień uśmiechu przeszedł znów po twarzy Andrzeja, ale stał przy oknie, i Krystyna nie widziała tego.

— A jeśli się znów zakocha? Wyglądasz, piękniej niż kiedykolwiek... mówił żartobliwie.

— To—się odkocha, mój Andrzeju, zwykły los...

— Ja bym się nie potrafił odkochać w Tobie— mówił podchodząc blisko i biorąc jej ręce.

Krystyna wybuchnęła szczerym śmiechem.

— Ba, bo ty się zakochać we mnie nie potrafiłeć — to co innego.

— Andrzej śmiał się też i cały obiad rozmawiali — lekko, zalotnie i wesoło.

Nazajutrz byli goście. Doktór Konrad, Kobierski i pan Ostoja. Krystynie łatwiej było w tych pierwszych miesiącach po ślubie widywać mężczyzn niż kobiety. W oczach ich był podziw, nie zaś gwałtowna ciekawość. Robiła honory domu. Andrzej wodził za nią od czasu do czasu oczyma dużemi.

— Mówiono o Hannie. Krystyna pytała o jej adres, chciała ją koniecznie odwiedzić. Doktór Konrad składał ręce i milkł jak zawsze gdy dotykano tragedji małżeńskich. Był to temat po nad jego siły. Nigdy nie dodał ani słowa. Andrzej za to lubił roztrząsać zawiłości psychologiczne, bo będąc sam trzeźwym miał ostre wyczucie nerwów ludzkich. Bawiło go omawianie zatargów, rysował chętnie wobec słuchaczy profile dusz zarówno jak i sylwetki fizyczne różnych znajomych.

— To była największa dla mnie niespodzianka — mówiła Krystyna, żeby Hanna porzuciła męża!

— Większą niespodzianką jest dla mnie wygląd ich dziś — odrzekł pan Ostoja — on jest człowiek skończony, postarzał o lat dwadzieścia a ona — kwitnie. Ta spokojna pani Hanna!

Tak, to znaczy, że krzywda prawdziwa spotkała tylko jego — mówi Andrzej — ona awansowała.

— Co ty mówisz Andrzeju — zawołała Krystyna — ona musiała okropnie cierpieć, żeby się zdecydować na coś podobnego.

— Ja już sam nie wiem — rozmyślał głośno, pan Ostoja — jedenaście lat proszę państwa, to można pokochać nawet kajdany a cóż dopiero pana Sumińskiego. I kobieta pełna zasad, żyjąca tylko pracą. Dziwne...

— Mnie jego bardzo żal — rzekł Andrzej — porządny do gruntu człowiek, i kochał ją więcej niż ona na to zasługiwała. To się u nas zdarza dość często.

— A to już ich rachunki niezbadane — uśmiechnął się pan Ostoja, a Krystynę uderzyła dobroć tego uśmiechu, który ją od dzieciństwa nieraz pocieszał.

Zbliżyła się do niego. Zawsze jego siwe oczy rozszerzały się gdy podchodziła.

— Niech pan powie co też tatuś sobie myśli?— mówiła przyciszonym głosem — że do nas nie przyjeżdża? Czy... czy się o co gniewa?

Pan Ostoja patrzał na nią chwilę długą.

— Droga panno Krysiu... Co też ja mówię? — strzepnął rękoma. — Droga pani Krystyno...

Krysia mrugnęła kilkakrotnie.

— Ojciec jest zajęty, przytem brak mu pani bardzo w domu, nie chce wzruszać się znowu, a jak panią zobaczy, związaną z miastem nazawsze, to będzie mu ciężko.

— Mógłby się cieszyć, że mi dobrze, — szepnęła, patrząc w przestrzeń.

— Tego nie można wymagać od ojca. Jest bardzo samotny.

— Ah, Boże! — z pewnem zniecierpliwieniem odpowiedziała. — Chciał, żebym miała własne życie. Tyle razy mi to mówił.

— Mogło się to zdarzyć o miedzę, — odrzekł z humorem pan Ostoja, i oboje spojrzeli mimowoli na Michała Kobierskiego, który po rozmowie z doktorem Konradem wstał, by się pożegnać. Odszedł pierwszy. Znać było, że go wizyta dużo kosztowała.

Przedtem jeszcze usłyszał od Krystyny, ku zdziwieniu wszystkich:

— Proszę o nas pamiętać: starzy znajomi bardzo mi są mili. Mój mąż jest często zajęty, a ja chcę mieć swoje kółko, tak jak w Teretczanach.

— Ale teraz jest kółko z krzyżykiem. Nie będą tak tańczyć wokoło pani... Koniec, — powiedział doktór Konrad z udaną powagą.

Krystyna zaśmiała się głośno i błysnęły jej zęby dziecinne, okrągłe.

Pan Ostoja przymknął oczy, jak kiedyś w Teretczanach, a Andrzej patrzał na nią z nagłym połyskiem w szafirowych oczach.

ROZDZIAŁ XXII.

Krystyna rozmawiała z Hanną. Zastała ją w wesołem mieszkaniu, urządzonem tak ładnie, jak nigdy nie było u Sumińskich.

— Nie masz pojęcia, — mówiła z przejęciem Krystyna, — jak dużo o tobie myślałam cały ten czas.

— Wierzę. Byłaś zawsze dla mnie bardzo miła, — odpowiedziała spokojnie Hanna, — ale powiedz, jak jest tobie? To daleko ciekawsze. By-

łam długo pod wrażeniem niespodzianki, że wyszłaś zamąż za pana Koreckiego.

— Tak, nikt się tego nie spodziewał.

— I dobrze ci?

Krystyna roześmiała się.

— Spójrz na mnie. Mówią, że odmłodniałam i zeszczuplałam. Czyż nie jest to szczyt marzeń dzisiejszej kobiety?

Powiedziała to lekko, widząc Hannę zupełnie inną, niż się spodziewała.

Patrzała zbliska na twarz przyjaciółki, szukając śladów bólu czy rozterki. Ale widziała twarz jasną, wygładzoną, pierwszy raz prawie ładną. W pokoju były kwiaty i listy na biurku. Hanna ruszała się żywo, patrząc często machinalnie w okno.

— Jest! — zawołała nagle — i uśmiechnęła się.

Po chwili do pokoju wszedł mężczyzna szczupły w wieku lat trzydziestu. Mówił od progu:

— Myślałem, że nie dojdę. Ciągnął mnie Ładosz do siebie, gdzie ma wystąpić gwiazda kabaretowa z Wiednia, jakoby pyszna, ale odmówiłem. Cóż ty na to?

— Jesteś wielki.

— Nie, tylko wysoki, a ona podobno jest bardzo mała.

Tu zauważył Krystynę, i złożył jej przesadnie niski ukłon.

Hanna z szerokim uśmiechem przedstawiała:

— Pozwól, pan Wirski. Mój kuzyn.

— Ah, państwo są krewni? — rzekła oszołomiona Krystyna.

— Łączy nas pokrewieństwo duchowe, — wyrzekł uroczyście przybyły, i oboje wybuchnęli śmiechem.

— Jedyne niezawodne, — odpowiedziała Krystyna, dziwiąc się, skąd wpadła tak prędko w ich ton.

— No, przepraszam, mąż... a...

— Ah, mąż to wróg, — przerwał — o nim się w porządnem towarzystwie nie mówi. Czy pani, przypadkiem, jest zamężna?

— Rzeczywiście, przypadkiem, — zawołała Krystyna zupełnie swobodnie.

— To co innego, — Wirski podniósł brwi, — to jest wypadek przykry. Należy się nad nim zastanowić. Fakt jednak, przypuszczam, nie uległ przedawnieniu?... Są jakieś szanse?

— Słabe, sama urodziłam się o 50 lat zapóźno, nie umiem dziś żyć, — skarżyła się, czując, że ten człowiek ma dar jakiś szczególny, niezależny od swego humoru.

— Ah, takie określenie słyszeliśmy często, my, zawodowi, i nie ma ono najmniejszego znaczenia. Hanna naprzykład.

Hanna nie spuszczała z niego oczu.

— Co ona potrafiła mówić! Jak płakać w okropnej nudzie nad sobą, ale wszystko to jest konwenans, uwiąd konwenansowy. Po zrzuceniu go, kobieta staje się jak noworodek wobec radości życia. To są rzeczy bardzo ciekawe, mające znaczenie naukowe i...

— Daj spokój, — przerwała Hanna, — bo Krystyna od nas ucieknie. Ona mnie znała inną.

Wirskiemu mignęło coś w oczach i rzekł prawie z gniewem, choć twarz jego była jeszcze roześmiana:

— Czy widziała ją pani kiedy wesoła. żywą? Czy śmiała się tak, jak przed chwilą? Proszę powiedzieć prawdę.

Krystyna uczuła pewien niepokój, bo zamajaczyła jej twarz Sumińskiego, skamieniała ze zgrozy.

— Słucham, czekam, — nalegał Wirski natarczywie, — nie znoszę fałszu. Która Hanna była prawdziwa, ta dzisiaj, — tu objął niedbale jej głowę swą dużą ręką, — czy ta śpiąca w ogrodzie sąsiadka? Ha, ha, ha!

Krystyna już zgubiła ton. Odpowiedziała też poważniej niż chciała, i trochę złośliwie:

— Ani jedna ani druga. Jest młoda, ma jeszcze czas!

Hanna klasnęła w ręce ubawiona, a Wirski, spojrzawszy w głąb oczu Krystyny, odparł natychmiast:

— Myli się pani. Ona też nie ma czasu. Jej godzina wybiła, jest sobą. Ale zato pani jest młoda, ma jeszcze czas...

W głosie jego i spojrzeniu było coś takiego, że Krystyna uczuła się nagle dotkliwie pobita i przykro podniecona.

— Co za człowiek! — pomyślała. — Co za nieznośny człowiek!

A on, spojrzawszy ukradkiem na jej twarz zmienioną, mówił do Hanny:

— Rzadko z kim tak prędko i dobrześmy się poznali, jak z twoją przyjaciółką. Powinna przystać do naszej paczki; jak myślisz, czy zechce?

— Mam nadzieję. Jeśli będziesz ją w dalszym ciągu tak drażnił, nie straci ciebie z oczu, choćby na to, żeby się zemścić. Ma charakter.

— I wtedy zrodzi się miłość, — wymówił wolno, pieszczotliwie, przyjaciel Hanny, a Krystyna wstała, by się pożegnać.

Z uśmiechem powiedziała:

— Dowidzenia Haniu; cieszę się, że ci wesoło i ja sama się zabawiłam u ciebie, bo pan Wirski ma humor i można mu za to być wdzięcznym.

— A pani — za tę twarz — odparł Wirski.

— No, no, — przerwała Hanna napół żartobliwie.

— Uciekam, niema mnie, — zawołała Krystyna i, rozbawiona, uciekła zaraz, od drzwi skinąwszy im głową przyjaźnie i żywo.

Na ulicy ochłonęła i odrazu pomyślała coś, co w obecności tej nowej pary nie przyszło jej na myśl, a mianowicie, że z dawnej Hanny nie pozo-

stało śladu i że pan Sumiński cierpi, a żona jego wygląda na kobietę szczęśliwą.

Nie uczuła żadnego niepokoju wobec stwierdzonego faktu.

ROZDZIAŁ XXIII.

W kinie jest ciemno. To jest jedyny urok tej pogoni za życiem obrazkowem z ekranu.

Biją wśród tłumu w ciemności przyspieszone tętna z tęsknoty, zawiści i z marzeń, bardziej trujących od cykuty.

Bije też ciężka zmysłowość biernego podglądania pozorów bytu i rzeczywistości ciała.

Gwiazda, która porzuciła już trzech mężów, wdzięczy się uśmiechem, sprzedanym za dolary, do czwartego, nieznanego... Mężczyzn przebiega dreszcz na tę myśl. Kobiety widzą możliwości nieskończone — cudze. Każdy się czemś pociesza, choć niczego dla siebie nie dostanie. Każde ukryte pragnienie, tajona tęsknota, jest tu uderzona obuchem, puszczona w ruch, jak kukła, i — niczem nie ukojona. To jest kino, smutna zabawka.

Krystyna, po obiedzie u ciotki Ofelji, zajmowała z nią, Łanieckiemi i Michałem Kobierskim, lożę na przedstawieniu popołudniowem.

Była dobrze usposobiona. Andrzej był bardzo zajęty, ona zaś bawiła się całemi dniami.

Ciotka, na którą dawniej narzekała, była nieocenionym teraz towarzyszem. Gdy spadła z niej odpowiedzialność za pupilkę, to oddawała się z przyjemnością obserwowaniu Michała Kobierskiego i rojeniu na temat flirtu, który powinien już się zawiązać:

— Młodej kobiecie, — mówiła wesoło do Krystyny po obiedzie tego dnia, — w dzisiejszych czasach bardzo dobrze robi, jak o niej mówią głośno, że ma adoratora i mąż czasem to lubi.

— Ale co też ciocia mówi!

— Mówię, widzę. Naprzykład Łaniecka: śliczna kobietka, a nie przedstawia towarzysko żadnej wartości; nikt się o nią nie ubiega właśnie dlatego.

A widząc szare oczy Krystyny, wpatrzone w siebie, dodała z pewną dumą:

— A co ty myślisz, że ciągle ma być to samo, że świat nie postępuje? Czy to romansów dawniej nie było? Zdrad, kochanków? Ale była obrzydliwa pokątność, hypokryzja, a teraz jest wszystko załatwiane spokojnie, elegancko, tak, jak salon tego wymaga.

— Jaki salon, ciociu?

— Jaki salon? Salon, to znaczy piękna kobieta zawsze i wszędzie! Mogły być za wykwintnych Ludwików metresy en titre, mogą być teraz kochankowie urzędowi, i to jest ładne towarzysko, interesujące, tego niema co się wstydzić.

Szczupła, zwinna postać ciotki, lśniąca od biżuterji, ożywiła się przy tych słowach.

— A... religja? — zapytała prawie bezmyślnie Krystyna.

— Moja Krysiu! To już kłopot księży w konfesjonale, nie nasz. My rozmawiamy teraz z punktu widzenia światowego, a nie jako misjonarze. Już ja jestem dobra katoliczka, to każdy przyzna, ale jest naiwnością w dzisiejszych, skomplikowanych warunkach, wszystko sprowadzać do jednego. Ja ci tylko mówię, że tak jak bezpośrednio po wojnie, był zanik zupełny życia towarzyskiego i salonu, tak teraz on się odradza, i to tylko dzięki intrygom miłosnym i flirtom.

— I ciocia chce dlatego ze mnie zrobić salonową damę?

— Pewno. Całe życie starałam się na twego ojca wpłynąć, żeby trochę lżej brał życie, i nie udało mi się; może ciebie uda mi się sprowadzić...

— Na złą drogę?...

Obie się roześmiały.

- Zaprosiłam dziś z Łanieckimi i Kobierskiego. Pójdzie z nami do kina, w mroku będzie się tobie przypatrywać odważnie...

— Oj, ciociu! Z Kobierskim nie można żartować; on też jest z tych, co wszystko biorą ciężko.

— Jak z kamienia, — westchnęła ciotka. — To już właściwość waszych stron. Mój biedny mąż miał tę samą wadę.

— Stryj był podobny do tatusia?

- No, ja nie byłam podobna do twojej matki, więc to wszystko jakoś inaczej wyglądało, — rzekła z nieokreśloną intencją ciotka. — Ale pewne wspólne cechy Załęskich, raczej duchowe niż fizyczne, były. Kochali się zresztą bardzo, tylko mnie się Teretczany nigdy nie podobały.

— Dlaczego? — powiedziała przeciągłym tonem Krystyna.

— Czy ja wiem? Pamiętam, że wchodząc pierwszy raz jeszcze jako narzeczona do domu, potknęłam się o ten niski próg i omało nie upadłam. Zaraz sobie pomyślałam, że tu jest pech i odtąd nigdy nie było mi tam swobodnie. Tam się gdzieś czaiło nieszczęście, aż wybuchnęło i... Ale nie mówmy o tem. Dawne dzieje, a ty jesteś młodziutka i ładna. Wiesz, Krysiu, jesteś bardzo ładna, nigdym się tego nie spodziewała po tobie. Urządzę kiedy większy obiad i ty będziesz w balowej sukni, g r a n d e t e n u e, wszyscy zachwycą się tobą. Tylko jeszcze w oczach za wielka powaga, to jedno cię szpeci, oczy muszą błyszczeć dowcipem, humorem, ah! niema nic piękniejszego od oczu kobiet zalotnych!

— Ależ ja mam męża poważnego!

— No, wyszłaś za mąż nieszczególnie, choć pan Korecki jest znakomitym człowiekiem.

Krystyna była tak rozbawiona, że nawet nie czuła się dotknięta.

— Wyszłam doskonale zamąż, — rzekła z usmiechem. — I jestem dumna z mego męża.

— Ha, ha! Z taką dumą kobiety często schną z samotności.

Krystyna uczuła lekki niepokój i powiedziała:

— Ja ciocię bardzo proszę, żeby pana Kobierskiego ze mną nie zapraszała. On się dość poważnie we mnie kochał i... nie chciałabym go za często widywać.

W tej chwili do salonu wchodził Kobierski.

Krystyna się zaczerwieniła, a pani Ofelia, ubawiona, witała go serdeczniej, niż zwykle.

— Idziemy całą gromadą do kina; pójdzie pan z nami?

— Z największą przyjemnością, — odpowiedział. witając się, a potem utkwił wzrok w Krystynie.

Po chwili nadeszli Łanieccy, których Krystyna nie widziała dawno. Mieszkali teraz na stałe w Warszawie i chwilowo spokój panował między nimi.

W kinie było ciasno, i Michał czuł obecność Krystyny tak, jakby obejmował ją ramionami. Dech mu zapierało w piersiach.

— Cudowna aktorka, — mówił Łaniecki, gdy zabłysło światło w przerwie. — Co za postać!

— Nie ma żadnego wdzięku kobiecego, — zauważył Kobierski.

— Co pan mówi! To pan się chyba kocha, — oświadczyła ciotka Ofelja.

Krystyna poruszyła się, ale ciotka mówiła dalej:

— Patrzcie, wchodzi Afson z panią Okęcką. Urzędowo...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Ciotka Ofelia przybliżyła do oczu ozdobną lornetkę i długo przyglądała się parze. Badała.

— Podobno ona go szalenie kosztuje, ale warta tego.

Alson musiał odczuć wzrok damy, bo w tej chwili wstał i ukłonił się okazale.

— A Okęcki? — zapytała odważnie Krystyna.

— Zadowolony. Oni byli już w fatalnem położeniu, a zawsze to dobra rodzina, i potrzebują pieniędzy...

Ciotka powiedziała to z taką naturalnością, że Łaniecki śmiał się do łez.

— Jaka pani jest miła! — zawołał, chwyciwszy ją za rękę i całując w liczne pierścienie. — Jaka współczesna! Ja się poprostu panią zachwycam!

— Daj spokój, — odpowiedziała pani Załęska, która gdy była w dobrym humorze, to wszystkich przystojnych mężczyzn nazywała po imieniu. — Marynia będzie zazdrosna, a ja mam do niej słabość.

Pani Łaniecka spojrzała z uśmiechem na męża.

Kobierski mówił do Krystyny przyciszonym głosem:

— Pani Zawara dopytywała o panią. Ona panią niezmiernie kocha.

— Wychowała mnie prawie. W tych dniach się jej nareszcie spodziewam. Pan będzie długo w Warszawie? — zapytała bezwiednie.

— Chciałbym... — urwał. — Chciałbym być tu zawsze.

— Nie wytrzymałby pan, — powiedziała lekko, patrząc na jego spaloną od wiatrów twarz.— Pan kocha wieś.

— Wytrzymałbym, — odrzekł, spojrzawszy jej mocno w oczy.

Marynia Łaniecka odezwała się:

— Dawno widziałaś Hannę?

— O, widuję ją dość często; tylko nie mogę odżałować, że się tak o nią martwiłam całemi miesiącami. Jest wesoła jak nigdy.

— Niesłychane! — szepnęła do siebie Marynia. — Niesłychane.

— Co ty mówisz? — wtrąciła pani Ofelia. —

Cóż w tem dziwnego? Miała tak nudnego męża, jak tylko na wsi i to szczególnie w waszych stronach się trafia. A teraz asystuje jej bardzo interesujący mężczyzna, trochę cygan, ale kawałek artysty. To zawsze co innego, niż pan Sumiński.

— Asystuje!... — przekomarzająco rzekł Kobieński.

Krystyna spojrzała na niego wesoło.

— Asystuje, czy co innego, to wszystko jedno. Nie kręci się w kółko w domowym deptaku, nie słyszy głosu nałogowego sprzeki, żyje, jest jej dobrze, — oświadczyła ciotka Ofelia.

— To rozumiem, — zawołał Łaniecki. — Maryniu, słyszysz?

— Słyszę, — odpowiedziała łagodnym głosem. — Słyszeć — to jeszcze nic nie szkodzi, — dodała ciszej. — Dopiero widzieć jest gorzej...

Krystyna, która wiedziała, jak lekkomyślnym mężem jest piękny pan Henryk, chciała zaraz zwrócić rozmowę na inne tory, ale właśnie przerwa się skończyła i w mroku, siedząc ciasno przy sobie, wszyscy spojrzeli znów na ekran.

Pachniały wyborne perfumy obu młodych pań, oraz tytoń angielski, bo Łaniecki palił tylko fajkę i był przesiąknięty tym zapachem. Towarzystwu było błogo, magnetyczne podniecenie szło z jednych na drugich, a mrok i wymowniejsze od słów widma na szarym ekranie zdawały się usprawiedliwiać znacznie więcej pożądań i wyobrażeń, niżby ich usprawiedliwiał biały, surowy dzień.

ROZDZIAŁ XXIV.

Był styczeń. Dni rosły i Krystyna widziała się coraz dokładniej w lustrach swego mieszkania.

Raz zastał ją Andrzej na takiem przyglądaniu się sobie, i zawołał ze śmiechem:

— Podobasz się sobie, Tinka, prawda?

I objął ją obu rękami.

— Nie.. Wcale nie.

— Tylko co robisz?

— Tylko badam...

— Nie możesz siebie zrozumieć w tej nowej roli, prawda? I myślisz, że lustro ci co dopowie? — mówił żartobliwie, ale pierwszy raz od ślubu rozmawiał z nią o niej, więc zaskoczona odpowiedziała:

— Może masz rację.

— Widzisz. Ja ciebie znam, Tinka moja mała.

Uśmiechnęła się trochę drwiąco.

— Nikt mnie nie zna.

— Ale mąż powinien znać charakter swojej żony, jak myślisz?

— Poco? — i utkwiła w nim z dziwnym wyrazem szare oczy.

— Poco? hm, — zaśmiał się, — poco? Warto-by się nad tem zastanowić.

— Teraz ja ciebie zaskoczyłam. — Krystyna klasnęła w ręce.

Andrzej, patrząc na nią, miał światło w oczach.

— Rzeczywiście, że dokładniejsza znajomość człowieka rzadko jest drogą do szczęścia.

— Właśnie, — powiedziała Krystyna z powagą.

Potem spojrzeli na siebie, i oboje roześmieli się głośno.

— No, ale żona...

— Żona jest przynajmniej takim samym człowiekiem, jak każdy inny.

— Eee, człowiekiem...

— Co, co? — Krystyna otworzyła szeroko oczy.

Jest kobietą, kobietą. To jest daleko ciekawsze!

Krystyna już czuła w sobie głuche rozdrażnienie, które ją ogarniało od jakiegoś czasu, ilekroć Andrzej rozmawiał z nią w ten sposób.

— Wiesz, — powiedziała nagle, — muszę po-

jechać odwiedzić tatusia. Przecież to jest nienaturalne, że dotąd nie był u nas, tylko raz na parę godzin w październiku. Trzeba się dowiedzieć, co się dzieje.

— Odjedziesz odemnie? — rzekł głosem pełnym niespodziewanej pieszczoty, — zostawisz mnie samego?...

— Jesteś taki zajęty, czas ci zejdzie prędko, wrócę, — mówiła lekko.

Andrzej popatrzył na Krystynę, a potem zbliżył się i położył sobie na szerokiej piersi jej głowę i przytrzymał ręką. Słyszała, jak mu bije serce.

— Pierwszy raz się rozstaniemy od ślubu. Wracaj prędko!

— Myślę wyjechać jutro popołudniu. Środa. W niedzielę wrócę.

— Dobrze. A dziś chodźmy do teatru. Dawno chciałem być na tej sztuce.

Wieczorem widzieli ich znajomi, których było dużo w teatrze, na gościnnym występie znakomitej aktorki.

Mieli lożę, a widząc ciotkę Ofelię w pierwszym rzędzie, zaprosili ją zaraz do siebie.

— Dobrze, żeście się trafili, — mówiła, sadowiąc się wygodnie, — nie znoszę krzeseł, a lóż już nie było.

Loża była parterowa i przechodzący mężczyźni oglądali się za Krystyną.

— Jest prześliczna, — mówił z powagą znawcy pan Tyniecki,—odmłodniała po ślubie, a przecież to jeszcze dziecko.

— Ale zamłoda dla niego, — odpowiedział kuzyn, z którym siedział w krzesłach, — przepowiadam, że to się źle skończy.

— Korecki jeszcze młodo wygląda i podoba się kobietom.

— Tak, na swoje lata. Ale przy niej — spójrz. Krystyna w żółtej sukni i lekkim czarnym ka-

peluszu zwracała się często w głąb loży, do Andrzeja.

W pewnej chwili powiedziała mu coś, a on wziął jej rękę i pocałował w dłoń, odwróciwszy ją swobodnie.

Tyniecki przymknął oczy. Wspomniał córkę w klasztorze i pomyślał:

— Masz szczęście człowieku. Ale ja się jeszcze z tobą zmierzę w „Motorze“ i dalibóg — pobiję. Pójdziesz precz — zobaczysz.

Andrzej widział, jak mu się Tyniecki przyglądał od dłuższego czasu, wreszcie ukłonił mu się dość niedbale. Tyniecki uśmiechnął się, wstał, ale czekał chwilę, aż go zobaczy Krystyna i dopiero wówczas ukłonił się jej głęboko.

— Ciociu, jadę do Teretczan i może ciocia ma jakie polecenie do tatusia?

— Jedziesz sama?

I spojrzała z ciekawością na Koreckiego.

— Sama, na kilka dni, stęskniłam się do tatusia.

— A pan nie może jechać? — pytała, dopatrując się czegoś dziwnego, ciotka Ofelia.

— Jestem w tym tygodniu bardzo zajęty. Ale to rozstanie nie jest groźne, proszę mi wierzyć,— dodał wesoło, widząc jej zainteresowanie.

— Szkoda, — mruknęła do siebie, a głośno dodała filozoficznie:

— Zawsze rozstanie jest rzeczą poważną.

Krystyna śmiała się, znając myśli ciotki, a Andrzej odpowiedział:

— Daleko poważniejszy jest pobyt wspólny...

Każde z nich co innego miało w tej chwili na myśli, ale wybuchnęli śmiechem swawolnym.

— Może pan, będąc chwilowo opuszczony przez żonę, zechce sobie o moim domu przypomnieć. Będzie mi bardzo miło, proszę w czwartek, na obiad, dobrze?

— Niestety, na obiad nie obiecuję. Jestem związany z biurem całemi dniami. Mamy komi-

się rewizyjną i przyjazd gości zagranicznych. Ale wpadnę napewno. Dziękuję.

Krystyna słuchała, ubawiona, tonu rozmowy, bo wiedziała, że ciotka z Andrzejem, od pierwszego dnia poznania się nie lubią.

Nazajurz Krystyna wyjeżdżała. Żegnała się z mężem rano, bo na wszesny obiad nie mógł wrócić.

— W niedzielę w południe czekam, — powiedział i pocałował ją w usta, gdy leżała jeszcze.

— Postaram się.

Wyszedł śpiesznie, ale zapomniał czegoś i wróciwszy, jeszcze raz powtórzył:

— W niedzielę czekam.

Gdy Krystyna już siedziała w wagonie i pociąg miał odchodzić, zobaczyła prędko idącego Andrzeja, który się rozglądał, szukając jej. Miał trzy róże w ręku.

— Andrzeju, tu! — zawołała.

— To dobrze, — powiedział, i podał jej przez okno kwiaty, gdy pociąg już ruszał.

Nie wyglądała długo za nim, bo czuła, że tego nie lubił.

Ale skinęła mu jeszcze głową i powiedziała:

— Dziękuję. Do niedzieli.

Krystyna oparła głowę o poduszki i przymrużonemi oczyma patrzała przez okno.

— Będą mieli niespodziankę, — pomyślała, i uczuła głęboką radość.

Jazda koleją trzy godziny wydała jej się krótka. Myśli snuły się łatwe, podniecone, i róże od Andrzeja, choć więdły, miały swoją ciągłą wymowę.

Z miasteczka, gdzie zwykle czekały konie, wynajęła sanki i, szybko, miękko, bo był duży śnieg, dążyła do rodzinnego domu.

Była piąta po południu, gdy przez oszklone drzwi werandy, przycisnąwszy do szyby twarz roześmianą, — pokazała się domownikom, zasiadającym do podwieczorku.

Pierwsza zerwała się pani Zawara.

— Wszelki duch! — zawołała, — ale już służący otworzył drzwi, i Krystyna wpadła w ramiona ojca.

— Krysia, — pisnął Ludwiś. — Czemżeż ona przyjechała?

I wybiegł na dwór, tak jak stał, by zbadać jedno z najciekawszych w jego wieku zagadnień, dotyczące środków lokomocji.

Ludwik Załęski był wzruszony. Pan Sumiński, który przyjeżdżał często do sąsiada, pożerany chorobą samotności, — stał z boku, z uśmiechem patrząc na to powitanie.

— Krysia, Krysia! Jaka ładna, — mówiła pani Zawara.

— Nie mogłam sie was doczekać i przyjechałam. Tatusiu, czyś się zupełnie nas wyrzekł?

Mówili wszyscy naraz, śmieli się, a w pokoju pachniała kawa, zapachem, stworzonym do domowego ogniska, chleb i laki, świeżo przyniesione z oranżerji, o płatkach z aksamitu.

Krystyna, pijąc kawę i jedząc słodką bułkę, mówiła:

— Andrzej chciał przyjechać ze mną, ale nie mógł. Ma masę roboty. Był na stacji, kłania się serdecznie wszystkim.

— A, był na stacji? — zapytał ojciec.

— Naturalnie. I dał mi te róże. Ludwiś, włóż je do wody, bo zwiędną. Ale co się z wami dzieje? Czemu nie przyjeżdżacie? Jakże mi miło, że pana widzę — zwróciła się do Sumińskiego.

— Ja tu często przyjeżdżam. Niech Pan Bóg da zdrowie pani ojcu, tak mi z nim dobrze.

— Jak pana zdrowie? Podobno pan chorował?

— Et, nic takiego. Trochę chorowałem. Teraz mi zupełnie dobrze.

Ale Krystyna widziała twarz bez krwi, pełną zmarszczek, takich, które powstają w każdym wieku po bezsennych nocach.

Krystyna wyjeżdżała z Teretczan wieczornym pociągiem w sobotę. Dała znać Andrzejowi, że wraca o tej porze.

Na jednej z następnych stacyj zobaczyła przez okno starszego pana, który szedł wolno, zamyślony.

— Odjazd! — usłyszała głos konduktora, i widząc, że pan ów jest tuż przed jej przedziałem, zawołała, otwierając drzwi:

— Proszę. Jeśli pan jedzie...

On ocknął się i wskoczył.

— Jaka pani dobra, dziękuję. Byłbym się zagapił i został, a śpieszę.

Spojrzał ne nią przytomnie, pięknemi oczyma, które były pełne jakiejś niewymownej boleści.

„Takich oczu jeszcze nie widziałam“ — pomyślała Krystyna.

— Jaka pani dobra! — powtórzył.

— Tak pan to mówi, jakby to był Bóg wie jaki uczynek! — uśmiechnęła się uprzejmie Krystyna.

Z powagą skinął głową.

— Właśnie. Bo dobroć jest bardzo dziwnem zjawiskiem.

— Dlaczego? — zapytała zaciekawiona i roześmiana.

— Ba, żebym ja wiedział dlaczego, tobym był szczęśliwy. Miałbym sens świata otwarty, a nie mam go, — rzekł bez uśmiechu.

Krystyna zachciała usłyszeć od tego obcego człowieka coś więcej. Chciała, by mówił, i żeby mogła go zrozumieć.

— Czy dlatego dobroć jest dziwna, że rzadko się z nią spotykamy? — wyrecytowała po pensjonarsku.

Rozłożył obie ręce — delikatne i suche. Chwilę milczał.

— Nie, nie dlatego. Ja osobiście w życiu zetknąłem się i stykam ciągle... obcuję z najgłębszą dobrocią.

— Pan jest żonaty?

Popatrzył na nią i z wielką powagą powiedział:

— Mam żonę, tak.

— Więc co pan miał na myśli? — pytała niespokojna Krystyna, sama dziwiąc się sobie.

— Zaciekawiło to panią?

— Tak, przyznaję. Bardzo.

Skupił się. Złożył ręce i zacisnął je.

— Postaram się to pani wytłumaczyć. Hm... Dobroć jest dziwna, bo jest nienaturalna. Jest przeciwna naturze ludzkiej, a jednocześnie bez niej żyć nie można. Jakże to pogodzić, co? Są ludzie, którzy jej tak potrzebują, jak powietrza, niemniej jednak zatruwają się nią coraz głębiej.

— Niedołęstwo jest formą dobroci, tchórzostwo, rycerskość i wiele innych cech. Natomiast miłość rzadko bywa dobra... Bo miłość jest wrodzona naturze ludzkiej, nie da się wypaczyć, natura stoi na jej straży. A dobroć, jak mówię, jest przeciwna naturze ludzkiej, choć nie przeczę, że stanowi przedmiot wielkich tęsknot człowieka. Z dobroci się kłamie, z dobroci się brnie w płytkie życie, z dobroci matki wychowują synów na niedołęgów. Dobroć... — zamyślił się chwilę. — Dobroć jest swego rodzaju nałogiem, niema ona miejsca w istotnym biegu życia i świata. Co ona ma wspólnego z odkryciami, z telewizją, z postępem, z mistycyzmem?

Krystynie nagle przypomniały się nakazy św. Franciszka, bezwzględne, jak śmierć, opuszczenia ojca i matki dla prawdy. I serce jej mocniej zabiło.

— Z mistycyzmem, powiadam. — Rozumie pani? Z drogą do Boga, co? To już są same głębie... trudno o tem mówić...

— Jakie to smutne, — szepnęła Krystyna, patrząc na niego.

Znów z powagą odpowiedział:

— Tak. To jest smutne. Niezawodnie.

Jakiś czas milczał. Krystyna czekała.

— Z dobroci czasem opuszcza kobieta męża dla kogo innego, z miłosierdzia rozbija dom, nie z miłości. Ile najstraszniejszych jałowych cierpień powstaje pod wpływem dobroci! Szczególniej u kobiet. Kobieta w gruncie rzeczy niczego tak nie wielbi, jak dobroci, jest marzycielką, wierzy więc w te złudy. I pada nieustannie ofiarą. To ciekawe, — ożywił się.

— Pan żartuje!

— Nie, nie. Ja wiele nad tem myślałem i nie umiem żartować wogóle. Mówię zawsze poważnie.

— A pan wygląda na tak dobrego człowieka!— wyrwało się mimowoli Krystynie, ze skargą w głosie.

— Kto wie. Może dotknęła pani wielkiej bolączki, — rzekł pierwszy raz miękko. — Człowiek dobry wychodzi z siebie, działa od wypadku do wypadku, wynaturza się, nie idzie po drodze swoich przeznaczeń. Nie walczy, a tylko walka ma sens, ma tragiczne w sobie piękno! Aleśmy się z panią rozgadali!

— Było mi ogromnie miło. Chciałabym...

W tej chwili pociąg wjeżdżał na dworzec warszawski. Krystyna na myśl, że zaraz zobaczy Andrzeja, zapomniała o wszystkiem. Wychyliła się, dojrzała jego wyniosłą postać i, uśmiechnąwszy się do męża, zaczęła zbierać się do wyjścia.

Towarzysz podróży znów się zadumał. Podała mu rękę, choć jej się nie przedstawił, i rzekła szybko:

— Dziękuję. Chciałabym bardzo kiedy z panem dłużej porozmawiać.

On się ocknął i stanął przy okienku, skłoniwszy się jej głęboko. Cień uśmiechu przeszedł przez wąskie usta. Oczy miał lekko zmrużone— jak od nadmiaru światła, lub od nadmiaru wspomnień.

— I mnie było miło, pani tak ładnie słucha, — rzekł jeszcze, gdy odchodziła.

Korecki zbliżył się do Krystyny i witał ją powściągliwie, ale miał wesołe spojrzenie.

Krystyna podniosła ku niemu twarz i patrzała w oczy długo. Ręce zostawiła w jego rękach.

Nagle przypomniała sobie niezwykłego człowieka, obróciła głowę ku oknu, gdzie stał nieznajomy.

— Dowidzenia! — zawołała żywo. — Dowidzenia!

A gdy Korecki poszedł za jej wzrokiem, zdrętwiał.

W oknie stał, znany mu dobrze z dawnych czasów, przyjaciel pani Ludwikowej Załęskiej.

Korecki, blady, pociągnął żonę w inną stronę i chwilę nie mógł przemówić. Szedł szybko i prawie ciągnął ją za sobą.

Ona, wzruszona powitaniem, nie zauważyła, co się z nim dzieje.

— Nie masz pojęcia, — odezwała się wreszcie, — jak dziwnego miałam towarzysza podróży. Pełen uroku, stary człowiek.

Chciała się uśmiechnąć, ale widząc jego twarz, tchu zabrakło jej w piersiach.

— Andrzeju, co ci? — zawołała z przerażeniem.

— Cicho. Chodźmy. Czy ty oszalałaś, żeby się zadawać z tym człowiekiem? — rzekł cicho, ale wyraźnie, Andrzej.

— Andrzeju, co ci? — powtórzyła. — Na Boga, co się stało?

— Stało się, że flirtujesz z kochankiem własnej matki, — rzucił szybko, i zaraz pożałował słów, bo brzmiały gorzej, niż myśl sama, którą chciał wyrazić.

Krystyna zbladła tak, że się o nią przestraszył. Przystanęła, i patrząc szeroko otwartemi oczyma wprost na męża, szepnęła:

— Ja... flirtuję?... — Ale zaraz zamilkła. „Kochanek matki, jak jemu to przez usta przeszło“—

pomyślała, czując, że gubi wątek myśli, że jest zraniona niespodziewanie, i ostro.

Bez słowa dała się zaprowadzić do samochodu; widziała, jak gniew Andrzeja minął zaraz po brutalnej wymówce. Ale nie mogła mówić. Brakło jej słów. Czuła to, co już nieraz odczuwała w najgorsze dni: że jest sama, że nie ma możności porozumienia się.

Człowiek obcy, miły, stał się nagle wstrętnym, choć słowa jego, pełne jakiejś bolesnej, udzielającej się mądrości, oznajmiły jej coś nieznanego.

A człowiek najdroższy, jaskrawe szczęście jej oczu i duszy, stał się tak daleki, niezrozumiały, obcy!

Zasypiała późno, z chaosem wrażeń w zmęczonej głowie. Andrzej zajrzał cicho dwa razy do sypialnego pokoju, ale że nie spotkał jej wzroku, więc wrócił do gabinetu i długo w nocy czytał.

Gdy usłyszała wreszcie przez niespokojny sen, że Andrzej wchodzi, zatrzęsła nią rozpacz o nieznany los matki.

— A miłość, miłość! Czy ten człowiek matkę kocha? Czy jest dla niej dobry? Co on chciał powiedzieć? Nigdy się nie dowiem.

Wreszcie zasnęła.

Andrzej słyszał całą noc, jak przez sen jęczała z cicha.

I ogarniała go rzewność.

ROZDZIAŁ XXV

Nazajutrz Krystyna wyglądała źle. Andrzej czuł pewne zażenowanie z powodu sceny na stacji, a jednocześnie nie mógł jej przepraszać, ani poruszyć w rozmowie fatalnego tematu. Cierpienie, jakie widział na twarzy Krystyny, było dla niego niespodzianką. Jednocześnie podziwiał, jak się opanowuje; nie powiedziała mu nic przykre-

go, tylko była poważna i rozmawiała z nim mało.

Usłyszał, że się tego dnia gniewała na służącego, czego nigdy nie bywało dotąd.

Tak minęło kilka dni, w ciągu których Korecki widywał żonę rzadko, wieczorami zaś czytał długo. Do sypialnego pokoju wchodził, gdy już spała. — żeby jej nie przeszkadzać.

„Motor“ miał obecnie duże trudności z powodu Tynieckiego. Zawzięty hrabia zaczął się wręcz starać o podważenie wpływów i stanowiska Koreckiego. Andrzej widział, jak wystarcza silna ale złośliwa wola jednego człowieka, by wszyscy wokoło słabli i ustępowali. Szczególniej dolegała mu do żywego postawa bliskich mu ludzi, przez niego umieszczonych w „Motorze“.

Kiedyś, wychodząc z biura, po wysłuchaniu aroganckich pretensyj Tynieckiego, zwrócił się do Orwida i Znamienieckiego, idących z nim, i powiedział z humorem:

— Wiecie, że pachnie mi to otwartą walką. Doskonale! Już mi się znudził ten spokojny dobrobyt! Zdaje się, że Tynieckiemu chodzi nie o byle co: chce kierować „Motorem“! Niech spróbuje.

I spojrzał z błyskiem w oczach na przyjaciół.

Znamieniecki miał twarz zafrasowaną i milczał; Orwid mówił.

— Czuje on swoją siłę; pamiętaj, ile ma udziałów. Nie wchodźmy mu zanadto w drogę, to niebezpieczny człowiek. Ja tam prawie, że nie widzę szans dla nas...

Andrzej wybuchnął.

— Szans dla nas? Proszę! Jak taki Tyniecki nie ma mieć apetytu coraz lepszego, wobec waszych fizjonomij. Już was blady strach obleciał, a jeszcze nie słychać strzałów. Pytam was: skąd on ma mieć szanse, ten głupiec? Skąd? No? Czy ma jaki dobry pomysł? Czy reprezentuje jakąś siłę? Czy stoją za nim ludzie, sfera, interesy za-

wodowe? Co? Nie, jest sobie opasły pan i ma chętkę na „Motor“! I to wam wystarcza? Ah, ludzie, nie poznaję was!

— Ma duże pieniądze, — chłodno powiedział Znamieniecki.

— To gawiedź myśli, że pieniądz decyduje, — rzekł Andrzej ostro, — ale nie ludzie z charakterem. Cóż ty myślisz, że my mamy iść na służbę pieniądza, czy też damy mu radę? Mnie cieszy i bawi zapowiedź tej walki, a wy już jesteście w popłochu.

Obaj przyjaciele odpowiedzieli krótko; widać było, że nie chcą dyskutować z Andrzejem i że nie wyjawiają całej swej myśli.

Andrzej szedł do domu zamyślony i wzburzony. Dzwoniąc do mieszkania, myślał o tem, w jakiem usposobieniu zastanie Krystynę, i miał sekundę pokusy, by się z nią podzielić pierwszy raz swą głębszą troską. Ale, zdejmując futro w przedpokoju, już sobie mówił:

— Biedne dziecko! Żadna kobieta walki nie rozumie, tylko się jej boi. Nie trzeba jej straszyć.

Potem wszedł do gabinetu i szukał jej.

— Jak tu wszędzie ładnie pachnie, — szepnął, — odkąd Krystyna jest w moim domu.

Chciał odpocząć. Cieszyła go myśl o żonie.

Ale służący powiedział mu, że pani wyszła wcześnie popołudniu, potem przysłała list. Zobaczył kopertę na biurku i otworzył ją z pewnym niepokojem.

Krystyna pisała, że ciotka ją zatrzymuje, bo mają być mili dla niej goście: pan Ostoja i dwóch jeszcze sąsiadów teretczańskich. Prosi, by Andrzej nie czekał z kolacją; wróci koło dwunastej.

— Szkoda, — szepnął, a po chwili zadzwonił, posłał służącego z kluczami do biura, kazał mu przynieść wiele papierów potrzebnych i, rozłożywszy szeroko na biurku teki i notesy, pracował z doskonałą sprawnością, po całym dniu

pracy, spędzonym w „Motorze“. Służący dwukrotnie prosił do stołu. Andrzej nie słyszał i nie wstał. Dopiero koło dziesiątej uczuł głód i kazał podać sobie wieczerzę.

O dwunastej ocknął się; miał już plan walki przygotowany, najdrobniejsze trudności i przeszkody były przewidziane.

Jakże rozkosznie jest teraz czekać ataku!

Do pokoju właśnie wchodziła Krystyna, więc się zerwał i zawołał:

— Nareszcie! Nareszcie!

Krystynę zdziwił poryw, z jakim ją witał Andrzej, ale, widząc jego wyciągnięte ramiona, uśmiechnęła się pierwszy raz od wielu dni prawie wesoło.

— Miło ci było u ciotki?

— Bardzo.

— Tak, pan Ostoja kocha się w tobie, a ty chcesz go doprowadzić do szaleństwa. Sześćdziesiąt lat! To właśnie wiek niebezpieczny.

— On się we mnie kocha? — zawołała Krystyna, której to nigdy na myśl nie przyszło. — On? Daj spokój, zna mnie od dziecka, dobry jest, kochany, pan Ostoja. Żeby cię słyszał! Pracowałeś? — dodała, widząc rozłożone papiery.

— Cały dzień, do tej pory. Czekałem na ciebie.

Chciał spojrzeć jej w oczy, ale Krystyna unikała jego wzroku.

— Spać, — rzekł. — Trzeba odpocząć.

I objąwszy ją prawą ręką, prowadził przez szereg pokojów.

ROZDZIAŁ XXVI

Luty bywa już pełen nadziei w naszym kraju. Wieczorem gwiazdy świecą złote, nie są srebrne i przemrożone, jak w styczniu; coś nam osobiście obiecują swem regularnem mruganiem. Ufamy im.

Krystyna wstała późno, po spędzeniu wieczoru z Łanieckimi na modnym dancingu, gdzie Kobierski, w zupełności straciwszy głowę, wyznawał jej swą miłość.

Bawiła się. Nauczyła się pić szampana, mającego w sobie ukrytą, rozpyloną lekkość francuską. Łaniecki był znów chwilowo zakochany w swej żonie, co mu się zdarzało co kilka miesięcy. Widząc tę śliczną parę głów, pochylonych ku sobie, chłonących miłość, Krystyna czuła radość istnienia, nie głęboką, ale wystarczającą zupełnie przy świetle żarówek i przy zastawionym stole...

Wspominała też Andrzeja co chwila. Ale to było na innym planie, głębszym, wewnętrznym, w jakiejś płaszczyźnie, nie naruszonej żadnym dźwiękiem muzyki czy kieliszka. Nie wiedziała nic o jego pracy, była samotna i miała czas. „Nic mu nie odejmuję swą zabawą, mówiła sobie. „Podobam się, błyszczę, a wracam do niego. Jak mało kobiet dziś wraca!“

Im więcej bywała, im dłużej spojrzenia męskie zatrzymywały się na niej — uparte, im się głośniej bawiła, tem bardziej była przeświadczona, że robi bardzo wiele dla Andrzeja.

Wracała nieraz do domu po szeregu godzin, spędzonych w licznem towarszystwie i, stając na progu mieszkania mężowskiego, miała coś w rodzaju poczucia, że spokojnie i sumiennie wraca jedynie do obowiązku. Zdziwiłaby się, gdyby jej ktoś powiedział przypadkiem, że wraca od nałogu do miłości.

Nie usłyszała nigdy ani razu od Andrzeja słowa „kocham cię“ i jakieś porażenie sprawiało, wynikłe z ambicji czy z cierpienia, że sama nigdy nie pozwalała sobie myśleć, jak go kocha i czy jest miłością to, co ich z sobą łączy.

Ubrała się prędko. Był to zwyczaj wiejski, panieński, na który mogła sobie pozwolić. Biła od niej świeżość. Przeszła się po pokojach, od-

ruchowo szukając myślą Andrzeja. Ale on w tych dniach wychodził wcześniej, był bardzo zajęty i nawet śniadania nie pili razem. Stołowy pokój przywitał ją wesoły, pełen garnków neapolitańskich, w których zamiast bukietów, stało dziś słońce.

— Ładnie, — szepnęła Krystyna i, westchnąwszy, zbliżyła się do okna. Niewielki śnieg stopniał przez noc i ulice błyszczały w mocnem świetle południa, niby świat na wiosnę po deszczu.

— Czemby się dziś zająć? — pomyślała. — Nie mam ochoty na zabawę. Zmęczona jestem.

Zatelefonowała do Andrzeja, czy wróci na obiad. Często teraz nie wracał. Odezwał się głosem zachrypniętym, jakby wzburzonym, ale powiedział, że całuje jej ręce na dzieńdobry i że wróci.

Dobrze. A potem, jak on pójdzie, co zrobić z resztą dnia?

Tymczasem chciała wyjść, ciągnęła ją pogoda. Było ciepło. Wypiła śniadanie prędko i, nakładając kapelusz przed lustrem, zobaczyła ze zdziwieniem różową twarz, wielkie, wypoczęte oczy, a czuła się zmęczona.

Na ulicy stanęła niepewnie. Nagle zaczęła iść szybko. Potem prawie biegła.

Zrobiło jej się gorąco, gdy powiedziała sobie:

— Pójdę spojrzeć tam...

Znała ten dom oddawna, nieraz skradała się licznemi ulicami i, stojąc w cieniu, naprzeciw wielkiej, żółtej kamienicy, mówiła sobie:

— Tu.

Dowiedziała się kiedyś od Andrzeja, gdzie mieszka matka. Nie znała jeszcze dobrze Warszawy, ale każdą ulicę, która prowadziła choćby w najbardziej kręty sposób w tamtą stronę, rozpoznawała odrazu.

— Tędy, — mówiła sobie. — I szła długo, nieraz kołując bez myśli, zdana na instynkt.

Zawsze, czy szła tą ulicą, czy inną, czy biegła jakąś nową, nieznaną, znalazła się naprzeciw dużej, żółtej kamienicy. Wtedy z bladym uśmiechem podnosiła wzrok na okna pierwszego piętra.

— Tu mieszka matka.

Urok przerażający był w tej nowinie.

Za każdym razem zdawało się jej, że dowiaduje się o tem na nowo, że w tej właśnie chwili jej to oznajmiono. Każde powtórzenie prostej wiadomości otwierało jakieś okno gdzieś coraz szerzej. Na Krystynę buchał świeży prąd powietrza, od którego przenikał ją dreszcz.

Nie znała oswojenia wobec matki. W tem był czar i w tem była cała jej rozpacz. Myślałaby o niej mniej, gdyby czuła się jej bliższa.

Jedno jedyne spotkanie w Janowcu było ciężkie, i odetchnęły obie po rozstaniu. Ale myśl ich wracała do siebie, jak do odbicia. Dopiero w oczach swoich wzajemnie zobaczyły całą beznadziejność tego, co się stało. I choć nie znalazły słów na wyrażenie sobie czegoś istotnego i czegoś, coby je mogło zbliżyć, — jednak od owej chwili żyły już inaczej.

Próchniejąca ławeczka w ogrodzie Janowieckim, na której siedziały obie zaledwie parę godzin, stanowiła dla nich jedyną wspólną, niezapomniana historje.

— Siedziałyśmy tam z mamą, — mówiła sobie nieraz Krystyna i widziała się tam ciągle.

Ale dziś, wobec tych okien zamkniętych, czuła jeszcze coś innego: palący wstyd na wspomnienie słów Andrzeja, niebacznych, rozdzierających. Nie mogła długo stać. Ah, gdyby zobaczyć choć na chwilę tę bladą głowę matki, z rozwianemi złotemi włosami! Ale story spuszczone, nikogo tam niema.

Krystyna wracała wolno do domu, w którym zastała Andrzeja.

Spojrzawszy na niego, zapomniała o sobie. Był blady.

— Miałeś jakiś dziwny głos, Andrzeju, rozmawiając dziś ze mną przez telefon. Czy się co stało?

— Nie, — odpowiedział obojętnie, — pracuję. Wychodziłaś na spacer?

— Tak, ciepło jest.

— Ciepło, — powtórzył. Przesunął ręką po jej głowie. — Bardzo dobrze, że chodzisz na spacer.

Uśmiechnęła się.

— A ty? Może się przejdziemy po obiedzie?

— Nie mogę. W „Motorze“ wre.

— Dlaczego? Tyniecki bruździ ci, prawda?

— Skąd wiesz? — zdziwił się.

— Tak myślę. Od dawna widzę, że to twój nieprzyjaciel.

— Istotnie. Ba, córki mu nie skrzywdziłem, — dodał z pewną chełpliwością w głosie.

— Żałujesz tego? — odpowiedziała z humorem.

— Nie. Nie podobała mi się nigdy.

— A dziś jest w klaszorze... Taka śliczna panna — powiedziała, wpadając w zamyślenie Krystyna.

— O czem tak się zamyśliłaś?

— Nic, o klasztorze...

— Obiecał się dziś dr. Konrad. Przyjmij go miło, jeśli przyjdzie, nim wrócę. Muszę zaraz po obiedzie wyjechać. A to jest dzielny człowiek.

— Taki nieszczęśliwy!

— Widzisz, cios go nie złamał. Nie to, co Orwid i inni....

Krystyna była już pewna, że Andrzej przechodzi jakąś walkę wewnętrzną i że ma zawody. Duma jej cierpiała mocno na tem, że się z nią niczem nie dzieli. Poczuła się nie pierwszy raz dotknięta i głęboko obrażona. Jednocześnie niepokój kobiecy kazał jej choćby w przybliżeniu dotrzeć do źródeł nieznanego zatargu.

— A nie możnaby Tynieckiego usunąć? — zapytała obojętnym głosem.

Andrzej drgnął.

— Właśnie! Można było, można, ale jest za późno; nie pomyślałem, że to taka bestja.

— A ja pomyślałam, — odpowiedziała tym samym spokojnym tonem Krystyna. — I już dawno, jakeśmy pierwszy raz tańczyli na dancingu, była pani Saloni, pamiętasz? że ten człowiek ciebie nienawidzi. Bałam się go.

Andrzej spojrzał na nią z upodobaniem:

— Jaka pojętna! Jaka ładna!

— Czemuś mnie nie uprzedziła? — powiedział żartobliwie.

— Sam mówisz ze mną tak mało o swej pracy, że jest mi trudno...

— Kochana, kochana dziewczynka! Przestraszyła się. Masz teraz taki wzrok, jak kiedyś, pamiętam, gdyś miała lat dziesięć. — I podszedł do niej blisko.

Krystyna westchnęła.

— I wtedy bałam się rzeczy, które przyszły. Mówię ci, ja się boję Tynieckiego. On gotów...— zawahała się. — Gotów usunąć ciebie z „Motoru".

— Mnie? — zaśmiał się serdecznie. — Mnie, ten bałwan? Spójrz na te pięści!

Mówiąc to, zacisnął swe duże, twarde, mocne ręce i wygrażał niemi w stronę Krystyny.

— No, ale gdyby, to wówczas co?

Andrzej spoważniał.

— Ba, gdyby mi kiedyś „Motor" sprzątnął z przed nosa nie Tyniecki, niestety, ale moi ludzie, — tobym się zaraz wziął do nowego „Motoru". Tylko jużbym go inaczej nazwał, niechby wiedzieli, o co chodzi...

Potem zamyślił się tak głęboko, że prawie nie wiedział, gdzie jest. I siedział tak w fotelu, z głową wspartą na rękach.

Krystyna wyszła cicho z pokoju, doznawszy niepojętego uspokojenia, a gdy wróciła po godzinie, już go nie było.

ROZDZIAŁ XXVII

Czternastego marca rano przyszedł dla Krystyny wielki kosz białych bzów.

Kiedy oglądając wspaniałe kiście, zastanawiała się, czyżby to Kobierski pozwolił sobie na taką zuchwałość, z pośród kwiatów wypadł mały bilet z napisem:

„Mojej żonie w rocznicę zaręczyn".

— Dziś rok! Zapomniałam, ale Andrzej pamiętał! — szepnęła. — Pamiętał...

I zaraz sama wspomniała ową pełną poświatę księżycową, ową widmowość drzew i nastroju, która towarzyszyła jej dziwnym zaręczynom.

Ta sama nierealność, ten odmienny podblask, ciąży i dziś nad jej życiem — niepojęty.

Jest panią Korecką, nosi z dumą to nazwisko, ale czuje się sama, samotniejsza, niż była wtedy, gdy tęskniła do jego miłości bez granic i bez nadziei. Czy to potężna wola Andrzeja, czy jej ambicja stworzyła tę zaporę, ten mur, ten chłód nierealności w ich realnem życiu?

Nie chciała się w to zagłębiać, ale nie mogła też odeprzeć myśli, narzucających się z siłą, niemiłych i budzących w niej niepokój.

O dwunastej, ze zdziwieniem usłyszała od służącego, że ksiądz Uleszyn czeka na nią w salonie i prosi, by zaraz do niego wyszła.

— Czyżby też pomyślał o rocznicy? Skąd on się tu wziął?

Krystyna żywo wchodziła do salonu uśmiechnięta.

— Drogi księże, jak miło, jak się cieszę! Dawno w Warszawie?

Ksiądz Uleszyn spojrzał na nią i strzepnął ręką jakoś bezradnie. Był biały. Krople potu spływały mu po czole.

— Zbieg okoliczności... Zbieg okoliczności... — powtórzył gorączkowo. — Ale dobrze się stało.

że to ja... właśnie... bardzo dobrze. Pan Bóg miłosierny. Pani jest religijna, kochana pani Krysiu.

Krystyna stanęła, jak wryta.

— Księże, — szepnęła. — Śmierć?

Przeniknęło ją zimno w mózgu i jakieś omdlenie, podobne zamieraniu.

— Tak... Pan Bóg chciał... Matka... Ale spokojnie... Jakby zasypiała.

— Boże, Boże! — jęknęła Krystyna, przykładając obie ręce do głowy, w której ciągle czuła przenikliwe zimno.

Ale natychmiast przybyło jej sił; zwróciła się ku wejściu, narzucając futro drżącemi rękami.

— Pójdę z panią, zaprowadzę, — rzekł ksiądz głosem pełnym słodyczy.

— Nie, sama chcę być, sama.

— Nie wie pani gdzie.

— Wiem, wiem, — tonem nieopisanego cierpienia odpowiedziała Krystyna.

Ksiądz był tak zmęczony, że nie mógł nadążyć. Gdy zszedł na dół, zobaczył ją, już biegnącą na końcu ulicy. Stanął.

Przed oczyma mignęła mu zmięta, szara twarz człowieka, który z rozpaczą na ulicy złożył przed nim, nieznanym, obie ręce i błagał, by szedł do umierającej kobiety!

Widział jeszcze twarz tej Odchodzącej, zarys głowy, podobny do młodziutkiej Krystyny, której obraz stale mu towarzyszył...

Widział wzrok szklisty z wielkiemi dwoma łzami, które wzbierały w oczach konającej i wolno spłynęły po zmarłej twarzy, ale jakże straszliwą wyrażały boleść, ostatnią, niewyjawioną, samotną!

Wzdrygnął się i uczuł w sercu cały ogrom człowieczeństwa. I ten ogrom przerastał jego wiarę i jego nadzieję. Tylko nie przerastał jego miłości.

Skupił się i począł modlić smutno, bez żaru,

o zmiłowanie nad duszami w grzechu i nad czystemi.

Krystyna, dobiegłszy żółtej kamienicy, wolno wchodziła po schodach. Na jednym stopniu potknęła się i wstrząsnął nią ów głuchy łoskot.

Frontowe drzwi były otwarte: to tu. Weszła. W mrocznym pokoju, na łóżku, leżała matka, pozatem nie było nikogo.

Krystyna rozszerzonemi oczyma chciwie patrzała. Tyle lat nie mogła się napatrzeć! Tak, widzi: te same delikatne skronie, żyłki błękitne, tylko trochę nabrzmiałe... Włosy matki, włosy kobiece... Nie mogła się od nich oderwać. Każdy włos szedł niewidzialną drogą tam, po tym gościńcu czarnego nieszczęścia. Te włosy rozrzucone są teraz lekko, prawie marzycielsko, a są samą rzeczywistością.

Krystyna patrzy i szuka siwizny. Czuje, że by jej to ulgę przyniosło.

— Choć jeden siwy włos! — szepce półświadomie.

Niema.

— Ah, okropne! — jęczy. — Niema, takie jasne włosy.

I odwraca wzrok.

A gdyby podnieść tę wątłą głowę? Może z boku, tu, gdzie pochylona cała twarz matki, jest siwizna? Ale nie dotknie, nie może. Jakiem prawem?

Rozgląda się ze strachem wokoło.

I nagle zjawiła się rozpacz, podobna pchnięciu w samo serce. Więc któż ma mieć prawo, jak nie ona, dziecko rodzone, które chłonie w siebie nieruchomą twarz matki z czcią i przerażeniem? Ona, która całuje ową niewidzialną drogę, przebytą przez tę złocistą głowę? Całuje ją i wielbi wszystko. Nic nie wie i korzy się. To jest boleść nad wszelkie boleści.

I to nie daje prawa? Tego nie dość? Kto stanie

obok niej? Kto się z nią tu równa? Boże litościwy!

Blada, z ustami posiniałemi, Krystyna pochyla się nad zmarłą.

Jeszcze pachnie ciepłem macierzyńskiem drobna pierś. To ciepło wzrusza — pozatem jest zimno wszędzie. Zimno dziecku; czy matka wie o tem?

— Nie wie. Już odeszła. Mówiono, że odeszła dawno. Ah, co za fałsz, co za oszczerstwo! Była cały czas, była! Dopiero teraz jej niema!

A Krystyna nie pożegnała jej. Nie usłyszała słowa. Więc dygoce od zimna przeraźliwego, mrożącego jej szpik kości.

Rozległy się czyjeś ciche kroki. Podniosła martwy wzrok. Jakiś pan z czerwonemi powiekami wszedł, zawahał się, czy się z nią witać. Wszystko jedno. Jeśli mu na tem zależy, ona może z nim porozmawiać — tylko o czem?

Kiedyś go gdzieś widziała. A może to był ktoś inny? Nie wie; wszystko jedno.

Może to ten człowiek, co ją rozłączył z matką? Ale to było dawno, dziś nic jej rozłączyć nie może. Skinęła głową machinalnie i zwróciła się znów do zmarłej.

— Matko moja, matko moja, — mówiła bez słów.

Ale nagle zobaczyła ją inną. Co to jest, na Boga? Włosy te same, takie lekkie, takie młode. Tylko twarz piękna, rodzicielska, ma ślady obce. Krystyna zna te usta, ich pełny rysunek, ich łagodność. Przed chwilą były takie spokojne, te usta matki, a teraz jest cień na górnej wardze, ślad nieznany. Czoło? — co to? Zmarszczka na tem czole wypukłem? Nie zauważyła przedtem. Czy to myśl ostatnia, natężona, czy — czy ból?

Nie wie, nic nie wie, ale tej zmarszczki też nie było, jest cudza, narzucona. Cierpienie, które ją wyrzeźbiło na czole, nie tętniło w ich wspólnej krwi. Przyszło ze świata. Nie ma nic wspólnego z uczuciem matki do dziecka.

Czy to zostanie, czy zniknie? Krystynę ogarnia niepokój półprzytomny, zabijający!

Czy tak ją żegna matka, ją, opuszczoną, śladami obcości na najdroższej twarzy?

Czy to chce jej powiedzieć na ostatku — i nic więcej? Nie, to niemożliwe, to nieludzkie.

Krystyna przyklęka. Bierze w ręce pasmo włosów jak jedwab, jak najpiękniejsza wstęga. Złocą się. Mówią tak wiele. Czyż nie powiedzą tej najważniejszej rzeczy? Czyż nie zdradzą miłości do dziecka?

Wzrok się wyostrzył, wie, czego szuka; nagle padł na białe pasmo ukryte, wymowne.

— Ah, jest, jest! — głośno wymówiła Krystyna. — To dla mnie, to moje! Tęskniła za mną. Wiem o tem.

I pogładziwszy bez słowa głowę zimną, skamieniałą, ucałowawszy tkliwie małe, złożone ręce, odeszła wolno i cicho.

Za nią rozległ się szloch głęboki, straszny, dobywający się z męskiej piersi.

ROZDZIAŁ XXVIII

Ciotka Ofelja Załęska zjawiła się u Koreckich zaraz, gdy ją doszła wiadomość o śmierci matki Krystyny, to jest nazajutrz po fakcie.

Była osobą światową i wiedziała, że wszystko powinno się odbyć rozumnie i taktownie. Przedewszystkiem chodziło o to, by Krystynie nie przyszło na myśl przyjść na pogrzeb matki.

W gabinecie Andrzeja była pani Zawara, doktór Konrad i pani Łaniecka. Andrzej przywitał się uprzejmie z ciotką, ale widać było, że jest zdenerwowany. Krystyna nie pokazała się, pani Łaniecka powiedziała swoim łagodnym głosem, że ją bardzo głowa boli i że nie wychodzi ze swego pokoju.

— Dobrze, — rzekła ciotka. — Czy pan rozmawiał z nią o pogrzebie?

— Nie.

— Ale chyba nie przyjdzie na pogrzeb, jak pan myśli?

Wszyscy mieli zatroskane twarze i mówili półgłosem. Zebranie sprawiało wrażenie uroczyste, jakby omawiana tu była ostatnia wola świeżo zmarłego członka rodziny...

— Nie, naturalnie, że nie powinna, — rzekł z porywczością Andrzej. — Ale kto wie? — I wzruszył ramionami.

Ruch ten zabolał panią Zawarę.

— Nie będzie chciała — wtrąciła. — Proszę się uspokoić. Krysia jest bardzo rozumna. Gdyby to gdzieś na prowincji, to jeszcze... Ale w Warszawie, wszyscy znają... Niema mowy... Nie zechce pójść.

— Ale była tam podobno, — powiedziała ciotka Ofelja, kóra już wszystko wiedziała, niewiadomo skąd.

— Może i była, to trudno, — burknęła prawie pani Zawara, z niechęcią patrząc na panią Załęską.

Andrzej zwrócił się do doktora Konrada:

— Czy mówił ci ksiądz Uleszyn, na co umarła?

— Mówił. Był długo, bardzo przejęty, kazał powtórzyć wszystko pani Krystynie.

— To kiedyś jej powiesz, — przerwał Andrzej.

— Tak, pewnie umarła na serce, prawie nagle. Podobno od wielu miesięcy narzekała, że czuje się źle. Ale wyglądała tak dobrze, że nikt się nie przejmował. Tego dnia mówiła tylko, że ją boli lewa ręka i szczęka. Miała podobno po śmierci twarz pogodną. Konała krótko.

— Mówiła co, dawała jakie polecenia? — zapytał niepewnie Andrzej.

— Nie, nic. Dlatego tak rozpacza ten... człowiek.

— To dobrze, — rzekł z ulgą Andrzej, i zaczął zaraz mówić o czem innem.

Pani Ofelja z paniami wracała do tematu, który ją głównie przejmował.

— Rozumie pani, — zwróciła się pojednawczo do pani Zawary, — że to byłby wprost skandal. Gdzie ma iść? Za trumną, razem z tym panem? Może pod rękę? Czy na szarym końcu, gdzie ją zaraz wypatrzą i będzie zgorszenie.

— Nie, — szepnęła pani Łaniecka, — niema o czem mówić. Krysia pewno to rozumie. Przecież też była obawa, pamięta pani, przed ślubem, czy nie zechce matce dać znać, przedstawić jej narzeczonego, a wszystko odbyło się spokojnie.

— No, jest w tem pewna różnica, — mruknęła pani Zawara, która miała teraz łzy w oczach i walczyła z sobą, by nie biec do trumny.

Tymczasem Krystyna leżała w łóżku, trzymając w ręku poranne pismo z nekrologiem o śmierci matki. Zawiadomienie było krótkie, bez podpisu: o dacie pogrzebu, i że zmarła przeżyła lat czterdzieści.

Pierwszy raz od wczorajszego ranka pomyślała o tym, który się nie podpisał i o cierpieniu jego, nie o swojem. Stary człowiek, znała go, to ten co z nią jechał pociągiem i miał takie bolesne oczy. Mogła już o nim myśleć spokojnie — śmierć odebrała mu towarzyszkę życia — ją natomiast zbliżyła do matki. Czy to zbliżenie odpowiada prawdzie, czy matka tam, gdzie przebywa, — stała się znów jej matką bardziej, niż była na ziemi?

Mglisto rozmyślała nad tem Krystyna, ale z jakąś nieokreśloną, krzepiącą pociechą.

Jednocześnie wspomnienie owego człowieka złączyło się z pełną urazy a dziś do żywego rozjątrzoną myślą o Andrzeju.

Słowa jego na stacji brzmiały jej ciągle w uszach, układały się niby w wianuszki, równe, małe, które on składał na trumnie jej matki...

I teraz, czy był tu? Czy powiedział jej choć jedno słowo? Nie, — on twardo myśli o przykrościach, o pogrzebie, o — wstydzie.

Krystyna wie o tem.

Zakryła oczy rękoma, bo zbyt jasno widziała wszystko, co się dzieje. Bolał ją mózg od tego zalewu światła, właściwego chwilom nieszczęśliwym. I zapłakała pierwszy raz od śmierci matki.

ROZDZIAŁ XXIX

Krystyna Korecka od paru tygodni już mieszkała u ciotki Ofelji. Stało się to nagle.

W dzień pogrzebu wyszła z domu pierwszy raz od śmierci matki i była na mszy żałobnej na cmentarzu. Nie patrzała na nikogo; może ją widzieli znajomi, było jej to zupełnie obojętne. Nosiła ciężką żałobę.

Wróciwszy do domu, zastała Andrzeja rozdrażnionego; widać było, że go dotknął niemile widok jej czarnej sukni. Krystyna zauważyła to odrazu.

Andrzej, który chciał jej od paru dni wyrazić swe współczucie, zobaczywszy ją, zaraz powiedział, nie mogąc się opanować:

— Poco ta żałoba? Zupełnie niepotrzebna.

Krystyna zdejmowała właśnie kapelusz. Ruchem nagłym, gwałtownym obróciła się ku niemu:

— Żałobę noszę po matce, czy nie wiesz, że umarła?

— Naturalnie, że wiem. Pół miasta zajmuje się plotkami w związku z tem nieszczęściem, i dlatego uważam, że lepiej byłoby nie robić ostentacji.

— Ostentacji! — rzekła głucho Krystyna. — Boże, co ty mówisz!

Andrzej, od tygodni całych przemęczony w „Motorze“, przytem wzruszony sam śmiercią pani Załęskiej, wybuchnął:

— A cóż myślisz: to nie jest zwykła śmierć, którą opłakuje rodzina. Tu żałobę nosić będzie obcy, a rodzina prawie, że nie ma prawa, bo twoja matka sama pozbawiła ją prawa. Czy nie pojmujesz tego? Są nieszczęścia, które się nie kończą ze śmiercią, wymagają taktu i powagi

nawet na cmentarzu. I to jest jedno z takich nieszczęść. Twoja matka...

— Przestań, — rzekła Krystyna. — Nie mogę słuchać, jak ty mówisz o mojej matce.

— Nie skrzywdziłem jej nigdy, nawet chciałem pomóc....

Krystyna odpowiedziała z twarzą białą:

— Skrzywdziłeś, jak można najciężej. Chciałeś jej ubliżyć wobec mnie, wobec jej dziecka! Tego nigdy nie zapomnę, twoich słów na dworcu.

Andrzej, wobec uniesienia żony, pożałował jej w sercu, jak opiekun. Chciał obiecać, że to zło minie, że może liczyć na niego, że on przecież jej nie opuści. A jednocześnie wrzał w nim gniew tem gwałtowniejszy, im bardziej cierpiącą widział Krystynę.

Ona zaś, jakby przeistoczona, mówiła napastliwie:

— Właśnie, ja też myślałam, że nieszczęścia wymagają powagi. I niema tej powagi w tobie, skoro moja czarna suknia obchodzi ciebie bardziej od tego, co się stało. Poprostu nie widzę miejsca dla siebie w tym domu. To jest jasne.

Usłyszawszy własne słowa, doznała takiego strachu, jakiego nie czuła jeszcze w życiu. Ale nie cofnęła ich — przeciwnie.

— Możesz mnie oddzielać murem od twojej pracy, od pojęć i zadań. Na to się zgodzę, to jest moja dobra wola. Przynajmniej była, ale jak mnie spotyka nieszczęście, a ty się zachowujesz jak wróg.

— Zastanów się, co mówisz, — przerwał Andrzej. — Sama nie wiesz, co mówisz. — Słowa mają swoją konsekwencję, nie zapominaj o tem, Krystyno.

— Nie zapominam. Nigdy tak jasno nie widziałam wszystkiego, jak teraz. Pusto jest między nami. Jestem w ciężkiej żałobie... Nic więcej nie mam do powiedzenia...

Krystyna rozejrzała się wokoło i w twarzy nieruchomej, stężałej, Andrzej widział siłę i grozę.

Pomyślał, że ma charakter, że możnaby ją jednem słowem uspokoić, ale nie mógł znaleźć tego słowa. Szukanie go nie było możliwe przy tempie i tonie tej rozmowy.

— Ah! — machnął ręką. — Nie można z tobą dziś rozmawiać. Jesteś zupełnie wytrącona z równowagi, i to mnie męczy. Mnie się też należy trochę spokoju, mam ciężką pracę za sobą.

Przesunął ręką po czole, na którem zebrały się od kilku miesięcy dwie głębokie, pionowe bruzdy.

Krystyna wyszła z pokoju, a w dwie godziny potem zjawiła się tylko z neseserem w ręku u ciotki Ofelji Załęskiej, która przyjęła ją zdumiona.

— Moja Krysiu!—mówiła, mrugając oczyma.— Co to ma znaczyć?

Krystyna ucałowała ją pierwszy raz z wylaniem.

— Niech ciocia mi pomoże, i o nic nie pyta, moja droga ciociu.

Pani Ofelja, choć obce jej było współczucie, ale nie była złą. Niespodziewana obecność Krystyny stanowiła interesujące zdarzenie w jej samotnem życiu. Niepokój, wynikający z uczuciowego stosunku do chrześniaczki, któryby łatwo mógł ją w tej chwili rozdrażnić, nie dolegał jej.

— Owszem, moje dziecko. Zawsze chętnie ci pomogę, ale co się stało? Muszę wiedzieć.

— Nic. Chciałabym być sama, zupełnie sama w tej żałobie, którą noszę, niech mi więc ciocia pozwoli zamieszkać jakiś czas w gościnnym pokoju u siebie. Do tatusia przecież teraz jechać nie mogę, — dodała z rozpaczą.

— Dobrze, dobrze, ale czy pan Korecki... wie o tem, gdzie jesteś? Czy zgodził się na tę ucieczkę?

Krystyna, zaskoczona, odpowiedziała:

— Jeszcze nie wie. Ale ja napiszę.

— Ba, to pisz zaraz, to nie są żarty, — powiedziała ciotka i, objąwszy ją, prowadziła do gościnnego pokoju.

Był to pokój zaciszny i pełen śladów ze wsi. Były fotografje z Teretczan, widoki Krysi, dziewczynki, Ludwisia, ulubionych koni.

— Dobrze ci tu będzie? — zapytała pani Ofelja.

— Doskonale, nigdzie nie może być lepiej, — powiedziała, starając się uśmiechnąć.

Ciotka zostawiła ją samą, a gdy minęło pół godziny, zapukała i przyniosła arkusz papieru i kopertę.

— Pisz zaraz do męża. — rzekła z naciskiem.— To musi być zaraz załatwione.

Potem odeszła spokojnie, zastanawiając się bez przykrości, jak się dalej ułożą wypadki.

Koreckiego nie lubiła, ale skandalu też chciała unikać. Pamiętała jeszcze żywo, jak fatalnie, bez taktu, miary i rozsądku odbyło się rozstanie Załęskich, dwadzieścia lat temu, o którem w Warszawie długi czas mówiono.

ROZDZIAŁ XXX.

Andrzej nie odpowiedział Krystynie na jej krótki list. Donosiła mu, że wyjeżdża i że adres jej zawsze będzie znała ciotka Ofelia. Nie tłumaczyła swego postanowienia, prosiła tylko, by ciotka mogła przyjść zabrać jej suknie.

Andrzej dwukrotnie przeczytał list, by go zrozumieć. Treść jego nie mieściła mu się w głowie. Gdy pani Załęska napisała do niego, odpisał uprzejmie, że całemi dniami jest po za domem, może więc o każdej porze przyjść, bo służbę uprzedził. Gdy doktór Konrad, zaniepokojony, pytał go o Krystynę, odpowiedział, że wyjechała do ojca, była bowiem wyczerpana.

— Ty też wyglądasz źle, — rzekł przyjaciel, przyglądając mu się bystro. — Powinieneś odpocząć.

— Nie teraz. Wiesz, że w tym tygodniu rozstrzyga się moja sprawa w „Motorze".

Doktór Konrad z niewysłowioną dobrocią zaczął mówić:

— Dałbym wiele, żeby było inaczej, ale wiem, że to koniec. Cóż to dla ciebie znaczy! Dziesięć „Motorów" i lepszych nawet, możesz mieć przed sobą. Stworzysz co zechcesz; właściwie „Motor" już nie jest twojem dziełem, więc rzuć go lekko.

Wiedział, że Korecki, gdyby się nie ożenił, nigdyby tak nie zaniedbał obrony swego stanowiska w „Motorze". Nie chciał, żeby Andrzej zdawał sobie z tego sprawę, — i kierował jego myśl w innym kierunku.

— Właściwie, odkąd wpuściłeś Orwida do zarządu, rzecz była przesądzona. On jest tak słaby, że musiał ulec Tynieckiemu. A Tyniecki cierpi na jakąś furję w stosunku do ciebie. Ma dużo pieniędzy, skupił udziały i właściwie jest dziś panem położenia.

— Przyznam ci się, — odpowiedział Andrzej, który, słuchając równego, spokojnego głosu przyjaciela, odpoczywał, — że bardzoby mi obecnie zależało zwyciężyć tego żubra.

— Trochę zapóźno, — tym samym tonem odparł doktór Konrad. — Ale spróbuj, nie pierwszy raz pokonasz wielkie trudności.

W kilka dnio po tej rozmowie, po Warszawie rozeszła się błyskawicznie wiadomość, że Andrzej Korecki zrzekł się kierownictwa „Motoru", usunął nawet z zarządu, a Tyniecki stanął na czele przedsiębiorstwa. Było to sensacją dla miasta. Andrzej był bardzo znany i ludzie nie rozumieli, jak mogło dojść do takiej jego klęski. Pozatem, wśród producentów i urzędników zapanował popłoch, bo Andrzej był ceniony za swą sprawiedliwość i talent organizacyjny.

Tyniecki, człowiek ograniczony, nie dawał żadnej gwarancji trwałego powodzenia interesu; czuł to najskromniejszy nawet urzędnik i zdawał sobie z tego sprawę w sposób nieomylny.

Ludzie czuli się obrażeni tem, co się stało, nawet tacy, co nie mieli nic wspólnego z „Motorem‘.‘ Przeciętna masa ludzka zawsze najpierw stanie po stronie słusznej, a dopiero, gdy dobra sprawa z usług tej masy nie zechce skorzystać, przerzuca się gwałtownie ku stronie przeciwnej.

Andrzej szedł wolno do domu, w rozpiętem futrze, pomimo mrozu. Było mu gorąco.

Rozumiał, że spotkała go klęska podwójna, ale jeszcze smaku jej nie rozeznawał. Przytłaczało go straszliwe zmęczenie. W domu, choć była pora obiadowa, nie chciał nic jeść, tylko rzucił się na głęboki fotel, z rękoma bezwładnie zwisającemi. Niedługo zasnął.

Tymczasem doktór Konrad, śmiertelnie blady, dzwonił do pani Załęskiej.

Kochał Andrzeja więcej niż siebie, i drżał wewnętrznie, myśląc o tem, co się stało.

Pani Załęska, widząc jego wzburzenie, pomyślała najpierw, że pobyt Krystyny w jej domu, dotąd spokojny, zaczyna grozić powikłaniami, i serdecznie pożałowała przygarnięcia jej.

— Doktorze, panu coś jest; o tej porze pan wpada? Co się stało?

— Pani Krystyna jest u pani? — odpowiedział doktór głosem, nie dopuszczającym protestu, i pocałował ją, sam nie wiedząc czemu, dwa razy w rękę.

— Jest, ale o co chodzi?

— Muszę zaraz się z nią widzieć. Stała się rzecz bardzo zła. Ona musi o tem wiedzieć.

Pani Załęska poszła do pokoju Krystyny. Zastała ją płaczącą. Zaczynało się jej to wszystko nie podobać.

— Moja Krysiu, doktór Konrad chce się koniecznie z tobą widzieć.

Krystyna zerwała się. „Może jaka wiadomość od Andrzeja?“ — pomyślała z nadzieją.

Gdy zobaczyła zbolałą twarz Konrada, przeraziła się.

Uścisnęła mocno jego rękę, i czekała bez słów, co powie.

Ciotki Ofelji nie było w pokoju. Poszła, by w samotności zastanowić się, co robić dalej, bo już nie ulegało dla niej wątpiwości, że zrobiła źle i że czekają ją kłopoty.

— Andrzej wyrzucony z „Motoru“. W tej chwili wyszedł z biura po raz ostatni, poszedł do domu, — mówił z ogromną powagą, powoli doktór Konrad, patrząc jej prosto w oczy.

Krystyna krzyknęła:

— Co pan mówi! Czy to możliwe? A mnie tam niema!

— Niech pani zaraz jedzie, — powiedział cicho. — Andrzej odczuł bardzo ten cios.

— Idę, — powiedziała, i zbladła na myśl o Andrzeju.

Znów wychodziła w pośpiechu, jak przed tygodniem, na wiadomość o śmierci matki. Ale teraz lekko, i pomimo zmęczenia, dusza jej rozkoszowała się czemś w rodzaju powrotu do swego żywiołu.

Mieszkała tak blisko, że, nim znalazła samochód, już była w domu.

Kiedy dzwoniła, zaczęło jej bić serce głośno, i czuła w niem ból od nadmiaru uczuć.

Stary służący otworzył i uśmiechnął się.

— Jak to dobrze, że pani już wróciła, pan taki zmęczony.

— Gdzie jest? —zapytała zduszonym głosem.

— W gabinecie, pora obiadowa, a co wejdę, to nie śmiem budzić, bo pan śpi.

Krystyna weszła cicho, na palcach, do gabinetu.

Zaraz zobaczyła na fotelu pochyloną głowę Andrzeja, i usłyszała jego równy oddech.

Na dnie jej duszy, tam gdzie pali się niezbada-

ne, wyrasta nagle miłość lśniąca i bezgranicznie szczęśliwa.

— Mój opiekunie, moje życie, — szepce przez łzy, i patrzy na śpiącego.

Zrzuca szybkim ruchem kapelusz, płaszcz, i oddychając głośno, podchodzi, przyklęka.

Bierze rękę Andrzeja, która zwisa, ciężką, twardą i silną nawet w bezwładzie.

Cichutko opiera na niej usta chłodne i trwa.

Wieczność się otwiera, inne życie, pełnia nieznana, jakiś nadziemski blask.

— Życie moje, mój opiekunie, — powtarza szeptem i uśmiecha się.

Jak mocno śpi, jaki zmęczony.

Rozgląda się wokoło, bo musi wszystko zobaczyć, ma inne oczy. Papiery na biurku, trochę kurzu wszędzie.

— Jaki sam, — ostro uderza ją to słowo.

— Jestem, Andrzeju, jestem,—zawołała wreszcie swym niskim głosem, z niewymownem uniesieniem.

Otworzył oczy, zdziwiony, szary i smutny. Nigdy takiego Andrzeja nie widziała.

Znów drga w niej coś, jak dziecko w łonie matki.

Zobaczył ją, i uśmiech uroczy, ufny i pytający zmienił mu twarz, wyraził świeżą, wewnętrzną młodość duszy.

Chwilę milczał i nie spuszczał z niej oczu. Potem wyciągnął obie ręce i szepnął:

— Jesteś?

A że nie mogła odpowiedzieć, bo miała twarz zalaną łzami, i dusił ją szloch, więc ją przyciągnął mocnemi rękoma do serca i głosem, od którego zadrżała, nieznanym, zawołał:

— Krystyno, moja cudowna Krystyno, kocham ciebie!

KONIEC.

Moskwa, Drozdowo, Toruń.

MPD/ZPH/37

Mr. Bibliophil 93

MUZEUM PRZYRODY
ul. Dworcowa
11-041 OLSZTYN
Bibliotekowo ul. Głowna 38
tel./fax 089 519 20 61
RECENZOWANY EGZ. NR 318-10-38777